Bronwyn Scott

Drugie oblicze Nory

tytuł oryginału: Pickpocket Countess

Dla Jeffa i Diane Clausenów oraz Elle Holt, moich wspaniałych fanów i jeszcze wspanialszych przyjaciół.

Oraz, jak zawsze, dla mojej cudownej rodziny.

RS

Rozdział pierwszy

Anglia, okolice Manchesteru, początek grudnia 1831 r.

Pomimo ciemności Brandon Wycroft, piąty lord Stockport, zorientował się, że w pokoju dzieje się coś niezwykłego.

- Do licha, Kot z Manchesteru wdarł się tutaj! - zaklął pod nosem.

Dostrzegł ironię sytuacji. Podczas gdy na parterze jego domu, w bibliotece, zebrało się dwunastu najwybitniejszych miejscowych notabli, by przy doskonałych cygarach i kosztownej brandy debatować nad rozwiązaniem problemu rzezimieszka, który spędzał sen z powiek praworządnym obywatelom, ów bez przeszkód dostał się na piętro i śmiał wtargnąć do najbardziej prywatnego pomieszczenia, do sypialni.

Tylko dzięki wyjątkowo czułemu słuchowi Brandon zdołał wychwycić szurnięcie krzesła po podłodze i wszedł na górę, żeby sprawdzić źródło hałasu.

Jego uwagę zwróciło lekkie poruszenie zasłony. Okno było otwarte, co tłumaczyło panujący w pokoju chłód. Drgnienie firanki zdradziło obecność intruza.

Oczy Wycrofta zwęziły się, a ciało zastygło w napięciu. Czuł, że instynkt go nie zmylił. Osławiony Kot był w jego pokoju. Po miesiącach bezkarnych włamań do domów najbogatszych mieszkańców okolicy i do rezydencji inwestorów z Manchesteru, którzy współfinansowali budowę fabryki włókienniczej w Stockport-

on-the-Medlock, nastąpi wreszcie kres panowania Kota. Złodziej zostanie ujęty, a lord Wycroft będzie mógł wrócić do parlamentu, gdzie czekała go praca nad ważnymi reformami legislacyjnymi.

Włamywacz wyłonił się zza ciężkiej kotary i wbrew oczekiwaniom nie rzucił się do ucieczki, lecz stanął, zuchwale wyprostowany. Księżycowa poświata wydobyła z mroku... kobiecą sylwetkę.

Ależ tak! Kot z Manchesteru, ten bezczelny intruz, który ośmielił się stanąć na drodze ambitnych planów lorda, by dzięki inwestycjom przemysłowym wydobyć Stockport-on-the-Medlock z nędzy wiejskich opłotków, był bez najmniejszych wątpliwości kobietą! W dodatku, jak zauważył Brandon, przesuwając wzrokiem po jej sylwetce, wyzywająco ubraną.

Ciemna, luźna koszula unosiła się na wypukłościach piersi, a czarne, obcisłe jak rękawiczki spodnie podkreślały wąską talię, zaokrąglone biodra i zgrabne nogi w wysokich butach.

Kobieta wyglądała kusząco, co nie zmieniało faktu, że była złodziejką, która wtargnęła do prywatnego apartamentu i znajdowała się teraz na łasce lorda Stockporta. Skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o framugę drzwi.

- Obawiam się, że zablokowałem ci drogę odwrotu. Chyba że wolisz okno - zaproponował z ironią, wiedząc, że znajduje się ono trzydzieści stóp nad ziemią.

Kobieta wzruszyła ramionami, demonstrując całkowite lekceważenie sytuacji.

- Okno zdało egzamin jako droga wejściowa. Jestem pewna, że równie dobrze posłuży do wyjścia.

Brandon skrzywił się. Co za idiotyczny blef.

- Weszłaś tu przez okno? Wybacz, ale to absurd. Teren posiadłości jest stale patrolowany przez doświadczonych strażników. W razie potrzeby mogliby odeprzeć całą armię napastników.

- W tym sęk, milordzie. Przygotował się pan do odparcia wrogiej armii, podczas gdy jednej osobie znacznie łatwiej wśliznąć się niepostrzeżenie.

Buńczuczne przechwałki Kocicy, z jaką to łatwością wyprowadziła w pole jego straże, nie zrobiły na Stockporcie wrażenia.

- Jak na kryminalistkę, która zaraz zostanie aresztowana, demonstrujesz zadziwiającą pewność siebie. Grozi ci kara więzienia lub zesłanie. Jeśli transz na surowego sędziego, możesz nawet stanąć pod szubienicą. - Myśl, że ta zuchwała kobieta mogłaby zostać powieszona, nie była jednak dla Brandona miła. Wyczuwał w niej dzikość i swobodę, które nie zniosłyby zamknięcia za kratkami. Emanowała z niej żywiołowość, która dziwnie go pociągała.

Kocica roześmiała się.

- Stara, dobra Anglia najwyraźniej zeszła na psy, skoro karmienie głodnych jest zbrodnią zagrożoną najwyższym wymiarem kary. Znam takich, którzy bardziej zasługują na stryczek.

Usta Wycrofta drgnęły w mimowolnym uśmiechu. Chciała go pokonać takimi bezczelnymi stwierdzeniami. Cóż, przekona się, że trafiła kosa na kamień. W dwóch dziedzinach uważał się za eksperta: pierwszą były kobiety, drugą - cięte riposty.

- Kogo proponujesz na początek? - Zrobił krok w jej stronę. Dzieliło ich jeszcze około sześciu kroków.

- Ludzi pana pokroju.

Pięć kroków.

Kocica weszła na niebezpieczny grunt. Jak śmiała stawiać go na tym samym poziomie co resztę arystokracji? Przez całe dorosłe życie dystansował się przecież od tak zwanej elity.

- A co taka nędzna złodziejka może wiedzieć o ludziach mojego pokroju?

- Wiem, że w imię postępu skazuje pan innych na głód.

A więc ta bezczelna włamywaczka żywiła całkowicie mylne przekonanie o szkodliwości przemysłu, który stanie się wkrótce podstawą angielskiej ekonomii.

- Manufaktury to rozwiązanie na dziś i na jutro. - Właśnie przekonanie o prawdziwości tego twierdzenia stworzyło przepaść pomiędzy Wycroftem a innymi przedstawicielami jego sfery, w której miarą szlachetności człowieka była bezczynność. Arystokraci, z nielicznymi wyjątkami, stronili od handlu, a bardzo niewielu z nich naprawdę znało się na uprawie roli, chociaż żyli z jej płodów.

Cztery kroki.

- Zakłady włókiennicze, które pańscy przyjaciele zamierzają wybudować w Stockport-on-the-Medlock, to pewna śmierć! Miejscowa ludność nie zdoła utrzymać się przy życiu bez pieniędzy zarabianych przez tkaczki. Pana plany oznaczają zastąpienie ludzi przez maszyny. A ludziom już teraz brakuje pracy. Nie mają pieniędzy na żywność i opał na zimę, pan zaś siedzi w swoim

przytulnym domu z gromadą innych bogaczy i zastanawia się, jak jeszcze bardziej pognębić tych nieszczęśników.

- I dlatego postanowiłaś nas okradać? Żałosne! - Brandon roześmiał się. Podobała mu się jej brawura, choć dziewczyna działała ze źle pojętych pobudek.

Trzy kroki.

- Nie biorę dużo. Stać was na to - stwierdziła i zademonstrowała mu złoty pierścionek z ametystem.

Stockport wstrzymał oddech.

- Ten pierścionek ma dla mnie szczególne znaczenie. Oddaj mi go natychmiast! - To nie była prośba, lecz rozkaz.

Dwa kroki.

Wyciągnął rękę, by odebrać swoją własność. Nawet nie przeszło mu przez myśl, że jego polecenie mogłoby nie zostać wykonane.

- Nie, nie oddam go panu. Ta błyskotka pozwoli mi nakarmić dwie rodziny.

- Co najmniej - warknął. - Oddawaj go, ty mała złodziejko. - Zrobił ostatni krok. Był teraz dość blisko, by dostrzec maskę zasłaniającą górną połowę twarzy kobiety.

Błyszczące, zielone oczy, rzeczywiście podobne do kocich, patrzyły na niego buntowniczo. Głowę miała obwiązaną ciemną, piracką chustą. Nie przejmując się bliskością lorda, rozwiązała węzeł i potrząsnęła głową. Ciemne jak noc włosy opadły jej do pasa. Przybrała wyzywającą pozę, opierając smukłą dłoń na biodrze.

- Dobrze, oddam pierścionek, ale oczekuję rekompensaty. Proszę dać mi coś o porównywalnej wartości.

Zlustrowała Brandona uważnie od stóp do głów. Odniósł nieprzyjemne wrażenie, że oglądała go jak wystawionego na sprzedaż ogiera. Wiele kobiet spoglądało na niego pożądliwie, czemu zresztą trudno się dziwić, bo trzydziestopięcioletni lord Stockport uchodził za jedną z najlepszych partii w Anglii. Ale zerkały ukradkiem, zza wachlarzy, spod spuszczonych powiek. Nigdy nie był oceniany w tak arogancki sposób, nawet przez kurtyzany.

- Ujdzie. Tak, zupełnie nieźle - oświadczyła, najwyraźniej usatysfakcjonowana wynikiem zuchwałych oględzin.

Ujdzie? Z niedowierzaniem uniósł brew.

- A może chciałabyś jeszcze zajrzeć mi w zęby? - zapytał chłodno. Niech sobie nie myśli, że uraziła jego męską dumę.

Uśmiechnęła się i wyzywająco zwilżyła językiem wargi.

- Znakomity pomysł, milordzie.

Zrobiła krok do przodu i zamknęła mu usta pocałunkiem, ucinając ewentualne protesty.

Brandon pozwolił jej przejąć inicjatywę. Nie zamierzał dać się uwieść tej małej złodziejce, a mimo to jego wargi rozchyliły się pod naciskiem jej ust. Kusicielka natychmiast wykorzystała chwilową przewagę i przylgnęła do niego. Jęknął. Zdradziło go własne ciało! Niski, zmysłowy śmiech dziewczyny uświadomił mu, że jego podniecenie przestało już być dla niej tajemnicą. Wsunęła mu palce we włosy i przytrzymała głowę. Był bez szans, znalazł się w niewoli. Nie dlatego, że jej pocałunek zdradzał najwyższej klasy mistrzostwo, ale dlatego, że wyczuł w nim coś więcej niż tylko chłodne

wyrachowanie. Był w nim prawdziwy żar. W cynicznym świecie, w jakim obracał się lord Wycroft, była to prawdziwa rzadkość.

Zamknął oczy i poddał się na chwilę rozkoszy. Dłonie małej złodziejki wśliznęły się pod jego koszulę, gładząc tors. Jeżeli zaraz nie przestanie, będzie po mnie - przemknęło mu przez myśl. Przesunęła dłoń niżej... Był zgubiony! Pragnął zatracić się bez reszty i by ona zatraciła się wraz z nim. Położył dłonie na biodrach Kocicy i leniwym ruchem kciuków zaczął je pieścić.

Kobieta odepchnęła jego ręce. Brandon nie przypominał sobie, by kiedykolwiek pocałunek podniecił go do tego stopnia. Chciał coś powiedzieć, by zapanować nad sytuacją, ale chłodna rezerwa i błyskawiczna riposta, które tak dobrze służyły mu w Izbie Lordów, teraz całkowicie go zawiodły. Nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa.

- Co się stało? - zadrwiła nieco ochrypłym głosem. Puściła do niego oko zza zakrywającej połowę twarzy maski, lekko wskoczyła na parapet i zanim zdążył zareagować, wykonała niebezpieczny skok na konar rosnącego koło domu dębu.

Rzucił się do okna. Obawa o życie Kocicy przeważyła nad rozsądkiem. Wpatrywał się w ciemność, lecz ani w gałęziach drzewa, ani na ziemi pod nim nie dostrzegł sylwetki złodziejki. Zniknęła bez śladu. Pozwolił jej uciec!

Gdy oprzytomniał, nie potrafił wyjaśnić własnego zachowania. Znany rzezimieszek włamał się do jego domu i ukradł cenny przedmiot, a on do tego dopuścił! Odwrócił się od okna. Coś błyszczało na dywanie. Wycroft pochylił się i podniósł pierścionek.

Zostawiła go. A więc w tej złodziejce tliła się jednak iskierka przyzwoitości. Zacisnął przedmiot w dłoni, zanim odłożył go na dawne miejsce: do aksamitnej szkatułki na stole.

Pochwycił swoje odbicie w lustrze. Jego nieskazitelna przed chwilą koszula była rozchełstana i pognieciona, a krawat rozwiązany. Nie powinien pokazać się w tym stanie mężczyznom zebranym w bibliotece, tym bardziej że postanowił nie informować ich o tym, co odkrył na górze. Musiał się przebrać.

Nora próbowała złapać oddech. Biegła nieprzerwanie od chwili, kiedy zsunęła się z dębu. Zatrzymała się dopiero w głębi lasu. Teraz, bezpieczna pod osłoną drzew, mogła wrócić myślami do tego, co zaszło. Pocałowała lorda Stockporta, znanego powszechnie Koguta z Północy!

Doszła do wniosku, że ten przydomek był w pełni uzasadniony. Wykroft paradował w swych wytwornych ubraniach właśnie jak kogut, który stroszy pióra i potrząsa grzebieniem przed stadkiem kur. Był wyjątkowo przystojnym mężczyzną i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Dbał o wygląd i mógł być pewien swej atrakcyjności.

Nagle wybuchnęła głośnym śmiechem, przypomniawszy sobie wyraz jego twarzy, gdy powiedziała o nim „ujdzie". To był najwspanialszy moment tego wieczoru. A potem sam jej się podłożył, proponując, by zajrzała mu w zęby. Pewnie wydawało mu się, że gdy podbije stawkę, ona się wycofa. Nora jednak nigdy w życiu nie robiła tego, czego się po niej spodziewano. Lubiła zaskakiwać, więc nie zdołała oprzeć się pokusie wykorzystania furtki, jaką przed nią nieopatrznie uchylił.

Ale tej pokusie powinna była się oprzeć. Pocałunek miał w założeniu zaskoczyć go i oszołomić, a tym samym umożliwić jej ucieczkę, gdy tymczasem to jej zaparło dech w piersiach. Całowała go zbyt długo, zbyt namiętnie. Kiedy to spostrzegła, było już niemal za późno.

Dosłownie w ostatniej chwili uświadomiła sobie, że mężczyzna przejął inicjatywę, pogłębił pocałunek i zaczął pieścić jej biodra. Sięgnęła po jedyną broń, jaka jej została - pierwsza przerwała kontakt i odezwała się. Wiedziała, że kto pierwszy przemówi, ten zyska przewagę. A potem uciekła.

Ta wyprawa okazała się wyjątkowo niebezpieczna, ale warto było podjąć ryzyko, bo do jutra rozejdzie się po okolicy wieść, że Kot z Manchesteru uderzył w Stockport Hall dokładnie w momencie, kiedy lord wraz z gośćmi debatował nad sposobami ujęcia go.

Nora i dwójka jej przyjaciół już od tygodnia obserwowali rezydencję Wycrofta - od chwili, gdy rozeszły się pogłoski, że lord został pilnie wezwany z Londynu i przerwał sesję parlamentu, by wziąć udział w naradzie nad sposobem rozprawienia się z nieuchwytnym złodziejem. Włamanie do jego domu w trakcie tej narady było demonstracyjnym zuchwalstwem, a wdarcie się do prywatnych pokojów stanowiło otwarte wyzwanie.

Apartament wyglądał równie elegancko, jak jego lokator. Na blacie stołu i na toaletce stało mnóstwo kosztownych drobiazgów, od grzebieni i szczotek w hebanowej oprawie po srebrne przybory do golenia. Powinna była je ukraść. Wystarczyłyby na wykarmienie całej

rodziny aż do lata. Ale jej wzrok przyciągnęło aksamitne puzderko i nie zdołała powstrzymać ciekawości.

Znaleziony pierścionek wystarczał w pełni do zaspokojenia jej potrzeb, a Kocica postawiła sobie za punkt honoru nigdy nie brać więcej niż to konieczne - tego między innymi pragnęła nauczyć tych pazernych baronów przemysłowych.

Obawiała się jednak, że zniknięcie tak drobnego przedmiotu mogło przez dłuższy czas pozostać niezauważone, a tym samym cel jej dzisiejszej wyprawy nie zostałby w pełni osiągnięty. Bo Norze zależało nie tylko na pieniądzach. Pragnęła, by Stockport wiedział, że włamała się do jego domu i to właśnie w trakcie tego zebrania. Postanowiła więc zrobić bałagan w pokoju, w którym każdy przedmiot zdawał się mieć swoje, ściśle określone miejsce.

Jak w wypadku każdej kradzieży zamierzała osiągnąć dwa cele: po pierwsze zmusić kolejnego notabla do powtórnego przemyślenia projektu budowy fabryki, a po drugie obudzić sumienie społeczeństwa i uświadomić mu rozpaczliwe położenie robotników. Lekceważenie zasad bezpieczeństwa pracy spowodowało śmierć jej rodziców. Ale nikt się tym nie przejął.

Wszystko szło zgodnie z planem, dopóki Kocica nie wpadła w ciemności na krzesło. Hałas nie był zbyt głośny, zwrócił jednak uwagę lorda, ponieważ biblioteka mieściła się dokładnie pod jego sypialnią. Dziewczyna z przyjemnością wróciła pamięcią do spotkania z panem domu.

Była zachwycona jego reakcją. Wzbudziła w nim pożądanie! Nie potrafiła jednak zrozumieć, dlaczego tak ją poruszyło lakoniczne

polecenie zwrotu pierścionka, że zgodziła się oddać klejnot w zamian za namiętny pocałunek. Podniecenie lorda Stockporta mogło sprawić jej satysfakcję, ale przecież nie nakarmi nim ani jednej biednej rodziny.

Potrzebowała pieniędzy, a noc była jeszcze młoda. Ruszyła przez pola do domu sędziego Bradleya po kolejne srebrne naczynie z kredensu. Nocny strażnik Bradleya był kompletnie do niczego. Za pół godziny będzie pogrążony we śnie albo pijany jak bela.

Dwie godziny później Nora wśliznęła się niepostrzeżenie do swego niepozornego domku i weszła na górę. Uśmiechnęła się na widok smugi światła pod drzwiami sypialni. Hattie, wspólniczka Kocicy, czekała na jej powrót. Sąsiedzi znali ją jako służącą do wszystkiego w tym biednym, ale przyzwoitym domu.

- Udało się? - zapytała, sięgając po worek z łupem. - Schować tam gdzie zawsze?

- Tak i tak. - Nora ściągnęła z twarzy maskę i wyciągnęła się wygodnie w fotelu.

- Wszystko poszło zgodnie z planem Alfreda? Rzeczywiście dało się wejść do domu po gałęzi? - Hattie zdjęła kapę z łóżka i naszykowała przyjaciółce nocną koszulę.

- Plan był znakomity, jak zawsze. - Nora zrobiła pauzę i dodała: - Spotkałam się z lordem. - Nie miała ochoty opowiadać o tym spotkaniu, należało jednak uprzedzić o nim wspólników, bo od jutra w całej okolicy będzie z pewnością aż huczało od opowieści o włamaniu do Stockport Hall, a trudno przewidzieć, w jaki sposób lord

przedstawi tę historię. Hattie i Alfred, drugi kompan Kocicy, nie powinni dowiedzieć się o tym z drugiej ręki.

- Nic dziwnego, że tak późno wróciłaś. Wpadłaś w tarapaty? - zapytała z niepokojem Hattie, odwracając się od toaletki.

- Poradziłam sobie. - Nora zbyła pytanie lekceważącym machnięciem ręki, choć nie mogła wyrzucić z pamięci ani chwili z tego spotkania. - Ale musiałam jeszcze wpaść do sędziego Bradleya, by nie wrócić z pustymi rękami. Dlatego jestem tak późno.

- To niebezpieczne, Noro! Zbyt często włamujemy się do Bradleya. Pewnego dnia zastaniemy go w domu i będą kłopoty.

- Potrzebujemy pieniędzy na paczki świąteczne - prychnęła Kocica, rozdrażniona dezaprobatą wspólniczki. - Boże Narodzenie za pasem, a w tym roku wyjątkowo dużo rodzin potrzebuje pomocy.

- Nie pomożesz im, jeśli zostaniesz aresztowana.

- Nie zostanę! - zapewniła Nora tonem kończącym dyskusję. Ale zaraz dodała łagodniej. - Idź do łóżka, Hattie. Już późno.

- Czy Eleanor Habersham oczekuje jutro gości? - zapytała przyjaciółka od drzwi.

- Jak w każdą środę po południu kilka pań wpadnie na herbatę i pogawędkę.

A lord Wycroft? Kiedy możemy się go spodziewać?

- Na razie chyba nie. Byłabym bardzo zaskoczona jego wizytą. Nie ma najmniejszego powodu, by szukać znajomości z panną Habersham - oświadczyła Nora z głębokim przekonaniem.

- Dobranoc. - Hattie cicho zamknęła za sobą drzwi. Kocica szybko się rozebrała i schowała czarny kostium do skrytki za tylną

ścianką szafy. Podobnie jak wiszące w niej dziwaczne suknie, szafa należała do poczciwej starej panny, Eleanor Habersham, którą Nora udawała przed światem. Panna Habersham była głupiutką, bezmyślną kobietką, nade wszystko kochającą ploteczki. O czwartej po południu jej niewielki salonik będzie prawdopodobnie pękał w szwach od miejscowych pań, pragnących wymienić opinie o kolejnej nocnej wyprawie Kota z Manchesteru.

Starała się zasnąć. Eleanor nie mogła pokazać się jutro z podkrążonymi oczami, bo przecież w monotonnym życiu starej panny nic nie uzasadniało niewyspania. Ale sen jakoś nie nadchodził. Zazwyczaj po kolejnej wyprawie myśli dziewczyny krążyły wokół ukrytych w skrytce łupów, sposobów ich upłynnienia i najpilniejszych potrzeb najbiedniejszych rodzin. Jej eskapady stawały się coraz zuchwalsze i bardziej ryzykowne, a pieniędzy ciągle brakowało.

Tej nocy jednak Nora nie mogła się uwolnić od myśli o gorących wargach Brandona i jego smukłym, silnym ciele. Odgrywała uwodzicielkę, by go skołować i uciec. Nie spodziewała się, że mężczyzna podejmie jej grę. Dla własnego bezpieczeństwa powinna zapomnieć o tym epizodzie. A jednak na tę myśl poczuła w sercu dziwną pustkę. Wiedziała, że wróci do Stockport Hall. Choćby przez przekorę.

Rozdział drugi

Lord Wycroft usiadł w małej jadalni Stockport Hall i odetchnął głęboko. Nic nie działało na niego tak kojąco, jak zapach jajecznicy na szynce i świeżo zaparzonej kawy. Z zadowoleniem spostrzegł leżący przy swoim nakryciu egzemplarz „Timesa", może wreszcie zdoła oderwać myśli od wczorajszego, godnego pożałowania epizodu.

Przez całą noc leżał podniecony, rozpamiętując spotkanie z Kocicą i wyzywał się w duchu od idiotów. Jak mógł pozwolić jej umknąć? Nie tylko nie wykorzystał znakomitej okazji do ujęcia poszukiwanej złodziejki, ale nawet szansy jej rozpoznania. Przecież mógł ściągnąć jej z twarzy maskę, choćby siłą. A nie zrobił nic!

Zaledwie otworzył gazetę na kolumnie finansowej, gdy wszedł jego kamerdyner, Cedrickson, i dyskretnie chrząknął, by zwrócić na siebie uwagę.

- Milordzie, sędzia Bradley pyta, czy zastał pana w domu. Poirytowany Brandon podniósł wzrok znad gazety.

- A gdzie mógłbym być o tej porze? Kto to słyszał, żeby składać wizyty wpół do dziesiątej rano? - W Londynie nikt nie ośmieliłby się zapukać do drzwi przed pierwszą po południu. Na prowincji obowiązywały jednak inne, mniej rygorystyczne zasady. Lord Stockport zdawał sobie sprawę, że jeśli będzie zachowywał się snobistycznie, nie zdoła pozyskać życzliwości lokalnego ziemiaństwa dla budowy przędzalni.

- Pozwolę sobie zauważyć, że pan sędzia wygląda na bardzo wzburzonego - odrzekł kamerdyner.

- Powiedział, jaką ma do mnie sprawę?

- Tak. Chodzi o Kota z Manchesteru.

Wycroft odłożył gazetę.

- Wprowadź go. I dodaj drugie nakrycie.

Gość rzeczywiście robił wrażenie kompletnie wyprowadzonego z równowagi. Jego rumiana zwykle twarz była blada, przepadła również prowincjonalna rubaszność, ustępując miejsca przygnębieniu. Przeprosił za tak wczesne najście i odmówił zjedzenia śniadania.

- Wszystko wygląda smakowicie, ale dzisiaj nie mógłbym niczego przełknąć. Proszę sobie wyobrazić, że kiedy radziliśmy wczoraj u pana nad rozwiązaniem problemu Kota z Manchesteru, ten łotr po raz trzeci włamał się do Wildflowers. Po raz trzeci! Moja nieszczęsna małżonka dostała ataku nerwowego. - Sędzia przerwał i otarł wielką chustką spocone czoło.

- Wyobrażam sobie. - Brandon rzeczywiście bez trudu wyobraził sobie histeryczne wrzaski połowicy Bradleya. - Co zginęło? Jest pan pewien, że to sprawka Kota?

- Zniknęły srebrne świeczniki i drobna suma pieniędzy na domowe wydatki. Tylko żona ma klucz do kredensu, w którym przechowywane są srebra. Zamek został wyłamany, a na miejscu znaleźliśmy, jak zwykle, kartę wizytową.

Stockport zainteresował się.

- Nie słyszałem dotąd o karcie wizytowej.

Sędzia sięgnął do kieszonki kamizelki.

- Takie obrzydlistwo - powiedział, podając ją lordowi.

Brandon przyjrzał się uważnie i stłumił uśmiech. Osoba podająca się za Kota wybrała kremowy papier, w kolorze śmietanki. Gość jednak z pewnością nie dostrzegł w tym nic zabawnego, podobnie jak w samym fakcie, że złodziej zostawia karty wizytowe w domach swoich ofiar pochodzących z wyższych sfer.

Na eleganckim papierze widniał zamaszysty napis: „Kot z Manchesteru". I nic więcej.

- Wszyscy to dostają? Wczoraj żaden z panów o tym nie wspomniał, ani Witherspoon, ani żaden z inwestorów. - Wycroft oddał Bradleyowi wizytówkę. Kocicy zabrakło zapewne czasu, by podrzucić kartę u niego.

- No bo... - sędzia chrząknął z zażenowaniem. - ... to dla nas krępujące. Wszyscy je dostali. Niektórzy nawet po kilka. Ja trzy - wymamrotał. - Nie mam pojęcia, co robić. Wygląda na to, że jesteśmy jego ulubionymi ofiarami. Nie rozumiem, dlaczego się na nas uwziął!

Bo jesteście łatwym celem, pomyślał Brandon, na głos zaś powiedział:

- Radzę zmienić nocnego strażnika, podobnie jak nocne zwyczaje, a Kot nie będzie tak niefrasobliwie do was zaglądać.

- Jak złapiemy tego rzezimieszka, to nie będziemy potrzebować żadnych strażników! - zawołał sędzia porywczo. - Jedynym domem, do którego nie było dotąd włamania, jest pańska rezydencja. - Gość wyczuł najwyraźniej, że posunął się za daleko. Nawet na prowincji obowiązuje szacunek wobec wyżej urodzonych. Zakaszlał, żeby pokryć zakłopotanie. -Przepraszam, milordzie.

- Jak powiedziałem, patrole i czujne straże mogą zapobiec przestępstwom. - Wycroft udał, że nie zauważył gafy Bradleya, nie poinformował go również o wczorajszym incydencie. Ciekawe, że po opuszczeniu Stockport Hall Kocica zaatakowała kolejny dom. Lokaj Brandona stwierdził, że nic nie zginęło, choć w pokoju było sporo wartościowych przedmiotów: złote spinki do mankietów, diamentowe szpilki do krawatów i cenne zegarki kieszonkowe. W sypialni panował tylko okropny bałagan. I to zrobiony celowo.

- Mam już po uszy tego pilnowania i strażników. Będziemy bezpieczni dopiero wtedy, kiedy ten Kot zostanie ujęty - odrzekł poirytowany sędzia. - Dlatego tutaj przyszedłem. Zbyt długo byliśmy bezczynni. Teraz, kiedy pan przyjechał, możemy przystąpić do działania.

Brandon wypił łyk kawy i odstawił filiżankę na spodek, zanim odpowiedział.

- Mówiłem wczoraj, że podobnie jak wszyscy, chciałbym jak najszybciej rozwiązać ten problem. Nie wiem tylko, od czego zacząć. Czy pański strażnik widział intruza? - zapytał, choć wiedział doskonale, że nikt, prócz niego samego, nie widział włamywacza.

- Wiadomo, że musi mieszkać na naszym terenie, bo zna plany domów tutejszej śmietanki towarzyskiej - zauważył sędzia. Lord Stockport był pod wrażeniem, bo nie posądzał go o taką inteligencję.

- A czy zanim rozpoczęły się te napady, nie wprowadził się tutaj ktoś nowy? - zapytał.

Bradley zastanawiał się przez chwilę.

- Odkąd zaczęliśmy planować budowę fabryki, w okolicy zaroiło się wręcz od nowych mieszkańców: robotników, nadzorców, architektów, inżynierów, inwestorów.

- Skoro ta droga prowadzi donikąd, zastanówmy się nad motywem - zaproponował Wycroft i poruszył się niespokojnie na krześle. Rozmowa o Kocie wywoływała dziwny i niepożądanie silny odzew w dolnych partiach jego ciała. - Może ten rabuś jest przeciwny budowie fabryki, bo uważa, że ludzie stracą przez to pracę? - bezwstydnie posłużył się argumentem, jaki usłyszał z ust Kocicy. Miał nadzieję, że sędzia chwyci przynętę.

- To śmieszne! Nikt nie uwierzy w taki idiotyzm! - zawołał tamten z przekonaniem. - A przynajmniej żaden Anglik. To sprzeczne z naszym charakterem narodowym!

Lord uznał, że jednak przecenił inteligencję Bradleya. Czyżby ten człowiek sądził, że problemy, które wywołały dwanaście lat temu rebelię w Peterloo, zostały definitywnie rozwiązane? Zresztą z czasem w Anglii wykształciła się silna, dobrze zorganizowana klasa robotnicza.

Industrializacja spowodowała takie zmiany, że zaczęto uznawać potrzebę nowych uregulowań prawnych - nad tym właśnie debatowali w parlamencie, kiedy Wycroft został wezwany do Stockport-on-the-Medlock w związku z napadami. Nic dziwnego, że Bradley nie potrafił dostrzec motywu zbrodni. Biedak, jak wielu przedstawicieli prowincjonalnego ziemiaństwa, nie umiał zaakceptować nowej rzeczywistości.

- W takim razie zacznijmy jednak od nazwisk. - Brandon powrócił do swej poprzedniej propozycji.

Sędzia pochylił się do przodu, a w jego głosie zabrzmiała wyraźna frustracja.

- W Stockport-on-the-Medlock naprawdę nie pojawili się ostatnio żadni nowi mieszkańcy, milordzie, oczywiście jeśli nie liczyć inwestorów.

- Nikt więcej? Trudno mi w to uwierzyć, skoro ekspansja terytorialna Manchesteru postępuje w takim tempie, że jego przedmieścia dzieli od naszego miasteczka zaledwie pięć mil. Spodziewałbym się raczej dużego zainteresowania okolicznymi majątkami w nadziei na przyszłe zyski.

Bradley poruszył się nerwowo. Aha, pomyślał Wycroft, więc jednak jest ktoś nowy!

- Rzecz w tym, że ci nowo przybyli są poza podejrzeniem. - Sędzia odetchnął głęboko. - Na przykład nowy pastor. Przybył tu z pana polecenia, więc trudno go brać pod uwagę. Nie sposób również podejrzewać przemysłowców, bo co by im przyszło z napadania na samych siebie? A ich domy ucierpiały najbardziej.

- O nich możemy zapomnieć - stwierdził Brandon, czując, że gość coś ukrywa. - Ktoś jeszcze?

- Pozostaje już tylko panna Eleanor Habersham. - Bradley potrząsnął głową. - Ale jak w ogóle można w takim kontekście wymieniać nazwisko tej poczciwej starej panny? To głupiutka kobiecina, choć miejscowe damy ją uwielbiają. Moja żona wybiera się dzisiaj do niej na herbatę. Panna Habersham podaje zawsze pyszne

ciasteczka. Przynajmniej moja małżonka tak twierdzi. Muszę jej wierzyć na słowo, bo kiedy zaraz po przyjeździe Eleanor chcieliśmy wraz z pastorem złożyć jej wizytę, okazało się, że woli ona nie mieć do czynienia z mężczyznami. Pewnie czuje się przy nich onieśmielona, biedactwo.

- Wydaje się zatem całkiem nieszkodliwa - rzucił Stockport.

- To prawda. Jest nieśmiałą kobietą, która nie ma pojęcia o świecie - przyznał sędzia.

- Niewykluczone jednak, że choć panna Habersham nie ma nic wspólnego z tymi napadami, to sprawcą jest ktoś z jej domowników. Mógł kraść za jej plecami. - Taki scenariusz wydawał się Brandonowi najbardziej prawdopodobny, ponieważ kobieta, z którą spotkał się poprzedniej nocy, z pewnością nie zachowywała się jak stara panna.

Bradley wydawał się autentycznie poruszony tą ewentualnością.

- To mi nie przyszło do głowy! Biedactwo! To okropne, że może nie zdawać sobie nawet sprawy z tego, iż jest w centrum wydarzeń. Musimy coś zrobić!

Taką właśnie reakcję chciał wywołać Wycroft. Nie będąc oficjalnie przedstawionym pannie Eleanor, nie mógł wprosić się na damską herbatkę, bo wyszedłby na człowieka nieokrzesanego. Musiał więc nakłonić sędziego, by poszedł tam wraz z nim i przedstawił go zgodnie z obowiązującymi zasadami.

- Jaki będzie nasz następny krok? - zapytał.

- Może powinniśmy wybrać się na tę dzisiejszą herbatkę. Skorzystamy z zaproszenia dla mojej żony i wkręcimy się do

zamkniętego kobiecego kółka panny Habersham. Dla jej własnego dobra.

- Kapitalny pomysł! - zgodził się Brandon. - Chyba już najwyższy czas, by ta dama wyzbyła się chorobliwej nieśmiałości wobec mężczyzn. I najwyższy czas, by lord Stockport przywitał na swoich ziemiach nową sąsiadkę.

To, co Bradley powiedział o najnowszej mieszkance Stock-port-on-the-Medlock, w najmniejszym stopniu nie przygotowało Wycrofta na popołudniową herbatkę u panny Habersham. Po pierwsze, biedaczka miała pecha mieszkać w Old Grange, starym, wiejskim dworze, ongiś całkiem miłym, ale obecnie chylącym się ku upadkowi. Wystarczyło spojrzeć na nędzny ogród i wyłysiały trawnik przed domem. W grudniu wszystko wygląda najgorzej, pomyślał Brandon, zsiadając z wierzchowca.

Podał służącemu swą kartę wizytową, natychmiast skreślając go z listy podejrzanych ze względu na płeć. Kot z Manchesteru bez najmniejszych wątpliwości był kobietą. Służący obrzucił go nieufnym spojrzeniem i burknął, że mężczyźni nader rzadko bywają dopuszczani przed oblicze panny Habersham, ale poprowadził gościa wąskim korytarzem do salonu.

Zanim jeszcze Wycroft przestąpił próg, dobiegł go gwar kobiecych głosów. Gdyby nie to, mógłby pomyśleć, że wszedł do magazynu manekinów. Na jego widok panie bowiem zamilkły i znieruchomiały z filiżankami w ręku. Najwyraźniej obecność mężczyzny w tym domu stanowiła prawdziwy wstrząs. Brandon już wyobrażał sobie plotki, jakie obiegną miasteczko następnego dnia -

lord Stockport przyszedł nieproszony na cotygodniowe damskie pogaduszki w salonie starej panny.

- Witam, miłe panie. - Skłonił się wszystkim obecnym. -Nie chcę przeszkadzać, ale pan sędzia Bradley zapewnił mnie, że to najlepsza okazja, by poznać jedną z najważniejszych osób w naszym mieście. - Błysnął wystudiowanym, oszałamiającym uśmiechem.

Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu damy, która odpowiadałaby jego wyobrażeniom o pannie Habersham. Kobieta, która wstała na jego powitanie, postawiła go w stan alarmu. Jako doświadczony polityk nauczył się dostrzegać w ludziach fałsz. A ona była nieautentyczna: pod niezgrabnym brązowym odzieniem kryło się ciało absolutnie nieprzystające do wyobrażeń o starej pannie.

Zapewne odrażająca suknia miała zakamuflować cudowną figurę, podobnie jak surowe uczesanie zwrócić uwagę na grube okulary tkwiące na nosie panny Eleanor; stanowiły jedynie element przebrania, wystarczyło spojrzeć na szkła.

Okulary nie tylko szpeciły twarz kobiety, kryły również jej oczy. To zaniepokoiło Brandona. Zwykł patrzeć rozmówcy w oczy, bo tylko z nich można było wyczytać prawdę. Coś tu było nie w porządku.

- Pańska niespodziewana wizyta to dla nas prawdziwy zaszczyt, milordzie. Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem Eleanor Habersham.

- To ja czuję się zaszczycony. - Lord Stockport pochylił się nad dłonią panny Habersham, jakby miał do czynienia z brylantem najczystszej wody. Spodziewał się chichotów i mizdrzenia się, jak

zwykle, gdy zdradził zainteresowanie jakąkolwiek kobietą. Tym razem było inaczej.

- Co pana sprowadza do Grange?

Czyżby usłyszał twardy ton w nosowym głosie gospodyni?

- Przyszedłem powitać nową sąsiadkę - odparł, po czym zwrócił się do pozostałych pań. - A także zasięgnąć informacji o Kocie z Manchesteru. Powszechnie wiadomo, że panie są oczami i uszami tej wioski.

W pokoju rozległ się gwar głosów kobiet, gotowych natychmiast opowiedzieć mu wszystko, co wiedzą. Alice Bradley, chcąc uciszyć przyjaciółki, pomachała koronkową chusteczką do nosa.

- Ten świat doprawdy schodzi na psy, skoro porządny człowiek nie może spać spokojnie we własnym domu. Już trzeci raz zostaliśmy obrabowani! - lamentowała. - Panno Habersham - zwróciła się do Eleanor - czy wie pani, że ma pani coś wspólnego z jego lordowską mością? Tylko do waszych domów Kot się jeszcze nie włamał. - Przyjrzała się Brandonowi w zamyśleniu. - To dziwne, że pańska rezydencja nie została napadnięta. Przez ostatnich kilka tygodni stała pusta, a - proszę o wybaczenie - ma pan znacznie więcej do zrabowania niż pozostali.

- Przykro mi słyszeć o pani wczorajszej stracie, madame. Dziś rano zastanawialiśmy się z panem sędzią, kto może być odpowiedzialny za rabunki. Ja i panna Habersham możemy się uważać za szczęściarzy. Wolałbym jednak złapać złodzieja, niż nadal liczyć na szczęście - rzucił Stockport od niechcenia, nie odrywając wzroku od Eleanor, by nie przeoczyć jej reakcji.

Pomimo grubych szkieł zdołał zauważyć, że oczy gospodyni rozszerzyły się, kiedy wspomniał o Kocie z Manchesteru. A gdy padło stwierdzenie, że tylko ich domy nie zostały jeszcze obrabowane, ośmieliła się podnieść wzrok. To było zaledwie przelotne spojrzenie, zdążył jednak dostrzec przenikliwe, chłodne, zielone oczy, zdecydowanie zbyt żywe jak na nieśmiałą starą pannę.

Gość pozwolił, by rozmowa zeszła na kostiumy, w jakich panie zamierzały wystąpić na zbliżającym się gwiazdkowym balu maskowym. Dzięki temu mógł uważniej przyjrzeć się pannie Habersham. Wiedział z doświadczenia, że większość ludzi skrywa swą prawdziwą twarz pod maską. Nauczył się dostrzegać to, co próbują ukryć przed światem. Próbował teraz dociec, jaki rodzaj maski nosi Eleanor i dlaczego.

Gotów był założyć się o duże pieniądze, że nie potrzebowała okularów. Grube szkła miały po prostu ukryć wielkość i kształt jej oczu. I usprawiedliwić spuszczony wzrok. Pewnie nic przez nie nie widziała. No i ta fryzura! Ściągnięte w surowy koczek burobrązowe włosy nie dodawały urody.

Przeciętny mężczyzna zapewne dałby się zwieść pozorom, ale Brandon dostrzegł pewne cechy, które nie pasowały do wykreowanego obrazu. Skóra kobiety była gładka jak alabaster i nieskazitelna. Pomimo demonstrowanego zmieszania ręka podnosząca do ust filiżankę herbaty była całkowicie spokojna, nie drżała. Przygarbiona, pokorna postawa maskowała wysoki, jak na kobietę, wzrost. Wycroft podejrzewał, że gdyby się wyprostowała, miałaby pewnie ponad pięć i pół stopy!

Również jej figura nie pasowała do wizerunku starej panny. Pruderyjnie surowy przyodziewek nie był w stanie zatuszować zgrabnej sylwetki. Miała wąską talię, długie nogi, smukły stan i wspaniałe piersi, choć wyraźnie starała się je spłaszczyć krępującym strojem. Nie, pod tą obrzydliwą suknią nie kryła się bynajmniej chuderlawa stara panna.

Minęło już piętnaście minut, dłużej nie należało przeciągać niezapowiedzianej powitalnej wizyty, a sędzia Bradley nie pojawił się. Widać nie znał pojęcia męskiej lojalności. Lord Stockport zaczął zbierać się do wyjścia.

- Czy mogę prosić, by mnie pani odprowadziła? - zwrócił się do gospodyni. - Chciałbym porozmawiać o sprawie bezpieczeństwa. Ponieważ pani dom nie padł dotychczas ofiarą włamywacza, obawiam się, że wkrótce zostanie zaatakowany. Czy ma pani wystarczająca ochronę? Mogę przysłać ludzi, by stanęli na straży.

- To nie będzie potrzebne - odparła panna Habersham tonem zamykającym dyskusję. Był zaszokowany, nie spodziewał się odmowy.

- Muszę zaprotestować... - zaczął.

- Nie, milordzie. To ja muszę zaprotestować. Kot nie zainteresuje się moim domem. Proszę się rozejrzeć dokoła. Nie posiadam niczego, co mógłby ukraść. Nie mam sreber ani chińskiej porcelany, zaledwie parę bibelotów i pamiątek. Dysponuję skromnym dochodem.

Dotarli do drzwi i Brandon czuł, że panna Eleanor pozbędzie się go z prawdziwą przyjemnością.

- Dziękuję za ostrzeżenie. Dam panu znać, gdybym zmieniła zdanie w kwestii pańskiej propozycji. - Żadnych uprzejmości, żadnych zaproszeń do następnych odwiedzin, żadnych zachęt do kolejnego spotkania.

Wycroft wskoczył na konia, niezadowolony z przyjęcia. Spodziewał się przebojem wkroczyć w życie panny Habersham. Pewien swego uroku, rozpieszczany przez londyńskie damy, oczekiwał, że wiejska stara panna będzie się rozpływać z zachwytu, wdzięczna za najmniejszy przejaw zainteresowania, a tymczasem ona odrzuciła i jego zainteresowanie, i ofertę pomocy.

Wizyta w Grange nie przebiegła zgodnie z planem, nie okazała się jednak daremna. Prostoduszny sędzia mógł definitywnie skreślić Eleanor z listy podejrzanych, Brandon wiedział jednak o czymś, o czym tamten nie miał pojęcia. Kot z Manchesteru był kobietą. Dziwnym zbiegiem okoliczności Kot i dama ukrywająca się pod maską nieciekawej starej panny pojawili się w Stockport-on-the-Medlock w tym samym czasie. Co do jednego zaś Wycroft zyskał dzisiaj pewność: Eleanor nie była nieszkodliwą starą panną. Stanowiła zagadkę.

Rozdział trzeci

Nora oparła się o drzwi sypialni. Wreszcie sama! A już myślała, że goście nigdy sobie nie pójdą! Środowe herbatki trwały zwykle półtorej godziny. Dzisiaj panie zasiedziały się do wpół do siódmej, omawiając każdy szczegół wizyty lorda.

Wyciągnęła spinki i z westchnieniem ulgi zdjęła perukę. Kto by pomyślał, że może być tak niewygodna? Rozpuszczone włosy opadły swobodnie na ramiona. Nora podeszła do toaletki, schowała okulary do małej szufladki i zaczęła rozcierać grzbiet nosa.

A zaczęła się ta dzisiejsza herbatka całkiem przyjemnie. Alice Bradley rozwodziła się nad poniesionymi stratami. Dzięki jej gadulstwu sława Kota z Manchesteru rosła. A Kot potrzebował rozgłosu, jeśli miał osiągnąć swój cel. Gdyby został uznany za groźnego bandytę, jego obecność mogłaby zniechęcić potencjalnych inwestorów do lokowania pieniędzy w tutejszą fabrykę. Ale póki jeszcze osiedlali się w Stockport-on-the-Medlock, z przyjemnością pozbawiał ich kosztowności, by karmić bezrobotnych i ich rodziny.

A potem zjawił się lord Stockport, zabójczo przystojny i nieskazitelnie elegancki. Poprzedniej nocy Nora czuła przy sobie jego doskonale zbudowane ciało, w mroku nie widziała jednak wyraźnie rysów pięknej twarzy. Dzisiaj, w popołudniowym słońcu, mogła w pełni docenić prosty, wąski nos, klasyczne kości policzkowe i ciemnoniebieskie oczy. Jego uroda przyciągała powszechną uwagę.

Kobiety zgromadzone w jej saloniku nie odrywały od niego wzroku. I chłonęły każde słowo tego ciemnowłosego, niebieskookiego diabła.

Jego wizyta byłaby prawdziwym uśmiechem losu, gdyby opowiedział o włamaniu do swego domu. Ale on udawał, że Stockport Hall nie zostało nawiedzone przez Kota. Kłamca!

A przecież tylko dla rozgłosu włamała się poprzedniej nocy do jego rezydencji. Skoro nikomu o tym nie powiedział, cały jej wysiłek poszedł na marne. Przypuszczała, że Wycroft będzie zachowywał się jak wszyscy: że będzie biegał z tą nowiną po całym miasteczku i okazywał swe oburzenie. Problem w tym, że on nie był taki jak wszyscy. Przekonała się o tym już poprzedniej nocy, nie zrozumiała jednak wówczas, jakie będzie to miało dla niej konsekwencje.

Nora opadła na krzesło przed toaletką i zaczęła szczotkować włosy. Poprzedniej nocy uważała, że pocałunek, choć ryzykowny, był posunięciem zuchwałym i błyskotliwym. Teraz zrozumiała, że był błędem. Nic dziwnego, że Brandon nie powiedział nikomu o jej wizycie. Bo co mógł powiedzieć, żeby nie wyjść na głupca?

A lord Wycroft niewątpliwie był wysokiego mniemania o sobie. Wystarczyło spojrzeć, jak się uśmiechał, jak uwodził panie w jej salonie. Był dumny i w pełni świadom swego oddziaływania na ludzi. Nie mógł przecież przyznać, że zwyczajna złodziejka... że jakakolwiek kobieta przejęła inicjatywę i zmusiła jego ciało do reakcji.

Ten pocałunek to jej pierwszy błąd. Drugim było pozostawienie pierścionka. Gdyby go zabrała, Stockport bez wątpienia powiadomiłby o włamaniu Kota do swej posiadłości, na wypadek,

gdyby ktoś zauważył gdzieś utracony klejnot, który najwyraźniej wiele dla niego znaczył. Niewykluczone, że ofiarowałby nagrodę za jego zwrot. A gdyby nawet tego nie zrobił, mogła zmusić go do wypłacenia okupu. To zadecydowało. Postanowiła wrócić w nocy do jego domu i naprawić swój błąd. Następnego dnia już od rana w całej okolicy będzie huczało od wieści o kolejnym włamaniu Kota.

Tuż przed północą Nora podeszła do Stockport Hall od południowej strony. Światło paliło się już tylko w bibliotece. Nie była tym zaskoczona. Miała informacje z wiarygodnego źródła. Wycroft przyjeżdżał do swej wiejskiej posiadłości zawsze sam i do późna w nocy przesiadywał w bibliotece, do której istniało dogodne wejście prosto z ogrodu. Najpierw jednak należało wspiąć się po drzewie do jego sypialni i zabrać pierścionek. Potem, po małym tête-à-tête z lordem, opuści dom przez bibliotekę.

Wejście na drzewo nie sprawiło dziewczynie najmniejszych trudności, jej dłonie i stopy bezbłędnie odnajdowały znalezione poprzedniej nocy punkty oparcia. Sama wspinaczka nie stanowiła więc wyzwania, problemem było przedostanie się z drzewa do pokoju.

Nora wspięła się na wyższą gałąź i z góry zajrzała w okno. Położyła się na brzuchu na masywnym konarze, który bez trudu utrzymał jej ciężar. Ta gałąź była znacznie pewniejsza od niższej, po której wczoraj uciekła. Wyjęła zza paska zwój czarnej liny i starannie zawiązała ją wokół gałęzi. Szarpnęła mocno i z zadowoleniem kiwnęła głową: węzeł ją utrzyma. Zerknęła na zegarek - pozostało dziesięć minut do chwili, gdy doskonale wyćwiczeni strażnicy

Stockporta dotrą w to miejsce, aż za dużo czasu na wśliznięcie się do pokoju.

Spuściła się na linie i rozhuśtała ją, by zbliżyć się do wąskiego parapetu. Trzymając się jedną ręką liny, drugą złapała za klamkę okienną.

Zwycięstwo! Okno było niedomknięte. Odchyliła je, wskoczyła do pokoju, po czym szarpnęła czarną linę i wciągnęła ją za sobą. Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że sypialnia została uporządkowana, a puzderko z biżuterią wróciło na swoje miejsce.

Dziewczyna uniosła wieczko i znalazła leżący na czerwonym aksamicie pierścionek. Złapała go i niespodziewanie poczuła wyrzuty sumienia. Zacisnęła powieki i wyobraziła sobie ludzi, którym dzięki temu klejnotowi będzie mogła pomóc. Mały Timmy Black, najmłodszy z siedmiorga rodzeństwa, będzie miał do wiosny gorącą owsiankę. Wdowa Malone, która straciła męża na skutek zaniedbania bezpieczeństwa pracy w przędzalni bawełny, dostanie ciepłą odzież dla trojga swoich dzieci. Nie wspominając już wielu innych potrzebujących. Nora porwała pierścionek i szybko zamknęła wieczko szkatułki, przypomniała sobie, Stockport go odzyska. Pożyczała tę cenną biżuterię tylko na pewien czas, w imię wyższego dobra.

Od razu poczuła się lepiej. Schowała klejnot do woreczka u pasa i uśmiechnęła się lekko na myśl o kolejnym zaplanowanym posunięciu: wizycie u Brandona.

Bez przeszkód zeszła po chodach do biblioteki i ta łatwość, o dziwo, zwiększyła tylko jej gniew na tego człowieka. Ingela

pogrążoną w ciemnościach główną klatkę schodową, nie spotykając nikogo, nawet służby. To skandal, żeby jedna osoba zajmowała tak obszerny dom, podczas gdy wielodzietne rodziny gnieździły się w jednej izbie!

Dotarła do biblioteki i zajrzała przez uchylone drzwi. Wycroft, całkowicie pochłonięty korespondencją, siedział przy ogromnym mahoniowym biurku zarzuconym dokumentami. W świetle lampy jego włosy lśniły jak wyrzeźbione z obsydianu. Gdyby nie arogancja, byłby uderzająco przystojnym mężczyzną.

Podniósł głowę i zza szkieł błysnęły jego intensywnie niebieskie oczy. Zza szkieł? Okulary?! Stockport nosił okulary? Trudno jej było pogodzić obraz, który miała przed sobą, z wyobrażeniem lorda jako sławnego na całą okolicę uwodziciela. Ostrzegano ją jednak, że dobrze sobie zasłużył na reputację Koguta z Północy i że szukał wyłącznie przygód bez zobowiązań.

Brandon znieruchomiał, próbując przebić wzrokiem ciemność za drzwiami. Zdjął okulary, pomasował palcami grzbiet nosa i ponownie zwrócił oczy na drzwi. Czyżby domyślił się, że tam stała? Nora cofnęła się głębiej w mrok. Ale zaraz skarciła się w duchu. Kot z Manchesteru nie kryje się po kątach. Wchodzi, gdzie zechce i kiedy zechce.

- Dobry wieczór, Stockport. Pozostały nam do załatwienia pewne sprawy.

- To ty! Jak tutaj weszłaś? - Rozpoznał intruza i w jego niebieskich oczach pojawił się chłód.

Dziewczyna z lubością wpatrywała się w jego pełną niedowierzania minę. Najwyraźniej lord nie przepadał za niespodziankami.

Wyciągnęła się wygodnie w przepastnym, krytym skórą fotelu i przewiesiła nogi przez poręcz.

- Tak samo jak wczoraj. Nie jest pan tak bystry, jak myślałam. Haczyk przy oknie nadal jest uszkodzony. - Rzuciła mu rozbawione, prowokacyjne spojrzenie.

- Mądry złodziej nie wraca tak szybko na miejsce przestępstwa - odparł.

Uśmiechnęła się złośliwie.

- Nie jestem mądrym złodziejem. Jestem złodziejem genialnym. A taki postępuje zawsze w sposób nieprzewidywalny.

Wycroft wstał zza biurka i podszedł do barku, na którym stały karafki z trunkami w różnych odcieniach bursztynu. Sznur dzwonka na służbę znajdował się teraz w zasięgu jego ręki. Jeden ruch, a będą mieli towarzystwo. A z tej wygodnej pozycji w fotelu Norze niełatwo byłoby zerwać się dość szybko, by na czas dopaść drzwi prowadzących do ogrodu. Ufała jednak swej intuicji, która podpowiadała jej, że lordowi zależy na ukryciu włamania do swego domu, że jednak nie wezwie pomocy.

- Mam wyrazić uznanie dla twojej biegłości w złodziejskim fachu? - zapytał chłodno. Jego smukła dłoń odsunęła się od sznura dzwonka i sięgnęła po szklaneczkę. Zagrożenie minęło. Postanowił nie wzywać służby.

Odetchnęła z ulgą.

- Przecież widzę, że jest pan pod wrażeniem.

Podniósł wzrok znad przygotowywanego drinka i pytająco uniósł brew.

- Skąd ten pomysł? - zapytał zgryźliwie.

- Stąd, że teraz, kiedy mógłby mnie pan złapać, nie zrobił pan nic, by wezwać pomoc. Czy to brandy? Ja też poproszę o szklaneczkę, podwójną, jeśli pan łaskaw. - To go naprawdę zaszokowało. A o to jej chodziło.

Podał jej alkohol i wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

- Dostałaś już drinka, więc może powiesz, jakie mamy niezakończone sprawy. Nie mam ochoty spędzić tu całej nocy i ty pewnie też nie - oświadczył. - Podejrzewam, że musisz jeszcze dzisiaj wpaść do sędziego - dodał szyderczo.

- Nikomu pan nie zdradził, że Kot z Manchesteru włamał się do pańskiego domu. Dlaczego? - Nora wpatrywała się badawczo w jego twarz.

Stockport uśmiechnął się z wyższością ponad krawędzią swej szklaneczki.

- Nie powiedziałem o tym nikomu, ponieważ tobie bardzo zależało na tym, bym poinformował wszystkich. Nie zamierzam spełniać zachcianek złodziejek bez zasad.

Gniewnym ruchem opuściła nogi na ziemię.

- Nie jestem pozbawiona zasad!

- Zabierasz rzeczy, które do ciebie nie należą - zauważył.

- Dla szczytnych celów. I tylko ludziom, którzy mają więcej, niż potrzebują - oświadczyła stanowczo.

Skrzywił się.

- Stroisz się w piórka współczesnego Robin Hooda. Mam uwierzyć, że oddajesz wszystko biednym?

- Niczego nie zatrzymuję dla siebie. Gdyby mi zależało na pieniądzach, nie ograniczałabym się do świeczników czy drobniaków. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę zapytać pannę Habersham o sierocińce w Manchesterze i rodziny z dzielnic nędzy. Tam też powiedzą panu wszystko o Kocie z Manchesteru.

Na wzmiankę o pannie Habersham Brandon zaostrzył uwagę.

- A co ta nieśmiała kobieta ma wspólnego z twoją działalnością?

- Tyle samo co pozostałe panie z okolicy. Od czasu do czasu, nie mając o tym pojęcia, przenoszą łupy Kota w koszach z żywnością dla ubogich. Szczególnie w okresie przedświątecznym skala potrzeb jest ogromna. W każdy trzeci czwartek miesiąca panie wyprawiają się do Manchesteru, by spełnić obowiązek dobroczynności. - Ostatnie słowa Kocicy były zabarwione wyraźną nutką cynizmu.

- One przynajmniej znalazły uczciwy sposób spełniania dobrych uczynków - padła natychmiastowa riposta.

- Raz na miesiąc można najwyżej poprawić sobie samopoczucie - prychnęła Nora. Zapewne powiedziała zbyt wiele, ale przypuszczała, że Stockport nikomu tego nie powtórzy. Wstała z fotela i zbliżyła się do biurka, żeby zmienić temat rozmowy. - Nad czym pan tak pracuje do późna w nocy? - Złapała leżącą na wierzchu kartkę, choć w ostatniej chwili próbował jej ją wyrwać.

- A, praca w parlamencie. Reformy? To krok we właściwym kierunku, ale Izba Lordów na pewno nie przyjmie tej ustawy, bo znacznie osłabiłaby własną pozycję.

- Jestem zdumiony, że o tym wiesz.

- Kradnę dla wyższych celów - przypomniała mu. - Dopóki rząd nie zatroszczy się o ubogich, ktoś musi to wziąć na siebie.

- Już niedługo, jeśli premier Grey zrealizuje swoje plany.

- Ależ z pana optymista. Budżet został dwukrotnie odrzucony przez Izbę Lordów. Nie sądzę, by cokolwiek w tej sprawie mogło się zmienić, niezależnie od tego, ile razy Izba Gmin wystąpi jeszcze z tym projektem.

- Jesteś zadziwiająco dobrze poinformowana jak na osobę stojącą poza prawem - skomentował Stockport z niechęcią. - Rozumiem jednak, że uchwalenie budżetu mogłoby skomplikować twoją sytuację. Zostałabyś bez pracy.

- Wątpię, milordzie. Zawsze będą ci, którzy mają więcej, niż potrzebują, i zawsze znajdzie się cel, o który warto walczyć. Lista niesprawiedliwości na tym świecie jest bardzo długa. -Pochyliła się nad biurkiem, ich twarze dzieliło od siebie tylko kilka cali. Brandon mimowolnie rozchylił usta w oczekiwaniu na pocałunek. Cofnęła się z kpiącym uśmieszkiem. - Nie, chyba jednak pana nie pocałuję. Choć wydaje mi się, że bardzo pan tego pragnie.

Nie odrywając od niego wzroku, cofnęła się tyłem ku drzwiom wychodzącym na ogród i otworzyła jej bez przeszkód.

- Dziękuję za brandy.

- Zostaniesz aresztowana. Jeśli nie przeze mnie, to przez kogoś innego - oznajmił z przekonaniem.

- Wątpię. - Wyciągnęła zza pasa woreczek i pomachała nim zwycięsko. - Na pana miejscu naprawiłabym haczyk w oknie. - Wykonała teatralny ukłon. - Życzę dobrej nocy, milordzie.

Stockport wpatrywał się w miejsce, w którym przed chwilą stała. A niech to! Znowu? Z lampą w dłoni wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Wróciła po pierścionek! Powinien się tego domyślić, kiedy powiedziała, że weszła tą samą drogą. Już drugi raz wdarła się do jego domu i zdołała go zaskoczyć. Może rzeczywiście była genialną złodziejką. Bez wątpienia nie spodziewał się jej powrotu, a jeszcze mniej, że przy szklaneczce najlepszej brandy będzie dyskutował z nią o polityce. Jedno było pewne: tak wykształcona osoba nie mogła pochodzić z nizin społecznych.

Podniósł wieczko szkatułki i jego obawy potwierdziły się. Pierścionek zniknął.

W jego miejscu leżała kremowa karta wizytowa, identyczna z tą, którą pokazał mu sędzia. Odwrócił ją i znalazł na odwrocie nagryzmolony napis: „Pierścionek zostanie zwrócony w zamian za trzysta funtów. Odbiorę tę sumę za dwa tygodnie, na balu gwiazdkowym u sędziego".

Musiał go odzyskać. Nie było jednak mowy, by zapłacił jej trzysta funtów. Kot z Manchesteru popełnił bardzo poważny błąd, jeśli uznał, że lord Stockport pozwoli się szantażować. Nie będzie tańczył, jak mu zagra ta kobieta. W grę wchodził interes fabryki i

bezpieczeństwo finansowe ludzi, którzy na nim polegali, nie wspominając o jego własnej dumie.

Nagle uderzyła go myśl, że został oderwany od prac parlamentu, żeby rozprawić się z Kotem właśnie w okresie, gdy tak wiele zależało od jego obecności. Ostatnie listy od Johna Russella i innych wpływowych wigów świadczyły najdobitniej, jak bardzo był potrzebny w Londynie.

Gwałtownie zmiął trzymaną w ręku wizytówkę, wypowiadając w duchu wojnę Kocicy. Podczas balu gwiazdkowego dowie się ona, kto tu rozdaje karty, chyba że wcześniej zostanie aresztowana. W głowie Brandona zaczął formować się pewien plan. Nie mógł znaleźć złodziejki, ale mógł wpaść na jej trop. A poszukiwania należało rozpocząć od Eleanor Habersham. Włamywaczce wyrwało się nazwisko tej kobiety, która - wszystko na to wskazywało - miała to i owo do ukrycia.

Nora wciąż była podekscytowana, kiedy wśliznęła się do kuchni Grange. To była zabawa! Wzbudziła gniew Wycrofta, ale i jego zainteresowanie. Wyraźnie pragnął, by go pocałowała!

- Gdzie byłaś? - Ostry ton Hattie wyrwał ją z rozmarzenia. Podniecenie udanym włamaniem wyparowało na widok wspólniczki stojącej w drzwiach i niecierpliwie postukującej stopą o podłogę.

- Byłam u Stockporta po pierścionek. - Kocica uśmiechnęła się z przymusem i znacząco potrząsnęła wiszącym u pasa woreczkiem ze zdobyczą. Przyjaciółka nie dała się jednak zbyć.

- Zajęło ci to dziwnie dużo czasu - podjęła przesłuchanie, podchodząc do kuchni, żeby nastawić czajnik.

Wiedząc, że nie wykręci się od odpowiedzi, kiedy Hattie postanawia przeprowadzić dochodzenie przy herbacie, Nora posłusznie usiadła przy długim stole.

- Ucięłam sobie z lordem krótką pogawędkę - przyznała. Wspólniczka hałaśliwie postawiła przed nią talerzyk z biszkoptami i prychnęła z dezaprobatą.

- Jeśli mnie węch nie myli, to wypiliście też po drinku. To do ciebie niepodobne. Jak możesz pić z kimś takim jak on?

Kocica zjeżyła się.

- O co ci właściwie chodzi? Ten człowiek aż się prosił o nauczkę. Trzeba ci było widzieć jego minę, kiedy wypiłam jego najlepszą brandy jednym haustem!

Ustawiwszy zastawę do herbaty, Hattie wsparła dłonie na szerokich biodrach.

- Wyjaśnij mi z łaski swojej, po co to zrobiłaś? Mogłaś zabrać pierścionek, nie informując lorda o swej wizycie. Podjęłaś niepotrzebne ryzyko dla zaspokojenie własnej satysfakcji. A gdyby wezwał pomoc?

- Nie zrobił tego. Byłam pewna, że nic mi nie grozi, inaczej oparłabym się pokusie. - Nora nie zamierzała przyznawać się do chwili niepokoju, jaką przeżyła, gdy Wycroft podszedł do stolika z karafkami, przy którym znajdował się sznur dzwonka.

- Nic ci nie grozi? Dlatego, że wczoraj pozwolił ci uciec? Wybacz, że to mówię, ale kompletnie przewróciło ci się w głowie, jeśli sądzisz, że nic ci nie grozi ze strony kogoś takiego jak on. Tacy

ludzie są pewni, że cały świat do niech należy, wraz ze wszystkimi żyjącymi na nim istotami.

Hattie dolała sobie herbaty. Najwyraźniej skończyła już z besztaniem przyjaciółki i jej myśli pobiegły w innym kierunku.

- Musimy teraz zwiększyć ostrożność. Jesteśmy o krok od celu. Kot z Manchesteru odniósł sukces. Dzisiaj podczas zakupów usłyszałam, że większość inwestorów poważnie rozważa wycofanie się. Obawiają się o bezpieczeństwo fabryki. Podobno uznali, że skoro złodziej z taką łatwością wdziera się do ich domów, będzie również w stanie wejść na budowę i dokonać sabotażu. Wolą nie ryzykować straty.

- Ani reputacji - mruknęła Nora znad filiżanki. - Czy Cecil Witherspoon i Magnus St John już się łamią? Ci dwaj mają najwięcej do stracenia, dopóki ja pozostaję na wolności.

Za te słowa spotkała ją bura od wspólniczki. Kobieta pogroziła jej nawet palcem.

- Wiesz, że nie chcę mieć nic wspólnego z szantażem. Nigdy nie podobał mi się pomysł zabrania tych dokumentów z sejfu Witherspoona.

- To nie szantaż. To polisa ubezpieczeniowa - zaprotestowała Nora. - Z tych dokumentów wynika, że konstrukcja fabryki nie gwarantuje bezpieczeństwa, bo używano gorszych materiałów budowlanych, żeby obniżyć koszty. - Uśmiechnęła się na wspomnienie tamtej chłodnej nocy, gdy włamała się do gabinetu Witherspoona i rozpruła jego sejf.

Dostała poufną wiadomość o machlojkach przy budowie przędzalni. Okazało się to prawdą. Nietrudno było zgadnąć, że nieuczciwemu inwestorowi chodziło o pieniądze z ubezpieczenia. Wznosił fabrykę z materiałów podłej jakości, by po roku czy dwóch budynek padł ofiarą „przypadkowego" pożaru. A wówczas on i pozostali właściciele mogliby wystąpić o odszkodowanie z towarzystwa ubezpieczeniowego. Postanowiła do tego nie dopuścić.

- Żałuję, że nie widziałam jego miny następnego dnia! A ty, Hattie?

- Ja nie! - odparła szorstko i zaczęła zbierać naczynia ze stołu. - Był wściekły i nadal jest wściekły. Zrobiłaś sobie wroga z bardzo niebezpiecznego człowieka. W miarę sukcesów Kota wzrasta też zagrożenie. Teraz już nie tylko inwestorzy pałają gniewem. Także niektórzy zamożniejsi mieszkańcy Stockport-on-the-Medlock, na przykład sędzia. Podobno zamierzają zwiększyć wysiłki mające na celu schwytanie Kota. Są przekonani, że kiedy złodziej trafi za kratki, natychmiast pojawią się kolejni inwestorzy. Może to i lepiej, że nikt nie wie o włamaniu do Stockport Hall. To by ich ostatecznie rozjuszyło. Obawiam się, że tym razem przeholowałaś. Nigdy dotąd nie porywałyśmy się na tak potężnych ludzi, jak lord Stockport. Z nim nie ma żartów. - Hattie wyglądała na autentycznie przejętą.

Nora nakryła dłonią jej rękę. Zdawała sobie sprawę, że ta reprymenda to w rzeczywistości błagalna prośba.

- Nie zostanę aresztowana - powiedziała z przekonaniem. -Oboje z Alfredem zrobiliście ze mnie znakomitą złodziejkę. Eleanor Habersham musi jutro jechać do Manchesteru. Przy okazji rozejrzę się

i zbadam sytuację, może to cię uspokoi. Alice Bradley wybiera się akurat z córkami do miasta na zakupy i zaproponowała Eleanor miejsce w powozie. Chętnie skorzystam z zaproszenia.

Zamilkła na widok troski malującej się w oczach przyjaciółki.

- Zaczynam żałować, że cię czegokolwiek nauczyłam. Gdyby nie to, pędziłabyś pewnie spokojne życie u boku męża, otoczona gromadką dzieci. Masz dopiero dwadzieścia sześć lat. Jeszcze nie jest za późno na prawdziwe życie, Noro.

- Owszem, jest już za późno. Zresztą, to moje prawdziwe życie. Dawno temu podjęłam taką decyzję, Hattie. Pozwól też sobie przypomnieć, że zakosztowałam już małżeństwa i okazało się ono żałosną pomyłką. Przekonałam się, że mężczyźni to towar zdecydowanie zbyt wysoko ceniony, zarówno w łóżku, jak i poza nim. - I nagle pobiegła myślą ku Brandonowi, przypomniała sobie jego żarliwy pocałunek, silne ciało i... stertę papierów na jego biurku. Może jednak istniały wyjątki od tej reguły? Byle tylko go nie przeceniać! Już raz popełniła błąd, wychodząc za mąż za przystojnego, ale chorobliwie leniwego Reggiego Portmana. Miała wówczas siedemnaście lat. Następne dwa lata rozczarowań sprawiły, że nie była wrażliwa na męską urodę i skłonna do miłosnych uniesień.

Nora powiedziała dobranoc swej wieloletniej towarzyszce i ruszyła do sypialni, rozważając nowe informacje, które zdobyła tego wieczoru. Zastanawiała się nad przyczynami zaangażowania Stockporta w prace nad wielką reformą. Dziwne, że człowiek z jego pozycją opowiedział się po stronie zmian. Gdyby nowa ustawa weszła w życie, zmieniłby się układ sił w parlamencie, dając prawo głosu

Już po paru krokach ogarnęło ją dziwne poczucie, że jest śledzona. Rozejrzała się dokoła. Z pozoru wszyscy ludzie spieszyli gdzieś we własnych sprawach. Kobieta z małymi dziećmi weszła do warzywniaka. Zamiatacz ulicy czynił swą powinność na rogu. Dorożkarz czekał na następnego klienta. Wreszcie go dostrzegła. Przez ułamek sekundy, zanim wmieszał się w tłum i zniknął. Ale to niewątpliwie był on. Stockport ją śledził!

Nie należało wyciągać przedwczesnych wniosków. Manchester był przecież doskonale prosperującym miastem, a Wycroft interesował się przemysłem i gospodarką. Mógł przyjechać tu we własnych sprawach, a nie po to, by śledzić starą pannę o skromnych dochodach. Nic nie wskazywało na to, że w ogóle ją zauważył. Nic, poza jej wewnętrznym przeświadczeniem.

Popatrzyła najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Owszem, niewykluczone, że przyjechał do Manchesteru w interesach, jaką jednak mógł mieć sprawę właśnie na tej ulicy, na której ulokowano handel warzywami i artykułami spożywczymi? Przecież lord Stockport z pewnością nie zajmował się zaopatrywaniem domu. W tej części miasta bywała głównie służba oraz ci, których nie było na nią stać.

Istniał tylko jeden sposób na sprawdzenie, czy obecność Wycrofta w Manchesterze to jedynie zbieg okoliczności. Nora uśmiechnęła się do siebie. Wystawi go na próbę, nie rezygnując przy tym z realizacji założonych celów!

Weszła do piekarni.

Dzień dobry, panie Harlow. Przyszłam po pańskie znakomite bułeczki. Hattie urwałaby mi głowę, gdybym wróciła bez nich. - Wymieniła z piekarzem zwykłe uprzejmości i podczas gdy on pakował bułki, podeszła do okna wystawowego. Jej podejrzenia się potwierdziły. Brandon stał po drugiej stronie ulicy, niby zajęty rozmową z gazeciarzem, przez cały czas jednak zerkając na drzwi piekarni.

Jeśli czekał, aż panna Habersham stamtąd wyjdzie, to przyjdzie mu porządnie zmarznąć! Nie ma nic gorszego od sterczenia bez ruchu na mrozie ze świadomością, że osoba, na którą czekamy, przebywa w dobrze ogrzanym pomieszczeniu. Nora wdała się więc w ożywioną pogawędkę z panem Harlowem, porównując zalety białego i ciemnego pieczywa jako składnika manchesterskiego puddingu.

Dobry Boże, o czym ona tak długo dyskutuje, i to tak gwałtownie gestykulując? Stockport zaczął przytupywać, żeby rozgrzać skostniałe stopy. Pomimo ciepłego palta z peleryną, szalika, rękawiczek i bobrowej czapki zmarzł na kość.

Zwalczył pokusę, by znów sprawdzić godzinę. Już raz popełnił ten błąd i wyciągnął zegarek z kieszonki kamizelki. Musiał zdjąć rękawiczki, rozpiąć płaszcz i rozchylić jego poły - chyba gazeta, którą trzymał pod pachą, była cieplejsza niż on sam. Mało brakowało, a wszedłby do piekarni i zdradził swą obecność. Nie miał wyboru: musiał czekać, jeśli miał zrealizować swój zamiar.

Prawdę mówiąc, plan został wymyślony naprędce. Wycroft wpadł do Bradleya, żeby omówić z nim pewne interesy, i dowiedział się, że panna Habersham wyjechała przed chwilą z jego żoną i

córkami do Manchesteru. Nie mógł przepuścić takiej okazji! Szczególnie po wczorajszej „wizycie" Kocicy w jego domu. Jakiż był lepszy sposób, by sprawdzić, czy istniało jakieś powiązanie pomiędzy Kocicą a Eleanor, niż śledzenie tej ostatniej podczas wyprawy do miasta? Wówczas pomysł wydał mu się doskonały. Teraz zaczynał mieć wątpliwości. Jeśli przyjdzie mu poczekać jeszcze chwilę, do listy poniesionych szkód będzie mógł dodać odmrożenia.

Panna Habersham schowała pieczywo do koszyka i sięgnęła do torebki. Wycroft podwoił czujność. Nareszcie! Widział, jak płaciła za sprawunki.

- Panno Habersham? Czy to pani? - Podszedł szybko i ukłonił się z szacunkiem. - Strasznie dziś zimno. Proszę mi dać ten kosz. - I nie czekając na zgodę, której mógł nie otrzymać, uwolnił Eleanor od ciężaru.

- Lord Stockport, co za niespodzianka - powiedziała swobodnie, choć w pierwszym momencie przez jej twarz przemknął wyraz zdumienia.

Tak, była zdumiona. Nie spodziewała się, że Brandon zdradzi swą obecność, i była zła, że to zrobił.

- Co sprowadza pana do miasta, milordzie? - zapytała swym nosowym głosem.

Lekceważąco machnął ręką.

- Drobny interes, który bardzo szybko załatwiłem. Nic ważnego. A pani? Zamierza pani jeszcze gdzieś wstępować? - Zajrzał do kosza, w którym znajdowały się jedynie zapakowane bułki. Niewątpliwie nie kupiła jeszcze wszystkiego, bo nikt nie jedzie pięciu mil tylko po to,

żeby zajrzeć do piekarni. Spróbuje ją nakłonić, by spędziła z nim cały dzień.

Panna Habersham podjęła grę.

- Rzeczywiście, zamierzam, lordzie Stockport. Byłabym zachwycona, gdyby zechciał mi pan towarzyszyć.

Zwycięstwo przyszło podejrzanie łatwo. Od kiedy spotkał Kocicę, trafiało mu się to rzadko, jak los na loterii, a nie był do tego przyzwyczajony. Jak się spodziewał, również i ten sukces miał swoją cenę. Okazało się, że pannie Eleanor dosłownie usta się nie zamykają. Brandon zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście jest ona tak okropną gadułą, czy też próbuje się go pozbyć.

Następnym sklepem, do jakiego weszła, był rzeźnik, u którego Wycroft musiał wysłuchać pogawędki na temat zalet galaretki z czerwonej porzeczki jako dodatku do pewnych dań. Nigdy by nie przypuszczał, że można mieć aż tyle do powiedzenia w tej kwestii. Z chichotem wyznała, że do niektórych sosów dodaje trochę koniaku. Brandon natychmiast pożałował swej złości i zniecierpliwienia. Niezależnie od jej ewentualnych powiązań z Kocicą ta biedaczka starała się ubarwić swoje szare życie w ten żałosny sposób.

Kobieta o tak skromnych dochodach nie mogła nawet marzyć o nowych sukniach, o udziale w ekscytującym życiu towarzyskim Londynu, o imponowaniu luksusem. Musiała liczyć się z każdym groszem. Więc jeśli rozmowa o galaretce porzeczkowej nada tego dnia sens jej życiu, to trudno, powinien to cierpliwie znieść. Zresztą sam prosił, by pozwoliła mu wziąć udział w zakupach.

Poczuł jednak znaczną ulgę, gdy kobieta sięgnęła wreszcie do torebki, by zapłacić za wołowinę. Mięso na pieczeń, które wrzuciła do kosza, było tak ciężkie, że ręka mu opadła.

- Może panu za ciężko? - zapytała z troską, spoglądając na niego zza szkieł okularów szeroko otwartymi oczami.

Wycroft uśmiechnął się i skłamał, że kosz wcale nie waży zbyt dużo. Pomyślał jednakże, że ta baba kupiła chyba największy kawał mięsa na pieczeń, jaki można było dostać w Manchesterze! A to jej niewinne pytanko dowodziło tylko, że zrobiła to celowo. Eleanor rozgrywała z nim własną partię. Dobrze, zagra jej kartami. Nigdy nie odrzucał wyzwań, nawet jeśli stawiała mu je stara panna.

Zdwoił wysiłki, by ją oczarować. Kupił jej od ulicznego sprzedawcy torebkę pieczonych kasztanów i zabawiał opowieściami o Londynie. Odpłaciła mu się za to, dorzucając do kosza dorodnego kurczaka.

Popołudnie zmieniło się w niewypowiedzianą, toczoną wśród przejawów uprzejmości, lecz bezpardonową wojnę. Im więcej Eleanor kupowała, dorzucając kolejny ciężar do już przepełnionego kosza, tym szerzej uśmiechał się Stockport. Im głupsza stawała się jej paplanina, tym bezwstydniej z nią flirtował, dając jej delikatnie do zrozumienia, że trzeba czegoś więcej niż ciężkie zakupy i głupia gadanina, by go spławić.

Wstąpiła jeszcze do dwóch sklepów, wszędzie płaciła gotówką i wpychała kolejne pakunki do kosza. Kiedy ruszyła ku High Street, przy której znajdowały się sklepy z odzieżą, Brandon był już zesztywniały z zimna i niemiłosiernie bolało go ramię. Odetchnął

jednak z ulgą. W tej części miasta były bowiem arkady, dające nieco osłony przed dojmującym chłodem.

Wybrała duży magazyn z konfekcją, za co podziękował w duchu losowi. Sklep był ciepły i przestronny. Długa lada pod przeciwległą ścianą stwarzała szansę postawienia na chwilę upiornego kosza.

- Może pan odpocząć, milordzie - powiedziała. - Mam tu kilka prywatnych spraw do załatwienia. - I zagrodziła mu drogę na znak, że nie powinien za nią iść.

- Oczywiście, panno Habersham. Proszę się nie spieszyć.

Zaczekam, aż pani skończy - zapewnił z największą kurtuazją. Triumfował. Czekał na to przez cały dzień. Teraz Eleanor prawdopodobnie wykona jakiś ruch. Po raz pierwszy w ciągu dnia znaleźli się w sklepie na tyle dużym, że można się było w nim zgubić, a ona wyraźnie miała ochotę uwolnić się od jego towarzystwa.

Odszedł na bok i udawał żywe zainteresowanie jakimś muślinem. Kątem oka obserwował jednak pannę Habersham, która ruszyła prosto do kontuaru. Powiedziała coś do ekspedienta w okularach, a ten natychmiast zniknął, by po chwili powrócić w towarzystwie innej sprzedawczyni.

Prośba o sprowadzenie konkretnej osoby musiała coś znaczyć. Brandon zbliżył się nieco do lady, by podsłuchać ich rozmowę.

Zbliż się - rzekł pająk do muchy. Nora przypomniała sobie to dziecięce powiedzonko, śledząc ruch swej ofiary. Stockport zmierzał prosto w zastawioną przez nią pułapkę. Ich mała wycieczka była dziwnie zajmująca i pouczająca zarazem. Zastanawiające, że lord

Wycroft tak przykleił się do panny Eleanor. Chyba żaden inny mężczyzna nie zniósłby przez cały dzień jej kretyńskiej paplaniny.

Czyżby był aż takim dżentelmenem, że raz ofiarowawszy kobiecie swe towarzystwo, po prostu nie mógł się od tego wykręcić? Trudno w to uwierzyć.

Bardziej prawdopodobne było to, że tkwił u jej boku, gdyż zaczął coś podejrzewać. Może to skutek wzmianki Kocicy o pannie Habersham? Wkrótce się okaże.

Nora powinna go bez trudu zdemaskować. Odezwała się w niej żyłka hazardzistki. Dzisiejszy pojedynek ze Stockportem okazał się znacznie bardziej emocjonujący, niż przypuszczała.

Podniosła trochę głos, by jej słowa docierały do uszu mężczyzny, nie na tyle jednak, by domyślił się, iż robiła to celowo.

-Jane, potrzebuję flanelowej... hmm... - Zrobiła pauzę, udając zakłopotanie, podczas gdy tak naprawdę chciała, by to Brandon poczuł się skrępowany. - ...no... zimowej bielizny. Obawiam się, że moje koszule nie wytrzymają już kolejnego sezonu - dokończyła, po czym zachichotała, jak przystało na starą pannę.

- Chce pani zobaczyć naszą flanelową bieliznę?

- Boże uchowaj! - Eleanor wydawała się wstrząśnięta. -W żadnym wypadku! Nie mogłabym publicznie oglądać takich towarów.

- Oczywiście, panno Habersham. Proszę ze mną na zaplecze. Kenneth stanie za ladą.

Nora pomaszerowała za uprzejmą sprzedawczynią. Żaden dżentelmen nie poszedłby za nią po podsłuchaniu takiej rozmowy. Gdyby go na tym przyłapała, Stockport nie miałby spokojnego życia.

Wystarczyło szepnąć o tym w tajemnicy Alice Bradley, a następnego dnia już cała okolica huczałaby od plotek.

Eleanor zamknęła za sobą drzwi od zaplecza i zwróciła się do Jane.

- Musimy działać szybko.

- Dlaczego? Coś się stało? Zwykle nie prosisz, byśmy weszły na zaplecze.

- Jestem śledzona przez Stockporta.

Jane głośno wciągnęła powietrze, lecz Nora machnęła ręką z lekceważeniem.

- Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, przynajmniej na razie, ale muszę dostarczyć prowiant Mary Malone. Nie mogłam iść dzisiaj do aptekarza, ale zostawię jej trochę pieniędzy na leki.

- Jej najstarszy chłopak pracuje w wytwórni kapeluszy Williama Planta. Sama tam pójdę i to od razu, zanim zapadnie zmrok - oświadczyła rezolutnie Jane, choć Nora doskonale wiedziała, jak bardzo dziewczyna nie lubiła chodzić do Anacoats.

- Ja pójdę, przecież wiem, jak nie cierpisz tej dzielnicy. Wymknę się tylnymi drzwiami. Chcę tylko, żebyś mnie kryła. Wycroftowi należy się nauczka za to, że przez cały dzień deptał mi po piętach.

- Co mam mu powiedzieć? - Jane najwyraźniej wolałaby iść do Anacoats, niż stawić czoło lordowi Stockportowi.

- Że źle się poczułam i musiałam natychmiast wyjść. Z góry ci dziękuję.

Naciągnęła na głowę kaptur i wymknęła się tylnymi drzwiami na uliczkę za sklepem. Ruszyła szybko ku głównej alei, skręciła na rogu i... nadziała się prosto na Brandona.

- Droga panno Habersham, wyszła pani, zapominając o swoich zakupach. - zakołysał przed nią ciężkim koszem.

Nora wyprostowała się i odetchnęła głęboko, bo niespodziewane zderzenie z Wycroftem zaparło jej dech w piersiach. Jak dużo ten obrzydliwy człowiek wiedział? Stał tu z jej ciężkim koszem i demonstrował nienaganne maniery, jakby wszystko było w porządku. Trzeba być wyjątkowym zuchwalcem, aby udawać, iż nie ma się pojęcia o tym, że kobieta, która przez cały dzień ciągała go po Manchesterze, próbuje wystrychnąć go na dudka!

Wpatrywała się w kosz, jakby chciała znaleźć w nim wyjaśnienie zaistniałej sytuacji. Nadaremnie. Nigdy dotąd nie została przyłapana w sposób tak niepozostawiający żadnych wątpliwości. Nagle zauważyła w koszu dwa pakunki, których nie mogła sobie jakoś przypomnieć. Może one dostarczą jej pretekstu do jakże pożądanej zmiany tematu.

- Ponieważ opuściła pani magazyn w wyraźnym pośpiechu, pozwoliłem sobie polecić ekspedientowi zapakować dwa materiały na zimową bieliznę - wyjaśnił Stockport, zanim zdążyła zadać pytanie. - Nie wiedziałem, który wzór pani wybrała, więc zdałem się na własny, gust. Kazałem odmierzyć kupon białej satyny - oświadczył pogodnie, jakby przez całe życie nie robił nic innego, tylko towarzyszył starym pannom w wyborze intymnych części garderoby.

- Satyny? - wyjąkała Nora.

- Oczywiście. Moje przyjaciółki twierdzą, że nie ma to jak dotyk jedwabiu na nagiej skórze. -1 mrugnął do niej łobuzersko!

Miała szczerą ochotę wymierzyć mu policzek. Ten drań miał czelność traktować z tak oburzającą poufałością nieszczęsną Eleanor? Niestety, panna Habersham w żadnym wypadku nie podniosłaby ręki na lorda. Mogła najwyżej zaczerwienić się z zakłopotania. To nie było trudne do odegrania. Zakłopotanie, które miało się stać udziałem Wycrofta, spadło nieoczekiwanie na nią.

Pozostało jednak niezrealizowane zadanie. Mary Malone rozpaczliwie potrzebowała jedzenia i pieniędzy na leki. Nora nie mogła jej zawieść.

- Bardzo pan uprzejmy, milordzie. Przyznaję, że czuję się już lepiej. Najwyraźniej potrzebowałam świeżego powietrza - improwizowała.

-I szybkiego marszu - uzupełnił złośliwie.

Postanowiła to zignorować. Musiała wrócić choć na moment do sklepu, żeby dać Jane pieniądze, które miały trafić do rąk Mary Malone.

- Tak czy owak, czuję się już całkiem dobrze. Wpadnę jeszcze na minutkę do sklepu.

- Oczywiście, panno Habersham. Jestem do pani dyspozycji.

- Och, jest pan wyjątkowo dobry - odpowiedziała, chichocząc. - Proszę zaczekać na zewnątrz.

- Mam czekać przed frontowym wejściem czy na zapleczu?

- Lepiej od frontu, milordzie. - Ręce ją świerzbiły, żeby przyłożyć temu nieznośnemu człowiekowi. Oboje wiedzieli

doskonale, że ją przyłapał, choć on nie był w pełni świadom na czym. Ale nie było to wielkie pocieszenie.

Na czym właściwie ją przyłapałem? - zastanawiał się Brandon, czekając na Eleanor. Chciała mu się wymknąć, to oczywiste. Ale po co? Może chodziło jej tylko o zdobycie przewagi w toczonej z nim przez całe popołudnie rozgrywce, a może wybierała się na jakieś spotkanie zlecone przez Kocicę? Zaczynał żałować, że nie przeciągnął nieco gry. Powinien był ją śledzić, sprawdzić, dokąd się wybierała i jakie były jej powiązania z Kocicą. Ale wyraz twarzy panny Habersham, gdy wpadła na niego z impetem, wart był ryzyka. A jeszcze cenniejsze było autentyczne przerażenie w jej oczach, gdy wspomniał o satynie. Nie powinno się kpić ze starych panien, ale ta akurat przez cały dzień grała z nim nie fair, o czym najlepiej świadczyło jego obolałe ramię.

Zgodnie z obietnicą Eleanor pojawiła się w drzwiach magazynu już po pięciu minutach. Z pustymi rękami, co Brandon przyjął z ulgą, ale i odrobiną nieufności. Podejrzewał, że kupi pół beli flaneli tylko po to, żeby go nią objuczyć. Ponieważ tak się nie stało, doszedł do wniosku, że musiała załatwiać jakąś poufną sprawę dla Kocicy.

Panna Habersham spojrzała na przypięty do sukni pod płaszczem zegarek

- Ojej, już szesnasta trzydzieści! Ależ ten czas leci! Obiecałam Alice i jej córeczkom, że przed powrotem do domu wypijemy razem herbatę w zajeździe. Bardzo panu dziękuję za pomoc, milordzie. Naprawdę rzadko spotyka się taką galanterię. Już nie mogę się

doczekać, by opisać to w listach do przyjaciółek! - zawołała z entuzjazmem. - Życzę miłego dnia, milordzie.

Chyba nie sądziła, że pozbędzie się go tak łatwo po tym, co przeszedł w ciągu dnia?

- Pójdę z panią. Gdzie się umówiłyście?

- Pod Błękitnym Dzikiem - odparła. - Ale proszę się nie trudzić. Na pewno ma pan ciekawsze zajęcia, na przykład gorący grzaniec w klubie dla dżentelmenów.

- Herbata to najlepszy napój w tak mroźny dzień. Dziękuję za zaproszenie, panno Habersham. - Wycroft skwapliwie skorzystał z ledwie uchylonej furtki. Gdyby teraz zaprotestowała, wyglądałoby na to, że cofa zaproszenie. Miał ochotę wydać okrzyk zwycięstwa. Wyraz twarzy starej panny świadczył o tym, że był ostatnią osobą, z którą chciałaby zasiąść do herbaty.

Poczucie zwycięstwa nie trwało długo. Lord Stockport przygotował się wewnętrznie na wysłuchiwanie przez godzinę peanów Alice Bradley na temat zalet swych córek jako przyszłych żon. Nie był natomiast przygotowany na ostatni gambit panny Habersham.

- Dziewczęta, jego lordowska mość przez cały dzień zabawiał mnie opowieściami o życiu stolicy. Może powie wam coś o najnowszych trendach w modzie - powiedziawszy to, utkwiła w nim spojrzenie świadczące, że doskonale zdawała sobie sprawę, iż zadała mu cios poniżej pasa.

Miał ochotę sprawić jej lanie. Przez następną godzinę był zasypywany pytaniami w rodzaju: czy woli pan kapelusze zdobione

wstążkami, czy piórami? Co noszą londyńskie damy w czasie małego sezonu?

Wreszcie panie wyglądały na usatysfakcjonowane. Tortury dobiegłyby końca, gdyby nie nikczemna złośliwość Eleanor.

- Och, milordzie, nie powiedział im pan jeszcze o satynie.

Brandon z poczuciem ulgi zanurzył się w wypełnionej parującą wodą wielkiej miedzianej wannie i rozkoszował się ciepłą kąpielą.

Coś go dręczyło w związku z dzisiejszymi działaniami panny Habersham. Tak, oczywiście! Otworzył oczy i usiadł raptownie, wychlapując wodę na podłogę. Pieniądze! Sądził, że sytuacja finansowa zmusza starą pannę do liczenia się z każdym groszem. A tymczasem wybrała się do Manchesteru po towary, które mogła dostać w Stockport-on-the-Medlock.

Wyprawa do miasta po modne stroje lub wyszukane frykasy byłaby zrozumiała, ale po co osoba o bardzo ograniczonych zasobach miałaby jechać wiele mil, by kupować podstawowe artykuły po znacznie wyższej cenie niż w lokalnym sklepiku?

Wycroft ponownie przymknął oczy i zanurzył się w gorącej wodzie. Próbował dokładnie odtworzyć w pamięci każdą z wizyt w sklepie. Co Eleanor robiła? Czy powtarzała jakąś czynność za każdym razem? Rzeczywiście, wszystkie zakupy przebiegały według tego samego schematu: podawała sprzedawcy listę, wdawała się z nim w dłuższą pogawędkę, po czym płaciła za sprawunki. Nic niezwykłego. Chwileczkę!

Powoli uniósł powieki, jakby bał się, że gwałtownym ruchem mógłby zerwać wątłą nić. Zaraz, zaraz! Ani razu przez cały dzień nie

widział, by dostała resztę. Trudno uwierzyć, że za każdym razem miała dokładnie wyliczoną sumę. Co to mogło oznaczać?

Nietrudno się domyślić. Panna Habersham konsekwentnie przepłacała za zakupy. To rzeczywiście doskonały sposób prowadzenia interesów Kocicy: niby na oczach wszystkich, ale bez zwracania niczyjej uwagi. Oczywiście ten tok rozumowania zakładał, że Eleanor była jej wspólniczką.

Jak się przekonać, czy miał rację? Nie mógł zapytać jej- o to wprost, bo mogła ostrzec złodziejkę i utrudnić jej ujęcie.

W głowie Brandona zaczęła kiełkować jeszcze jedna, szalona hipoteza. Co właściwie miały zamaskować bezkształtne ciuchy Eleanor? Przecież ludzie po to wkładają maski, żeby coś ukryć. A jeśli ta stara panna to Kocica?

Ten pomysł nie był wcale taki głupi. Przyjazd panny Habersham do Stockport-on-the-Medlock i początek działalności Kota z Manchesteru nastąpiły w tym samym czasie. Eleanor wyraźnie starała się ukryć swą urodę, nosiła szpecące suknie, okulary, nietwarzową fryzurę. Kocica natomiast znała ją, gdyż wspomniała o niej w rozmowie.

Już to dawało do myślenia, ale najbardziej zagadkowy był spryt, bystra inteligencja panny Habersham. Rozgrywka, jaką prowadziła z nim dzisiaj, bardzo przypominała szermierkę słowną z Kocicą.

Rozdział piąty

Kiedy lord Stockport wszedł do świątecznie przystrojonego salonu sędziego, w którym odbywał się wielki bal gwiazdkowy, otoczyła go istna kakofonia dźwięków i zapachów. Pod rozwieszonymi w kilku miejscach wiązkami jemioły młodzi ludzie w maskach kradli sobie całusy.

Gdziekolwiek spojrzał, dostrzegał barwne dekoracje z zimozielonych roślin i udrapowanych kosztownych jedwabi. Zamaskowane damy w kreacjach z drogich brokatów i aksamitów wirowały w tańcu z wytwornymi dżentelmenami w czerni. W sąsiednim pokoju stoły uginały się od elegancko podanych na srebrnej zastawie ciast i słodyczy.

To była noc obfitości i obietnic. Wszyscy goście mieli na twarzach maski, więc swobodnie oddawali się przyjemnościom. Kocica byłaby tu w swoim żywiole. I na to liczył Brandon.

Tej nocy miała mu zwrócić pierścionek. W kieszeni na piersi ukrył porządnie złożone trzy stufuntowe banknoty. Nie zamierzał dać ich złodziejce. Planował zwabić ją w jakieś ustronne miejsce, po czym dać sygnał czterem zamaskowanym strażnikom, którzy czekali w tłumie rozbawionych gości.

Zanosiło się na całkowite i natychmiastowe zwycięstwo. Tej nocy to on zaskoczy Kota z Manchesteru!

W ciągu dwóch tygodni, jakie upłynęły od jej wizyty w Stockport Hall, Kocica nie próżnowała. Włamała się do domów kilku

inwestorów i jej imię było na ustach wszystkich mieszkańców miasteczka. Opowiadano legendy o Kocie z Manchesteru, aniele opiekuńczym nędzarzy, który przynosi leki chorym i strawę głodnym. Dla mieszkańców slumsów ta postać stanowiła wzór wszelkich cnót.

Wycroft nie mógł jakoś pogodzić tego promiennego wizerunku z bezczelną złodziejką, która zyskała rozgłos dzięki kradzieżom. Intrygowała go jednak coraz bardziej. Jej podwójna osobowość stawiała przed nim dylemat, czy uznać ją za świętą, czy za grzesznicę?

Uświadomił sobie, że co rano nasłuchuje najświeższych doniesień o kolejnych wyczynach słynnego złodzieja. Zaczął nawet jeździć do miasteczka specjalnie po to, by przysłuchiwać się rozmowom ludzi w nadziei na strzęp informacji o nowym włamaniu.

Popadł niemal w obsesję na punkcie Kocicy. I pomyśleć, że zdołała go tak omotać w czasie zaledwie dwóch niekonwencjonalnych spotkań. Był rozdarty pomiędzy obawą, że pewnego dnia po przebudzeniu dowie się, iż została wreszcie ujęta, i całkowicie irracjonalną ulgą, że i tym razem udało jej się umknąć. Wmawiał sobie, że po prostu chciał ją schwytać osobiście. Nie z powodu wyznaczonej przez inwestorów nagrody, bo nie potrzebował tych pieniędzy, ale dlatego, że pragnął ją zrozumieć.

Oto on, najbardziej nieprzystępny z londyńskich kawalerów, został całkowicie opętany przez tę tajemniczą kobietę, w dodatku za sprawą jednego pocałunku!

Uważnie przyglądał się zebranym w sali. Musiała gdzieś tutaj być, wśród rozbawionych gości. Rozglądał się za kobietą o włosach

czarnych jak noc i zielonych, kocich oczach. Pragnął dostrzec ją pierwszy, zanim ona zauważy jego.

W drugim końcu sali Nora uśmiechnęła się z satysfakcją pod maseczką z czarnych piór. Stockport jej szukał. Nie, nie ostentacyjnie. Nikt nie domyśliłby się, że lord na kogoś czeka. Ona zauważyła jednak napięcie jego mięśni i niecierpliwe bębnienie smukłych palców po udzie. Wyraźnie chciał ją odkryć pierwszy. Jeszcze nie teraz. Zbyt dobrze się bawiła, tańcząc w pięknej sukni. Przez tych kilka godzin mogła być sobą.

Właściwie to jej suknia była nieco nieudolnym odwzorowaniem kreacji z żurnala, a Nora nie do końca czuła się w niej sobą. Tego wieczoru wcieliła się w rolę Adelaide Cooper, córki potencjalnego inwestora nowej fabryki.

- Czy mogę prosić o ten taniec, panno Cooper? - usłyszała uprzejmy głos Fredericka, syna sędziego Bradleya, który odziedziczył po ojcu dobroduszny wygląd. Podziękowała mu uśmiechem i ruszyła na parkiet. Grano ognistą polkę, którą uwielbiała. Potem będzie musiała przystąpić do pracy. Frederick mógłby jej nawet pomóc.

- Kim jest ten dżentelmen, który stoi pod filarem? - zapytała w tańcu.

- To lord Stockport. Ale udawajmy, że go nie rozpoznaliśmy, bo to przecież bal maskowy. Tylko czy można go z kimkolwiek pomylić? Wszyscy chłopcy z sąsiedztwa, ja również, podziwiają jego styl. - Frederick skwapliwie zaspokajał ciekawość ładnej i podobno bogatej córki człowieka, dzięki któremu jego ojciec mógłby znacznie się wzbogacić. Do sfinansowania fabryki brakowało już tylko dwóch

inwestorów. -Niewielu arystokratów jest gotowych zniżyć się do kontaktów z przedstawicielami handlu czy przemysłu, ten jednak umie spojrzeć w przyszłość - ciągnął młodzieniec, najwyraźniej zapatrzony w lorda Stockporta jak w obraz.

Nora przerwała mu, lekkim ruchem głowy zdradzając brak zainteresowania dla peanów wygłaszanych w jej obecności na cześć znienawidzonej przez nią fabryki. Przyszedł czas na konfrontację z Wycroftem.

- Mógłby mnie pan przedstawić jego wysokości? Nie znam jeszcze żadnego lorda - wyraziwszy swoje życzenie, zachichotała głupawo, jak przystało na debiutantkę.

Po chwili taniec dobiegł końca i naiwny Frederick zaprowadził ją prosto do jej przeciwnika. Dokonał oficjalnej prezentacji i pomógł w nawiązaniu konwersacji.

Zauważyła, że Stockport był uprzejmy, choć nieco roztargniony. Odpowiadał dość lakonicznie i nie pozwalał Adelaide wciągnąć się do rozmowy, podobnie jak uprzejmie zbywał córki Bradleya podczas podróży powozem z Manchesteru. Ta obojętność sprawiła, że Norę zaczęło nagłe dręczyć pytanie, jakiego typu kobiety robiły na nim wrażenie? Odpowiedź nasunęła się sama. Kocica mu się spodobała. Pociągała go jej zuchwałość. Tylko w ten sposób można wyjaśnić, dlaczego w czasie ich dwóch spotkań nie zrobił nic, by ją aresztować.

Oczywiście, jego pociąg do prowokacyjnie zmysłowej złodziejki był zwyczajnym pożądaniem. Człowiekowi o jego pozycji nie przyszłoby nawet do głowy, by uczynić ją swoją żoną.

Żoną? Nora natychmiast skarciła się za bujanie w obłokach. To pewnie ten bal tak dziwnie ją nastroił. Albo nieskazitelnie wytworna postać lorda. Ale przecież każda kobieta ma czasem prawo pofantazjować, byle tylko nie myliła fantazji z rzeczywistością. A lord Stockport nadawał się idealnie do roli księcia z bajki. Nie mogła zapomnieć dotyku jego ciała, choć od chwili, gdy przytuliła się do niego, upłynęły już dwa tygodnie. Dwa tygodnie! A wydawało jej się, że zna go od zawsze.

- O czym pani myśli, panno Cooper? - Pytanie Fredericka oderwało ją od niezbyt przyzwoitych rozważań o Brandonie. Nie mogąc sobie przypomnieć, o czym przed chwilą rozmawiali, musnęła się lekko wachlarzem po ustach i odezwała się głosikiem bezmyślnej słodkiej idiotki.

- Staram się za wiele nie myśleć. Mama mówi, że to niełądnie.

- Racja. Piękne dziewczyny mają od tego mężczyzn - odrzekł Bradley junior i uścisnął jej dłoń, jakby od dawna już nie słyszał równie błyskotliwej uwagi.

Nora zaryzykowała spojrzenie na Stockporta. Jego nie tak łatwo wyprowadzić w pole. A niech to! Wyczuł jej spojrzenie. Nie dał się nabrać na jej przedstawienie. Przez chwilę wpatrywał się w nią, jakby chciał ją przewiercić wzrokiem, po czym spojrzał na kogoś ponad jej ramieniem.

Pobiegła wzrokiem za jego spojrzeniem i dostrzegła czterech ludzi rozlokowanych w strategicznych punktach sali. Ha! A więc zmobilizował posiłki! Ale nie docenił przeciwnika! Miał do czynienia z Kotem z Manchesteru!

Jeszcze nie było za późno, mogła wmieszać się w tłum i zniknąć. Nie rozważała jednak poważnie tej możliwości. Spokojnie przystąpiła do akcji. Rozłożyła wachlarz i poskarżyła się:

- Jestem taka zgrzana. Wypiłabym szklaneczkę ponczu. -Ze słodkim uśmiechem odesłała Fredericka do bufetu.

Odwróciła się do Brandona i minka słodkiej idiotki zniknęła z jej twarzy, a w jej miejsce pojawiła się pewna siebie uwodzicielka.

- O ile się nie mylę, to szuka pan mnie, a raczej... tego. -Wyjęła z wiszącej u nadgarstka maleńkiej torebki zawiniątko. Nie musiała go rozwijać. Oboje wiedzieli, co zawiera. Udało jej się przyciągnąć jego uwagę, przyszła pora na wyzwanie. -Proszę ze mną zatańczyć, lordzie Stockport.

Obrzucił wymownym spojrzeniem wracającego Fredericka.

- Często zapraszasz do tańca ludzi, których okradłaś? - zapytał z kpiną.

- Gdybym nie mogła tańczyć z mężczyznami, których okradłam, musiałabym cały wieczór stać pod ścianą.

Wycroft zacisnął zęby, by powstrzymać słowa cisnące mu się na usta.

- Nie przyszedłem tu, by uprawiać szermierkę słowną. Przyszedłem, by przeprowadzić pewną transakcję handlową.

- Wśród tych wszystkich gości? - Nora droczyła się z nim z lubością. Ruchem głowy wskazała parkiet, na którym już zaczynały ustawiać się pary do walca, poprzedzającego podawaną o północy kolację. Było to ponowne zaproszenie do tańca.

Bez słowa ujął ją pod rękę i zręcznie włączył się ze swą partnerką w roztańczony krąg.

Tańczył rewelacyjnie, co nie stanowiło dla niej niespodzianki. Cały był doskonały - od czubka doskonale ostrzyżonej głowy, po palce stóp tkwiące w lśniących jak lustro trzewikach. Zaskoczyło ją natomiast jego zaangażowanie w taniec. To nie było tylko doskonałe opanowanie figur walca, lecz prawdziwa pasja. Tylko osoba równie namiętnie kochająca taniec była w stanie wyczuć różnicę.

Nora spojrzała w roziskrzone niebieskie oczy błyszczące w otworach jego czarnej, zasłaniającej połowę twarzy maski. Dostrzegła w nich wyzwanie, ale w pierwszej chwili nie odgadła, czego ono dotyczy.

- Tylko na tyle cię stać? - wyszeptał jej wprost do ucha niskim, melodyjnym głosem. - Myślałem, że Kota z Manchesteru stać na więcej.

Teraz zrozumiała. Prowokował ją, by odpowiedziała na jego namiętność. Uśmiechnęła się.

- Ma pan ochotę na odlot, czuję to - wymruczała. Stockport wybuchnął głośnym śmiechem, zwracając na nich uwagę najbliższych par.

- To tylko taniec, nie seks.

- A co za różnica? Nie bez powodu walc uchodzi za taniec skandaliczny - odparła bez namysłu.

Pochylił głowę z przekornym błyskiem w oku i przyciągnął ją do siebie tak, że przez cienki materiał sukni wyczuwała grę jego mięśni.

- A więc idziemy na całość?

Okręcił Norę w tańcu, aż zaparło jej dech w piersiach. Ich ciała pasowały do siebie idealnie. Zgrali się w jednej chwili. Nie tańczyła od dawna, zresztą brała udział raczej w małych, prowincjonalnych balach. I nigdy w życiu nie miała tak znakomitego partnera.

Kiedy taniec dobiegł końca, uśmiechnęła się z satysfakcją. Również na jego twarzy pojawił się szczery uśmiech, niepodobny do konwencjonalnego grymasu, który prezentował podczas herbatki u panny Habersham. Ten uśmiech całkowicie odmienił twarz Stockporta.

Na moment antagonizm między nimi zniknął. On się uśmiechał, bo jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność. Ona poczuła się nagle tak, jakby łączyła ich jakaś tajemnica.

Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy, najwyraźniej przypomniał sobie, gdzie jest i w jakim celu tu przybył. Łącząca ich nić porozumienia się zerwała. Mijały ich grupy ludzi, którzy zmierzali do jadalni na kolację, zdejmując po drodze maski.

Brandon wziął swą partnerkę pod rękę. Nora nie chciała iść na kolację. Nie mogła sobie pozwolić na zdjęcie maski. Jej towarzysz natychmiast zorientowałby się, że Kot z Manchesteru i Eleanor Habersham to jedna i ta sama osoba. Kiedy przyszedł do Grange na herbatę, nie odrywał od niej badawczego spojrzenia, jakby podczas jednej krótkiej wizyty dostrzegł więcej niż ludzie, wśród których mieszkała od czterech miesięcy. Musiała jednak oddać im sprawiedliwość: zarówno wrogowie, jak i wielbiciele Kota szukali mężczyzny. Tylko Stockport wiedział, że włamywaczem jest kobieta. To czyniło go podwójnie niebezpiecznym.

- Nie pójdę z panem na kolację - oświadczyła tonem wykluczającym wszelką dyskusję. Sympatia, jaka zrodziła się między nimi w tańcu, rozwiała się jak dym.

- Wcale pani nie zapraszałem. Nie zwykłem jadać w towarzystwie złodziei - odparł chłodno.

- W takim razie będzie pan dzisiaj głodował, bo w tej sali jest ich pełno - odparła z gniewem. Czyżby nie rozumiał, że kraść można na różne sposoby? Ona zabierała jedynie przedmioty, które można bez trudu zastąpić innymi. A wielu uczestników dzisiejszego balu pozbawiało innych ludzi środków do życia. Budowa fabryki w Stockport-on-the-Medlock postawi go w tym samym rzędzie. Ta myśl zaniepokoiła ją. Nie chciała, by był taki jak tamci. A to pragnienie, by różnił się od pozostałych, było jeszcze bardziej niepokojące.

Nora rozgniewała się na siebie za te idiotyczne rozważania. Ruchem głowy wskazała drzwi prowadzące na werandę. Brandon kiwnął na znak zgody. Rześkie powietrze stanowiło miłą odmianę po zaduchu panującym w sali balowej, ale nagły chłód sprawił, że zadrżała.

- Może okryję panią swoją marynarką? - zaproponował odruchowo, choć wypływało to raczej z dobrego wychowania niż z serca.

- Jestem złodziejką, zapomniał pan? - warknęła, zawiedziona, że ich chwilowa bliskość znów ustąpiła miejsca chłodowi.

- A ja dżentelmenem - oświadczył, okrywając jej ramiona. Zdjął swoją maskę i schował ją do kieszeni. - Od razu lepiej. Nie cierpię tych paskudztw.

Zbliżył się, by lepiej jej się przyjrzeć. Nora odważnie wytrzymała jego spojrzenie. Czuła, jak rośnie między nimi temperatura, dorównując tej na sali balowej, ale nie śmiała się cofnąć.

- Ciekawe, jaka część pieniędzy przeznaczonych rzekomo na pomoc dla biednych poszła na zakup tej sukni - rzekł z ironią. - Ile niezjedzonych posiłków kosztowała ta kreacja?

- Pan mnie obraża! Dostałam tę suknię z burdelu. Prostytutka postanowiła się jej pozbyć, więc oddała ją mnie. Przybranie też zwędziłam. Moim zdaniem efekt jest całkiem niezły.

- Prawdziwy Kopciuszek - mruknął bez przekonania.

- Skończmy ten temat. Nie wyprowadził mnie pan na mróz, żeby dyskutować o modzie. Mamy sprawę do załatwienia.

- Chcę odzyskać pierścionek. Napisałaś, że dzisiaj będziesz gotowa go zwrócić.

- W zamian za trzysta funtów. Ale to było dwa tygodnie temu. Postanowiłam zmienić warunki.

- To zdzierstwo! - zawołał Stockport poruszony. - Mieliśmy umowę. Nie wolno zmieniać reguł w trakcie rozgrywki.

- Doprawdy? Pan sam je zmienił. Czterech ludzi rozstawionych w różnych punktach sali balowej to pańscy strażnicy, prawda? Zapewne czekają tylko na sygnał, który pan im da zaraz po wręczeniu mi pieniędzy.

- W każdej chwili mogę ich wezwać - stwierdził stanowczo.

- A po co? Żeby podziwiali pańskie umizgi do Adelaide Cooper? Pierścionek zdążę wyrzucić, zanim mnie dopadną. Nie zobaczą ani wręczania pieniędzy, ani przedmiotu, który rzekomo ukradłam.

Zresztą pewnie woleli pójść wraz ze wszystkimi na kolację w przekonaniu, że zależy panu na odrobinie prywatności z uroczą damą, z którą tańczył pan walca.

Widziała na twarzy Brandona walkę, by zachować obojętną minę i ukryć emocje, wywołane jej trafną dedukcją. Czy był rozczarowany, że ten wieczór zakończył się jedynie próbą wymuszenia? Nie wierzył, że naprawdę przeznaczała pieniądze na ubogich. Podejrzewał, że obracała je na własne potrzeby. Cóż, przynajmniej to mogła zdementować.

Szybko naszkicowała w myślach kolejną ofertę.

- Oto moje warunki: spotkamy się jutro o dziesiątej rano w miejscu, gdzie tereny Stockport stykają się z Hyde Roads. Ma pan przyjechać konno. Sam. Będzie mi pan towarzyszył do Manchesteru i odbędzie ze mną rundę po mieście. Potem odwiozę pana na rozstaje. Nie będzie pan próbował mnie śledzić ani odkryć mojej tożsamości. Następnego dnia odeślę pierścionek.

Patrzył na nią zwężonymi oczami.

- Jaką mam gwarancję, że będzie tak, jak mówisz? Kto mi zaręczy, że nie wciągniesz mnie w pułapkę, gdzie zostanę zamordowany lub pobity przez jakichś rzezimieszków? Twoje warunki wydają mi się bardzo podejrzane. Chyba nie warto podejmować takiego ryzyka dla pierścionka.

Nora udawała nonszalancję. Wiedziała, że Stockport nie podda się bez walki.

- Dla mnie to bez różnicy. Mogę sprzedać pierścionek panu za cenę wspólnej wyprawy do Manchesteru lub komu innemu za gotówkę. Tak czy owak, dostanę to, na czym mi zależy.

- Jaką wartość przedstawia dla ciebie ten wyjazd, że cenisz go na równi z gotówką? - zapytał podejrzliwie.

Łamał się, zauważyła z satysfakcją. Ruszyła do opustoszałej już sali balowej.

- Dobranoc, milordzie. Do zobaczenia rano. - Przesłała mu ręką całusa i odeszła.

Do licha, ta kobieta miała dar znikania bez śladu! Tym razem zniknęła wraz z jego najlepszym frakiem. Miał jeszcze inne, ale ten lubił najbardziej. Frak... oraz trzysta funtów nadal spoczywających bezpiecznie w wewnętrznej kieszeni! A więc tego wieczoru poniósł potrójną stratę: frak, pieniądze i pierścionek. Jeśli przystanie na ofertę Kocicy, to dowód, że stracił również zdrowy rozsądek.

Wieczór przybrał nieoczekiwany obrót. Od absolutnej pewności odzyskania pierścionka Wycroft przeszedł do niepewności, czy wybrać się z Kocicą na ryzykowną wyprawę do Manchesteru. Nie przepadał za grą w kotka i myszkę, tym bardziej że w tej rozgrywce to on był myszką.

Ale przecież nie zawsze to przeciwniczka będzie zdobywać punkty.

Rozdział szósty

Wstał chłodny poranek. Nora postawiła bose stopy na deskach podłogi i podeszła do okna, by odsłonić zasłony. Boże Narodzenie powinno wyglądać inaczej. Powinno różnić się od dnia codziennego. Tymczasem czarne sylwetki bezlistnych drzew rysowały się na tle szarego nieba, cały świat zdawał się wyprany z kolorów. Angielska zima niosła ze sobą przygnębienie. Aż trudno było uwierzyć, że kiedykolwiek nadejdzie wiosna.

Wystrój pokoju idealnie odpowiadał panującej na dworze szarości. Sypialnia Nory była wręcz ascetyczna, umeblowana jedynie najbardziej niezbędnymi sprzętami: żelazne łóżko, umywalka i szafa. Cóż, tego wymagała rola. Eleanor Habersham musiała prowadzić życie równie bezbarwne, jak krajobraz za oknem. A ona musiała być w każdej chwili gotowa do opuszczenia domu bez oglądania się za siebie.

Z własnej woli wybrała życie w samotności. Poświęciła je dla innych, aby przywrócić im nadzieję. I właśnie w tym celu wybierała się tego dnia do Manchesteru: żeby dać ludziom nadzieję. A także dlatego, że nie mogła znieść myśli o spędzeniu Bożego Narodzenia w roli panny Habersham. Nie chciała siedzieć z robótką przy kominku w domu sędziego i przyglądać się grom towarzyskim młodzieży.

Rozsunęła ubrania w szafie i namacała uchwyty otwierające wejście do skrytki. Wyciągnęła grube palto. Kocica była dobrze przyjmowana w slumsach, musiała jednak zachować czujność i

zwinność na wypadek kłopotów. Nie mogła zdrętwieć z zimna ani stracić refleksu. A będzie zimno! To pewne. Zabroniła Stockportowi przyjeżdżać karetą. Powóz zwracałby niepotrzebnie uwagę i budził podejrzliwość. Drogę do Manchesteru odbędą na ławce jej wozu załadowanego koszami darów dla tych, którzy nie mieli nic.

Ubrała się szybko i zeszła do ciepłej kuchni na śniadanie złożone ze słodkiej bułeczki z herbatą. Wieczorem, po jej powrocie, urządzą sobie gwiazdkę. Alfred, mąż Hattie, a oficjalnie służący Nory, poszedł już zaprząc wóz i załadować do niego kosze z prowiantem. Oboje odprowadzili ją na dziedziniec.

Usiadła na ławeczce swego prostego, wiejskiego wozu i cmoknęła na konia.

Zbliżając się do skrzyżowania, Nora zatrzymała się na moment, żeby założyć maskę i opuścić na twarz ciężką woalkę. Stockport już na nią czekał. Siedział, opatulony, na swym ogromnym wierzchowcu. Robił wrażenie swobodnego i całkowicie rozluźnionego, podczas gdy jej żołądek zacisnął się ze zdenerwowania. Zdawała sobie sprawę z ryzyka. Gdyby postanowił wykorzystać okazję, by zerwać jej maskę, nie zdołałaby go powstrzymać.

- Dzień dobry. Wesołych Świąt! - zawołał dziwnie radośnie. - O ile pamiętam, to powiedziałaś: żadnych powozów -przypomniał, wskazując jej wóz.

- Muszę jakoś przewieźć zaopatrzenie.

- Pozwól mi chociaż powozić. Wątpię, czy przez tak gęstą woalkę wyraźnie widzisz drogę. - Brandon zsiadł z konia i przywiązał

go za wozem, nie zwracając uwagi na jej protesty. Po chwili usiadł na ławeczce obok Nory.

Nie liczyła się z takim obrotem sprawy. Zakładała, że będzie jechał konno obok wozu w ponurym milczeniu. Ławeczka była przeznaczona dla dwóch osób, ale Stockport był potężnym mężczyzną, więc kiedy usiadł obok niej, nie pozostała między nimi najmniejsza szczelina. Wróciło wspomnienie bliskości z sali balowej.

Dziewczyna szukała ratunku w derkach do okrywania kolan. Jedną narzuciła na swoje nogi, a drugą podała lordowi, ale on storpedował jej plan.

- Będzie nam cieplej pod dwiema - stwierdził i zademonstrował, że derka jest wystarczająco duża, by okryć ich oboje.

Było zbyt zimno, by mogła się długo sprzeciwiać, zmierzała zatem do Manchesteru z nogami przylegającymi ściśle do nóg Brandona. Ten intymny kontakt zdawał się go nie niepokoić, ona natomiast nie mogła opędzić się od myśli, że nieopatrznie zdała się na łaskę jedynego mężczyzny, który mógł stawić jej czoło. Najważniejsze, by nie zacząć go traktować jak sprzymierzeńca, bo to naprawdę mogło ją wpędzić w tarapaty.

Podróż minęła szybko i bez komplikacji. Gościniec z Hyde i Stockport prowadził przez eleganckie przedmieście Ardwick. Nieliczni napotkani na mroźnych ulicach przechodnie zmierzali ze świątecznymi wizytami do sąsiadów, ale znakomita większość rodzin spędzała Boże Narodzenie we własnych domach.

Na to Kocica liczyła. Dlatego właśnie wybrała się do miasta w tym dniu, a nie wcześniej, kiedy ulice były pełne ludzi załatwiających

ostatnie sprawunki. Zgodnie z przewidywaniem nikt nie zwracał uwagi na okrytą gęstą woalką kobietę, siedzącą obok mężczyzny na koźle prostego wozu.

Zaglądała w okna, by popatrzeć na świętujących ludzi, uśmiechniętych i pięknie wystrojonych. Od czasu do czasu dolatywał ich zapach pieczonej gęsi i korzennych przypraw. Tam, dokąd zmierzali, nie należało się jednak tego spodziewać.

Gwarne zwykle ulice Manchesteru były opustoszałe. Handlowe centrum zdawało się wymarłe, fabryki, z których miasto zaczynało słynąć, tego dnia nie pracowały.

Nora gestem pokazała Stockportowi, by skręcił z szerokiej, handlowej alei w boczną uliczkę, przy której mieszkali biedacy. Dochodzące z ich domów zapachy nie były tak przyjemne, podobnie jak dźwięki. Płacz głodnych dzieci docierał aż na ulicę, towarzyszyły mu wrzaski mężczyzn, którzy nie znali innych sposobów rozładowania frustracji. W tej części miasta dzień Bożego Narodzenia był jednym z wielu.

Zerknęła z boku na Brandona, ciekawa jego reakcji. Patrzył prosto przed siebie, mocno zacisnąwszy usta, a w jego sztywno wyprostowanej postaci była czujność. Postawa w tej części miasta jak najbardziej na miejscu, pomyślała. Tutaj, gdzie ciepłe palto było symbolem wysokiego statusu materialnego i przechodziło z ojca na syna, naprawiane i łatane przez pokolenia, człowiek porządnie ubrany kłuł w oczy jako bogacz z wyższych sfer.

Ich pierwszy przystanek wypadł w dzielnicy Hulme, niegdyś spokojnej i przyzwoitej, teraz zniszczonej przez rozwój przemysłu.

Ograniczona z trzech stron rzekami: Medlock, Irwell i Cornbrook, stanowiła atrakcyjną lokalizację dla zakładów wymagających dostępu do wody.

- Proszę się tutaj zatrzymać - poleciła Nora, wskazując bramę jednej z kamienic. - Niech pan zaczeka, najpierw wejdę sama i zawiadomię o naszym przyjeździe.

Stockport zerknął sceptycznie na budynek.

- Jesteś pewna, że możesz tu wejść bezpiecznie?

- Całkowicie - odrzekła z naciskiem. - Tu wszędzie mieszkają ludzie Kota z Manchesteru. W slumsach obowiązuje niepisane prawo, że wszelkie próby wydania go w ręce władz spotkają się z najsurowszą karą.

- Rozumiem, tutaj jesteś królową, która niepodzielnie rządzi rzeszą lojalnych poddanych - odparł kąśliwie, zadowolony, że znalazł rysę na demokratycznym wizerunku Kocicy.

Zrozumiała, co miał na myśli. Uważał, że poczucie władzy podbudowywało jej ego. Brandon nie mógł się bardziej mylić.

- Nie, wcale nimi nie rządzę. Staram się tylko zapewnić im środki utrzymania, czego znakomita większość panujących nie może o sobie powiedzieć; właściciele ziemscy dbają tylko o dochody z dzierżawy, fabrykanci o siłę roboczą, króla natomiast nie obchodzi nic. - Głos Nory był pełen goryczy. - Ci ludzie mają własny kodeks honorowy i własne poczucie lojalności. Proszę dziś o tym nie zapominać. Będzie pan tutaj bezpieczny tylko dlatego, że jest pan ze mną. Z żadnego innego powodu.

- To groźba? - Uniósł pytająco brew.

- Przypomnienie. Jest pan na terenie Kota z Manchesteru - odparła ostro i zeskoczyła z ławki. - Zaraz wracam.

Nora wróciła do wozu z chłopcem, który miał pilnować konia, i drugim do pomocy w noszeniu koszy. Była niemal pewna, że Brandon ucieszył się na jej widok. Musiała zapisać mu na plus, że zeskoczył z wozu i sam wziął najcięższe kosze.

Poprowadziła niewielką grupkę na pierwsze piętro i zatrzymała się na brudnym, obskurnym korytarzu. Szli od drzwi do drzwi, rozdzielając paczki z koszyków - czasami żywność, czasami drobne sumy pieniędzy, kiedy indziej pomarańcze i drewniane zabawki dla dzieci. Za każdym razem słyszeli słowa: „Niech Bóg błogosławi Kota z Manchesteru".

Serce ścisnęło się Norze na myśl o tym, ilu było potrzebujących i jak rozpaczliwie szybko znikała zawartość koszy. Oparła się jednak pokusie wniesienia tutaj reszty zaopatrzenia, bo nic nie pozostałoby dla mieszkańców innych czynszówek, którzy byli w równie rozpaczliwej sytuacji.

Wrócili do wozu, żegnani okrzykami wdzięczności i życzeniami wesołych świąt. Ruszyli do następnego domu i cały proces się powtórzył. Wędrowali po mieście, zatrzymując się w Chorlton-on-Medlock i Bestwick, których robotnicze czynszówki niczym się od siebie nie różniły.

Ostatnim przystankiem na ich drodze była najnędzniejsza dzielnica, Anacoats. Podjechali pod dom wdowy Mary Malone.

Nora zapukała do drzwi, zza których natychmiast dobiegły piski podnieconych dzieci i ciche łajanie za brak dobrych manier,

zakończone atakiem kaszlu. Obawiała się, że do wiosny te dzieci zostaną sierotami.

- O co chodzi? - zapytał cicho Stockport, który stanął tak blisko niej, że czuła ciepło bijące od jego ciała.

- Nie wygląda na to, by Mary Malone miała wyzdrowieć. Choruje od listopada, a jej kaszel staje się coraz gorszy - odparła Nora.

- Była u lekarza?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Gdyby stać ich było na doktora, to nasza wizyta zapewne nie byłaby tu potrzebna. - Pchnęła drzwi i weszła do środka, a Wycroft podążył za nią. Tym dzieciom należała się najlepsza gwiazdka, jaką tylko mogła im zapewnić. Zarezerwowała dla Malone'ów pełen kosz, ale i tak miała poczucie, że powinna zrobić więcej.

Gdy tylko weszła, dzieci rzuciły się do niej pędem, uczepiły się jej spódnicy i domagały się, by wzięła je na ręce. Podniosła najmniejszą, trzyletnią dziewczynkę o jasnych włoskach i ogromnych, brązowych oczach.

- Byłaś grzeczna, Anno?

Dziecko poważnie kiwnęło głową, ssąc brudny kciuk.

- A to kto? - zapytało, wskazując Stockporta.

- To mój pomocnik, taki bardzo wyjątkowy pomocnik -wyjaśniła Nora, stawiając na stole kosz. Dwaj starsi chłopcy spojrzeli na jego zawartość głodnym wzrokiem. Przygarnęła ich do siebie. - Przywiozłam świąteczny obiad, ale będę potrzebowała waszej

pomocy, żeby wszystko należycie przygotować. Może nawet znajdą się jakieś prezenty.

Przydzieliła chłopcom zadania, odrzuciła swój ohydny, deformujący figurę płaszcz i welon, podwinęła rękawy ciemnej bluzki i rozejrzała się za Brandonem. Ze zdumieniem spostrzegła, że jest pogrążony w rozmowie z Mary Malone. On również pozbył się ciepłego palta i podwinął rękawy koszuli. Kiwnął głową w odpowiedzi na słowa kobiety i otulił lichym kocykiem jej kolana.

Nora postawiła na kuchni przywiezioną z domu gęstą zupę, żeby ją podgrzać, i wzięła się do sprzątania. Osłabiona chorobą Mary nie była w stanie utrzymać dwóch pokoików w czystości. Wszystkie siły poświęcała na zdobywanie pożywienia dla trójki dzieci. Z odprawy, jaką dostała po śmierci męża, pozostało jej bardzo niewiele.

Mary nie była już zdolna do pracy. Starszy syn, jedenastoletni Michael, pracował w fabryce, ale jego dwa szylingi i trzy pensy tygodniówki wystarczały zaledwie na chleb. A gdzie czynsz i inne konieczne wydatki?

Młodszy syn Mary, Robert, miał sześć lat, więc mógł jak wielu jego rówieśników zbierać kawałki bawełny, które wpadły pod maszyny przędzalnicze. Zerkając na chłopca, Nora zadrżała na myśl o tym. Nędzne grosze, jakie mógłby w ten sposób zarobić, nie były warte ogromnego ryzyka. Co roku wiele dzieci ginęło przygniecionych ciężkimi maszynami.

Przymknęła oczy i zmówiła w duchu modlitwę. Musiała znaleźć sposób udzielenia Malone'om pomocy. Przyszło jej na myśl trzysta funtów, które znalazła wczoraj wieczorem w wewnętrznej kieszeni

fraka Stockporta. To byłaby dla nich prawdziwa fortuna. Zwalczyła jednak pokusę. Te pieniądze nie należały do niej, straciła do nich prawo w chwili, gdy zażądała, by Brandon towarzyszył jej w dzisiejszej wyprawie.

Gdyby je zatrzymała, potwierdziłaby wszystkie paskudne podejrzenia, jakie wobec niej żywił, a tego z niejasnych powodów bardzo nie chciała.

Skończyła sprzątanie i nakryła do stołu. Mała Anna podeszła, żeby pomóc jej rozłożyć obrus, który Kocica przywiozła ze sobą, wiedząc, że sprawi tym pani Malone przyjemność. Kątem oka dostrzegła, że chłopcy bawią się ze Stockportem.

Cienkie patyczki do rozpałki służyły im za miecze. Jego wysokość sam wyglądał przy tym jak rozbawiony chłopiec.

Nora nie mogła oderwać od niego wzroku. Miał zmierzwione włosy, a koszula wysunęła mu się zza paska. I uśmiechał się! Uśmiechał się tak samo, jak na parkiecie tanecznym.

Podniósł oczy i dostrzegł jej zaciekawione spojrzenie. Pomyślała, że powinna być ostrożniejsza. Zapaliła dwie świece i z satysfakcją spojrzała na odświętny stół. Zaprosiła wszystkich na obiad.

Dzieci usadowiły się na beczułkach i skrzynkach służących za prowizoryczne krzesła i łakomie spoglądały na jedzenie. W miskach parowała ugotowana przez Hattie gęsta zupa z mięsem i warzywami, reszta grzała się w kociołku nad ogniem, napełniając cały pokój rozkosznym aromatem. Na środku stołu, na drewnianej desce leżały bochny świeżo upieczonego chleba, a obok mała osełka masła. A w

dodatku przed każdym stał kubek wyjątkowego rarytasu: prawdziwego mleka.

Stockport podprowadził Mary do stołu. Młoda wdowa ciężko wspierała się na jego ramieniu. Usiadła i spojrzała w pełne oczekiwania twarze.

- Kto poprosi o błogosławieństwo na Boże Narodzenie? - zapytała.

- Brandon! - wrzasnęli chłopcy chórem.

Stockport, pomimo zaskoczenia, z powagą wypełnił nałożony na siebie obowiązek. Wszyscy zamknęli oczy, gdy błogosławił jedzenie i wypowiadał kilka słów o tym świętym dniu.

Nora odważyła się zerknąć na niego i natychmiast tego pożałowała. W świetle świec wyglądał jak archanioł, którego widziała na obrazie w katedrze manchesterskiej, uosobienie siły i sprawiedliwości.

Był przystojny, to fakt, ale co ważniejsze - nie rozczarował jej. A szkoda, bo o wiele łatwiej byłoby go nie lubić, gdyby zachował się wbrew jej oczekiwaniom. Gdyby nie ruszał się z ławki wozu, gdyby nie dźwigał ciężkich koszy do mieszkań biedaków czy gdyby w ogóle nie zdecydował się przyjechać z nią do Manchesteru. Był lepszy, niż się spodziewała.

- Amen - zakończył Brandon uroczyście. Wszystkie głowy się podniosły. Dzieci rzuciły się na jedzenie i aż pisnęły z zachwytu. - Jedzcie powoli, bo wszystko wam ucieknie - przestrzegł wesoło i opowiedział im zabawną dykteryjkę ze swego dzieciństwa, kiedy

objadł się jabłkami. Chłopcy zanosili się od śmiechu, a mała Anna wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

Byłby wspaniałym ojcem, pomyślała niespodziewanie Nora. I natychmiast skarciła się za to w duchu. To pewnie nastrój Bożego Narodzenia sprawił, że zaczynała myśleć jak obdarzona ptasim móżdżkiem kura domowa. Już drugi raz przyszła jej do głowy sentymentalna bzdura w związku ze Stockportem.

Spojrzał na nią przez stół i mrugnął. Zasłuchała się w jego kolejną opowieść. I postanowiła puścić wodze fantazji. To miał być gwiazdkowy prezent dla niej samej. Na czas tego posiłku dała sobie prawo udawania przed sobą, że wolno jej zwracać się do niego po imieniu; że nie musi kryć przed nim twarzy pod maską; że są dwojgiem szczęśliwych ludzi, wiodących proste, spokojne życie w skromnym domku wraz z gromadką radosnych dzieci. O tym właśnie marzyła skrycie w dzieciństwie. I miała takie życie. Kiedyś, dawno. Ale je utraciła. Odetchnęła głęboko i odepchnęła od siebie tamte wspomnienia. Nie chciała znowu cierpieć. Nie mogła sobie pozwolić na słabość, gdy w pobliżu znajdował się lord Stockport.

Posiłek dobiegł końca, a wraz z nim chwila rozmarzenia Nory. Takie mrzonki mogłyby stać się groźne, gdyby potrwały zbyt długo.

Po obiedzie Brandon zagonił dzieci do sprzątania, zmywania naczyń i chowania reszty jedzenia, aby obie kobiety mogły swobodnie porozmawiać.

- Tak wiele dla nas robisz! Nie wiem, jak ci się to udaje, przecież troszczysz się o tyle różnych rodzin - westchnęła pani Malone, kiedy

usadowiły się przy ogniu. I zaniosła się kaszlem, zasłaniając usta zniszczoną chusteczką.

- Jak się czujesz, Mary? - zapytała Nora.

- Jakoś długo mi nie przechodzi - wyznała chora.

- Może posłać po doktora? - zaproponowała Kocica, choć nie miała pojęcia, skąd weźmie na to pieniądze. Te pochodzące z włamań wydała na świąteczne kosze z zaopatrzeniem, a należało jeszcze zapłacić dzierżawę za domek. Zresztą nawet gdyby zdołała znaleźć fundusze, nie wiedziałaby, gdzie szukać lekarza, który zgodziłby się przyjść z wizytą do tej dzielnicy.

- Nie, na tę chorobę wystarczy trochę słońca i świeże, wiejskie powietrze. - Mary lekceważąco machnęła ręką tak chudą, że na tle ognia wydawała się niemal przezroczysta.

A także porządne jedzenie, dobre warunki mieszkaniowe i uwolnienie się od trosk o niepewną przyszłość, dodała Nora w myślach. Głośno zaś powiedziała:

- Pod koniec tygodnia przyślę ci jeszcze trochę żywności. Zupy i chleba powinno wystarczyć na kilka dni.

- Dziękuję, nie mam dokąd zwrócić się o pomoc. Żyjemy tylko dzięki twojej dobroci - westchnęła smutno kobieta. Wskazała głową Stockporta, który huśtał na kolanie rozchichotaną Annę i opowiadał dzieciom kolejną historyjkę. - To twój ukochany? Przyjemnie na niego popatrzyć i wyraźnie coś między wami iskrzy. - Na myśl o miłości w oczach wdowy pojawił się ciepły blask. Nora potrząsnęła głową.

- Nie, to nie jest mój ukochany. - Opowieść Wycrofta dobiegła właśnie końca i chłopcy zaczęli dopominać się o prezenty, co oszczędziło jej dalszych wyjaśnień.

Wstała i klasnęła w dłonie, by zwrócić na siebie uwagę.

- Proszę wszystkich tu do mnie, a Brandon przyniesie kosz. Może znajdą się w nim jakieś prezenty.

Brandon! Chłopcy zwracali się do niego po imieniu, więc i z jej ust spłynęło ono tak gładko, jakby od dawna do niego przywykła.

Postawił przed nią kosz, a ona rozdzieliła prezenty między dzieci. Każde dostało pomarańczę i drewnianą zabawkę. A dla Mary znalazła się niewielka skórzana sakiewka, w której pobrzękiwały drobne monety. W oczach kobiety zabłysły łzy.

Nadszedł czas powrotu. Nora uściskała dzieci i jeszcze raz obiecała pani Malone przysłać więcej jedzenia, choć nie miała pojęcia, skąd weźmie na to pieniądze.

Rozdział siódmy

Stockport obserwował żegnającą się z dziećmi Kocicę. Zadziwiająco dobrze czuł się w towarzystwie tych malców. Ujęły go swym zachwytem dla skromnego pożywienia i podarków. Ale to nic w porównaniu z tym, czego dowiedział się o niej samej.

Ta złodziejka o ciętym języku była pełna miłosierdzia i rozdawała wszystko, czym tylko dysponowała. Czuł się podle na wspomnienie swych insynuacji co do motywów jej postępowania. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Kocica, pospolita złodziejka, zapewniała tym ludziom możliwość przetrwania. A co on dla nich zrobił? Miał znacznie większe możliwości, a jak je wykorzystał?

Dziewczyna intrygowała go teraz bardziej niż kiedykolwiek. Ale dzisiejszy dzień ani o cal nie przybliżył go do odkrycia tajemnicy jej tożsamości. Nie zaufała mu na tyle, by choć na moment zdjąć z twarzy maskę.

A gdyby ją zdjęła? - zapytał siebie w duchu. Co byś zrobił, wiedząc, kim jest Kot z Manchesteru?

Na to pytanie Brandon nie miał gotowej odpowiedzi. Powinien kazać ją aresztować. Taki miał zamiar, wybierając się na bal do sędziego. I gdyby ten plan się powiódł, to ci wszyscy biedacy, których dzisiaj odwiedzili, zostaliby pozbawieni tej odrobiny świątecznej radości, jakiej dzięki niej zaznali. Pomyślał o chłopcach pani Malone, zachwyconych najprostszymi drewnianymi zabawkami, i o

wdzięczności jej samej za gorący posiłek. Mało brakowało, a pozbawiłby ich tego.

Kiedy właściwie ta pospolita złodziejka stała się w jego oczach bohaterką? Gdzieś pomiędzy walką na wyimaginowane miecze a świąteczną zupą jego priorytety uległy zmianie. Nagle pragnienie oddania Kocicy w ręce sprawiedliwości ustąpiło miejsca potrzebie chronienia jej.

Kiedy drzwi mieszkania Mary Malone zamknęły się za nimi, Brandon natychmiast zwrócił się do niej:

- Ofiarowałaś im dzisiaj coś wyjątkowego. - Z rozczarowaniem stwierdził, że gęsta woalka wróciła na swoje miejsce.

- Oboje daliśmy im tylko chwilę radości - odrzekła. Był zdumiony jej dezawuowaniem własnej działalności. Naprawdę sądziła, że jej wysiłek to minimum tego, co mogła zrobić.

- A jednak przyszłaś do nich, by dać im chociaż tę chwilę - powiedział z przekonaniem. - Większość ludzie nie zdobyłaby się nawet na tyle.

Nic nie odpowiedziała. W milczeniu dotarli do wozu i dali parę groszy chłopcom, którzy pilnowali zaprzęgu.

- Dlaczego mnie tu dzisiaj przywiozłaś? - zapytał wreszcie Brandon niskim, ściśniętym głosem.

- Zamierza pan zbudować fabrykę w sielskim, uroczym Stockport-on-the-Medlock. Czy jest pan gotów na takie konsekwencje? - Kocica wskazała ręką slumsy, przez które przejeżdżali. - Widział pan, że moje działania to kropla w morzu

potrzeb. Starszy syn Mary już pracuje, a i tak rodzina ledwo wiąże koniec z końcem. Nie wystarcza na czynsz i jedzenie.

Lord Wycroft poczuł się tak, jakby mu wymierzyła policzek. Wiedział, że w fabrykach pracują dzieci. Czytał trafiające na jego biurko raporty. Wielu fabrykantów to ludzie bez skrupułów, którzy płacą dzieciom niższe stawki. Ale aż do dziś nie stanął twarzą w twarz z rzeczywistością kryjącą się za raportami.

- Fabryka w Stockport-on the-Medlock nie będzie zatrudniała dzieci - wybuchnął.

- Zobaczymy, jak długo utrzymają się pańskie szlachetne postanowienia, kiedy inwestorzy dowiedzą się o korzyściach płynących z wykorzystywania dzieci jako siły roboczej. Dorosły robotnik zarabia dziesięć razy więcej niż dziecko.

Brandon oczekiwał, że jego zapewnienie ucieszy Kocicę, że zostanie odebrane jako most ponad dzielącą ich przepaścią. Chciał jej pokazać, że nie różnili się tak bardzo, jak przypuszczała. Uniósł się gniewem.

- Nic cię nie zadowoli, prawda?

- To dlatego, że zawsze wszystkiego brakuje! - padła natychmiastowa riposta. - Brakuje pieniędzy na świąteczne koszyki dla wszystkich potrzebujących. Brakuje pieniędzy na lekarza dla Mary Malone. Świat nie ma dość współczucia dla tych, którzy na nie naprawdę zasługują. W Lancashire jest pięćset sześćdziesiąt fabryk. Jedna niezatrudniająca dzieci niczego nie zmieni.

- Na początek dobre i to - zaperzył się.

- A potem? - prychnęła.

- Tyle mogę zrobić! - odrzekł i postanowił zmienić temat, żeby nieco oczyścić atmosferę. - Mówiłaś wczoraj, że dzisiaj okaże się, jakim jestem człowiekiem. Zdałem egzamin?

Kocica milczała przez chwilę, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Mogę stwierdzić, że w przeważającej mierze nie sprawił mi pan zawodu.

- A w jakim punkcie nie sprostałem oczekiwaniom? - Brandon był przekonany, że poradził sobie doskonale.

- Tego jednego dnia zachowywał się pan bardzo dobrze. A co pan dla nich zrobi przez kolejne trzysta sześćdziesiąt cztery dni roku? - zapytała chłodno.

Stockport stracił resztkę cierpliwości.

- Nie możemy być wszyscy tacy jak ty i kraść, żeby zdobyć środki do życia.

Natychmiast pożałował tych okrutnych słów. Wypowiedział je w gniewie, ale jego gniew nie był skierowany przeciwko niej. Niełatwo się przyznać do własnej hipokryzji. Kocica ryzykowała życie dla dobra biedaków. A on? Oczywiście, w parlamencie głosował za prawami robotników, ale w życiu prywatnym robił żałośnie mało, by poprawić ich byt. To musiało się zmienić.

Ściągnął wodze i skręcił w pustą uliczkę. Z domów dochodziły dźwięki muzyki i śpiew.

- Zaczekaj tutaj - poprosił, po czym zeskoczył z kozła, podbiegł do najokazalszego budynku i zastukał.

Wrócił po piętnastu minutach.

- Ten człowiek jest właścicielem kilku sklepów w mieście. Poprosiłem go, by wysłał gotowe ubrania i buty oraz paczki żywnościowe twoim rodzinom. Będą dostarczane do wiosny.

Jesteś teraz zadowolona? - zapytał, sadowiąc się obok niej na koźle.

Kocica nie odezwała się.

I nagle Brandon zrozumiał, że kiedy zeskoczył z wozu, by załatwić zaopatrzenie dla ubogich w przekonaniu, że robi to z własnej i nieprzymuszonej woli, spełnił jedynie jej oczekiwania. To właśnie dlatego zabrała go dzisiaj do Manchesteru. Na taki zysk liczyła w zamian za zwrot pierścionka. Jeszcze nigdy nie spotkał kobiety, która umiałaby tak manipulować ludźmi.

Roześmiał się, jego oddech w mroźnym powietrzu zmienił się w biały obłoczek.

- To dlatego chciałaś, bym dziś z tobą pojechał - stwierdził. - Podjęłaś znaczne ryzyko, kładąc na szalę pewne trzysta funtów przeciwko niepewnym zaletom mojego charakteru.

Zerknął ukradkiem na siedzącą przy nim kobietę. Ciekawe, czy triumfowała w duchu, czy raczej czuła satysfakcję, że pomogła ludziom, na których tak bardzo jej zależało?

- Dlaczego to robisz? To się przecież musi źle skończyć, prędzej czy później wpadniesz - powiedział cicho.

- Dopóki raczej później niż wcześniej, nie zamierzam się tym przejmować.

- Skończ z tym, zanim będzie za późno. Roześmiała się w odpowiedzi.

- Już jest za późno, lordzie Stockport. Kot z Manchesteru nie może przestać działać. Zresztą nawet gdybym chciała, to przeszłość zawsze będzie mnie ścigać.

Tym razem to Brandon popadł w milczenie. Może lepiej nic nie mówić? Ciemność sprzyjała wyznaniom, a przecież jutro znowu będą przeciwnikami. On nie zrezygnuje z budowy fabryki, a ona nadal będzie okradała inwestorów, by storpedować jego plany.

Na rozstajach podał jej lejce i zeskoczył na ziemię, by odwiązać swego konia.

- Czy widzisz na tyle dobrze, by powozić w ciemności? -zapytał uprzejmie.

- Tak. Pierścionek zostanie panu odesłany jutro.

- Dobrze. - Wracali do dawnych relacji. Świąteczne zawieszenie broni przestawało obowiązywać.

- Dlaczego pan to zrobił, lordzie Stockport?! - zawołała. Podjechał konno do wozu.

- Dla ciebie. Przez pewien czas nie będziesz musiała się do nikogo włamywać.

- Ale w takim razie nie zdoła mnie pan złapać.

- Właśnie. Wesołych świąt! - Puścił konia galopem i zniknął, a Nora zastanawiała się, czego właściwie jej życzył na Boże Narodzenie.

Kiedy skrzyżowanie zniknęło mu z oczu, zwolnił i jechał stępa. Nie chciał, by koń wpadł w jakąś króliczą jamę i złamał nogę z powodu jego głupoty. Miał nadzieję, że pęd lodowatego powietrza otrzeźwi go nieco. Rozpaczliwie tego potrzebował.

Nie zdołał jednak uciec przed uczuciami, jakie wzbudziła w nim Kocica. Owszem, posuwała się do bezprawnych działań, ale miała złote serce. Wzdragał się na myśl, że sukces jego przedsięwzięcia musiał oznaczać jej klęskę. Chyba że...

Zaczął się w nim krystalizować pewien pomysł. Serce zabiło mu mocniej. Może jednak istniało wyjście z tej sytuacji, powinien tylko przekonać ją, by zaprzestała kradzieży. Ona zachowa wolność. On będzie miał swoją fabrykę. Ale by zrealizować swój plan, musiał dowiedzieć się, kim ona jest. W przeciwnym razie nie mógł jej chronić.

Jedyna znana mu nić prowadziła do Eleanor Habersham. Nie można było zignorować zbieżności daty przyjazdu do wsi starej panny, kamuflującej doskonałą figurę pod workowatymi strojami, i rozpoczęciem działalności Kota z Manchesteru. Jedynym sposobem poznania prawdy było zapytanie wprost Eleanor.

Mogła go wyprosić ze swojego domu, ale z cudzego nie. Ta myśl wywołała uśmiech na twarzy Stockporta. Wjechał na dziedziniec przed stajniami. Nie wiedział, gdzie spędzi ten wieczór Kocica, ale nie ulegało wątpliwości, że panna Habersham pojawi się na partyjce kart u pani Dalloway.

Karty u pani Dalloway bardzo komplikowały plany Nory. Eleanor była oczekiwana na przyjęciu, natomiast Kocica musiała zwrócić lordowi pierścionek z ametystem, by nie pomyślał, że nie dotrzymała słowa.

Pójdzie do niego po partii kart. Nie mogła się już doczekać błyskotliwej szermierki słownej. A może znowu wypiją razem brandy?

Mogłaby nawet pozwolić sobie na powtórny pocałunek. Przecież po zwrocie pierścionka nie będzie już miała pretekstu do następnych odwiedzin. Po Nowym Roku powinna zainteresować się nowymi inwestorami, może okażą się bardziej skłonni do rezygnacji z budowy fabryki. Tak, tego wieczoru Kocica rozstanie się na zawsze z Brandonem Wycroftem.

RS

Rozdział ósmy

W parę godzin później Nora, wystrojona w najbardziej staroświecką z kreacji Eleanor Habersham, przekonała się, że ten wieczór będzie przebiegał zupełnie inaczej, niż przewidywała. Przede wszystkim okazało się, że jej partnerem do wista jest nie kto inny jak sam Wycroft.

- Co jest atutem? - zapytała po raz setny irytującym, nosowym głosem panny Habersham w nadziei, że odwróci w ten sposób uwagę Brandona od faktu, iż właśnie wygrywali drugiego robra.

Czuła, że trudno mu będzie uwierzyć, iż taka idiotka jak Eleanor może być wytrawnym graczem. Nie potrafiła jednak zmusić się do oszukiwania podczas gry. Spędziła zatem cały wieczór, chichocząc zza wachlarzyka kart do lorda Stockporta, który prowadził przy stoliku uprzejmą konwersację, ogrywając równocześnie przeciwników.

- Atutem są piki - odparł z anielską cierpliwością, a Nora udawała, że zerka w swoje karty przez grube szkła okularów.

Rzuciła kartę na stół, czując na sobie przenikliwe spojrzenie kobaltowych oczu.

- O co chodzi, milordzie? Źle zagrałam?

- Wręcz przeciwnie, panno Habersham. Wydaje mi się, że celowo stara się pani wprowadzić nas w błąd, byśmy nie doceniali pani umiejętności. - I uśmiechnął się olśniewająco.

- Czego tu można nie doceniać? - zapytała od niechcenia, wychodząc w atut.

- Jest pani znakomitym graczem - oznajmił z uznaniem, po czym zwrócił się do sąsiadki z lewej strony. - Czy panna Habersham jest zawsze tak znakomita jak dzisiaj, pani Tidewell?

Kobieta zarumieniła się, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Chyba tak. Eleanor zawsze wygrywa, ale jest tak skromna, że zapominamy, jak znakomicie gra w karty.

- Mam szczęście do dobrych partnerów - odparła Nora, zgarniając ostatnią lewę. - Wygraliśmy tę partię, milordzie. Może pan sobie mówić, że doskonale gram, ale ja i tak sądzę, że to tylko kwestia szczęścia i dobrych partnerów. - Wstała i wyprostowała się, zadowolona, że przy dwóch pozostałych stolikach gra również dobiegła końca i zaraz zostanie podana herbata.

Za godzinę będzie mogła opuścić gości i zająć się własnymi sprawami. Usiadła skromnie z boku na kanapie. Po chwili wypatrzyły ją bystre oczy Stockporta. Do licha!

- Herbaty, panno Habersham? - Podszedł z filiżanką naparu w dłoni. Spodziewała się raczej, że Brandon przyłączy się do panów, a tymczasem on postanowił usłużyć wiejskiej starej pannie. Wyglądał przy tym tak uwodzicielsko, że nagle przemknęło jej przez myśl, iż londyńskie damy muszą za nim szaleć.

Uśmiechnął się łagodnie. Ponieważ nie zaproponowała, by usiadł przy niej, sam się wprosił.

- Mogę się do pani przysiąść, panno Habersham?

Och, oczywiście! - zawołała, udając zakłopotaną swoim brakiem dobrych manier. - Choć jestem zdumiona, że nie szuka pan towarzystwa przyjaciół.

- Ich już znam, a pani nie. To znakomita okazja, by poznać bliżej nową sąsiadkę. Od dawna mieszka pani w Grange?

Do licha! Szykują się kłopoty! To bezpośrednie pytanie natychmiast wzbudziło jej podejrzliwość.

- Nie mam o sobie za wiele do powiedzenia. Jestem prostą kobietą. Widział pan już przecież, jak skromnie żyję. - Zachichotała, nie odrywając wzroku od swojej filiżanki. - Jestem pewna, że rozmowa o panu byłaby znacznie ciekawsza - zapewniła, wiedząc, że znakomita większość mężczyzn skwapliwie zgadza się, by rozmowa toczyła się na ich temat.

Zapomniała, że Stockport różnił się od większości mężczyzn. Popełniła już drugi błąd w jego ocenie. Pierwszym było to, że go pocałowała. Powinna o tym pamiętać. Lord Wycroft nie był podobny do innych, stanowił odrębną kategorię.

Spojrzał na nią swymi niesamowitymi, teraz dziwnie zwężonymi oczyma, jakby chciał ukryć zaskoczenie. Nora zaniepokoiła się nie na żarty.

- Co się stało, milordzie? Powiedziałam coś niewłaściwego? Ojej, ciągle zdarzają mi się jakieś nietakty! - zawołała, dramatycznym gestem załamując ręce i dając pokaz porażającej głupoty, gdy tymczasem jej mózg pracował intensywnie, próbując znaleźć błąd, jaki popełniła.

Co spowodowało taką reakcję Stockporta? Wyglądał jak człowiek, który zobaczył lub usłyszał coś znajomego, ale nie potrafił przywołać kontekstu, w jakim to widział lub słyszał.

Tymczasem Brandon wziął się już w garść.

- Nie, nie powiedziała pani niczego niewłaściwego. Po prostu przypomniała mi się pewna rozmowa, którą niedawno odbyłem. I nie chodzi nawet o to, co pani powiedziała, ale w jaki sposób to zrobiła. Widzę, że skończyła już pani herbatę. Proszę więc przejść się ze mną po pokoju.

Nora spojrzała na Stockporta tak, jakby mu nagle wyrosła druga głowa. Stara panna spacerująca po salonie z lordem? Nie spodziewała się tego. Nie mogła jednak wymówić się od przechadzki, więc posłusznie wstała i położyła dłoń na jego ramieniu. Z pewnością wszystkie zgromadzone panie uznają to wyróżnienie Eleanor przez przystojnego arystokratę za śmieszne!

- Aż do dzisiejszego wieczoru, panno Habersham, wiedziałem o pani tylko dwie rzeczy - rozpoczął tonem swobodnej pogawędki. - Po pierwsze, że zamieszkała pani w Grange, a po drugie, że pani kucharka piecze najlepsze ciasteczka w okolicy. Teraz zdobyłem trzecią informację. Znakomicie gra pani w wista. Z pewnością jest jeszcze niejedno do odkrycia. - Ten ton uśpił czujność Nory, więc nie przygotowała się na następne, niepokojące słowa mężczyzny. - O, jesteśmy przy werandzie. Ma pani ochotę łyknąć świeżego powietrza, panno Eleanor?

Wreszcie zwycięstwo! W końcu doprowadził ją tam, gdzie pragnął: znaleźli się na osobności i miał szansę skonfrontować swoje

podejrzenia. Na ten moment pracował przez cały wieczór, bez zmrużenia oka znosząc niekończące się rozdania w wiście i wysłuchując mdłych, wiejskich ploteczek.

Wnikliwa obserwacja interesującej go damy była pouczająca. Grała znacznie lepiej, niż się na pierwszy rzut oka wydawało. A Brandon z każdą chwilą utwierdzał się w przekonaniu,że tylko odgrywała głupiutką starą pannę - jednym słowem, że Eleanor nie tyle znała Kocicę, ile sama nią była!

Przy kartach prezentowała cechy, które kompletnie nie przystawały do wizerunku prowincjonalnej starej panny, doskonale natomiast pasowały do Kota z Manchesteru. Natomiast jedną cechę miały wspólną: cięty język. Rozchichotana Eleanor dwukrotnie ostro mu się odcięła, gdy próbował jej zadawać zbyt osobiste pytania.

Odkrył także i inne cechy łączące te dwie kobiety. Obie miały bystre, zielone jak jadeit oczy. Pod workowatymi sukniami panny Habersham kryła się wspaniała figura, nie ustępująca w niczym imponującym kształtom Kocicy. Wreszcie przyszła pora, by on zdobył punkt w tej rozgrywce.

- Proszę o wybaczenie, droga pani, ale wydaje mi się, że mamy do omówienia pewne sprawy, które wymagają spotkania na osobności. - O mało nie parsknął śmiechem, kiedy podsunęła okulary wyżej na nosie, starając się wyglądać na zakłopotaną nagłym zainteresowaniem mężczyzny. Czyżby nie zdawała sobie sprawy, że gra dobiega końca?

- Jeżeli chce pan znowu poruszyć kwestię bezpieczeństwa Grange, to muszę uprzedzić, że pozostaję przy poprzedniej opinii i nie

przyjmuję pańskiej uprzejmej propozycji - oznajmiła z charakterystyczną dla niej nerwowością.

Sprytnie! Stockport poczuł uznanie dla jej błyskawicznego refleksu. Jedyna jego dotychczasowa rozmowa z „panną Habersham" dotyczyła właśnie bezpieczeństwa.

- Obawiam się, że miałem na myśli zupełnie inny temat. Co pani wie o Kocie z Manchesteru? - zapytał bez uprzedzenia.

- Tylko to, co słyszałam w miasteczku - odparła. - Dlaczego pan o to pyta?

- Do pani domu nie było włamania. To dziwne. - Nie dał się zwieść szeroko otwartym niby w przerażeniu oczom i ręce podniesionej obronnym gestem do szyi.

- Podobnie jak do pańskiego - odparła z rozdrażnieniem. -Może to ja powinnam zapytać, co pan wie o tym Kocie?

Brandon uśmiechnął się.

- Punkt dla pani. - Pochylił się ku niej niepokojąco blisko i dodał: - Ja rzeczywiście sporo wiem o Kocie z Manchesteru, panno Habersham. Myślę, że już najwyższa pora, byśmy wymienili informacje.

Próba zaniepokojenia Eleanor nie powiodła się. Stara panna urządziła mistrzowski pokaz oburzenia.

- Czyżby pan insynuował, że ukrywam przestępcę? Natychmiast wróćmy do środka. Uważam tę rozmowę za wysoce niewłaściwą! - Odegrała oburzenie tak przekonująco, że Brandon zawahał się na moment. Czyżby się mylił? Czyżby zawiodła go intuicja?

Nie, wszystko wskazywało na to, że nie popełnił błędu. Zrobił krok do przodu.

- A jeśli się nie zgodzę? - zapytał.

- Będę krzyczeć.

Niemal jej uwierzył. Skłonił się z kpiną.

- Wątpię, ale dobrze, wejdźmy do środka.

Po godzinie Wycroft wrócił do Stockport Hall i zajrzał do gabinetu. Myślał, że ją tu zastanie. Eleanor opuściła spotkanie przy kartach przed nim, więc miała mnóstwo czasu, by zrzucić przebranie starej panny i wśliznąć się do jego domu. Spotkało go jednak rozczarowanie.

Beształ się w duchu, wchodząc po schodach na górę. A taki był pewien swojej racji! Z drugiej strony był również przekonany, że Kocica dotrzyma słowa i odda mu pierścionek. Minęła północ. Obiecany dzień zwrotu minął.

Brandon otworzył drzwi do bawialni. Dogasający na kominku ogień oświetlał pomieszczenie. Bez wątpienia puste.

Zdecydowanym krokiem podszedł do niskiego stoliczka, na którym stała karafka z najlepszą brandy. Nalał sobie szklaneczkę i zanotował w pamięci, aby rano kazać lokajowi uzupełnić alkohol. Nie przypominał sobie, by go pił, a jednak w karafce znacznie ubyło trunku.

Ze szklaneczką brandy w ręku ruszył do sypialni i zatrzymał się w progu z niedowierzaniem.

-Witam, lordzie Stockport. Zaproponowałabym panu drinka, ale widzę, że już go pan ma. - Niski głos dobiegał od strony łóżka.

Kocica, jak zwykle w ciemnym kostiumie, leżała wsparta wygodnie o poduszki.

Ogarnęła go dziwna radość. Jednak przyszła! Starał się ukryć zadowolenie i udawać chłód.

- Czy ty nigdy nie pukasz?

- Skażenie zawodowe - odrzekła lekkim tonem.

Wstała z łóżka, powoli przeszła przez pokój i stanęła tuż przed nim. Przełknął odrobinę brandy, starając się ignorować reakcję własnego ciała na jej zmysłowy sposób poruszania się. W wyglądzie kobiety zaszła jakaś nieuchwytna zmiana, ale on nie mógł się na niej skupić, przejęty samą jej obecnością w swej sypialni.

- Co tu robisz? - spytał. Podała mu niewielki woreczek.

- To oczywiste. Zwracam panu pierścionek i pieniądze. Powinien je pan trzymać w bardziej bezpiecznym miejscu. - Pklepała się po kieszeni na piersi i dopiero w tym momencie Stockport rozpoznał, że miała na sobie jego frak.

A więc przeczucie go nie myliło. Dotrzymała słowa, zwracając mu pierścionek oraz frak z gwiazdkowego balu wraz ze schowanymi w wewnętrznej kieszeni pieniędzmi.

- Pańskie zaskoczenie jest dla mnie obraźliwe - oznajmiła z urazą. - Podejrzewał pan, że nie dotrzymam słowa?

- Zaskoczyło mnie jedynie to, że zastałem cię w swojej sypialni. Nie przywykłem, by kobiety wchodziły tu bez zaproszenia.

Kocica najwyraźniej wcale nie przejęła się jego przyganą.

- Chciałam, by nasze ostatnie spotkanie było wyjątkowe.

- Ostatnie? Wyjeżdżasz? - zapytał, czując zawód.

- Oczywiście, że nie! - Roześmiała się gardłowo. - Nadal są tu inwestorzy, którzy aż się proszą o moją uwagę. Ponieważ pan uporczywie odmawia powiadomienia opinii publicznej, że Stockport Hall zostało obrabowane, nie będę niepotrzebnie tracić czasu na tę rezydencję. - Leciutko musnęła palcami policzek i szczękę Brandona, na której już pojawił się ślad zarostu. - Potrzebuję rozgłosu.

Zapowiedź kontynuacji włamań stała w sprzeczności z jego zamiarem skłonienia jej, by zaprzestała przestępczej działalności.

- Przecież zapewniłem twoim podopiecznym zaopatrzenie, które pozwoli im przetrwać do wiosny. - Był naprawdę zdezorientowany. Myślał, że znalazł sposób zapewnienia jej bezpieczeństwa. Jednak ona była chyba uzależniona od ryzyka!

- Owszem. Ale to nie zmienia faktu, że budowa fabryki postępuje.

- Nie możesz żyć bez przestępstw, co? - zapytał z pogardą, chociaż wcale jej nie czuł.

Ani chwili, jestem wyjątkowo nikczemna. - Stała teraz tak blisko, że czubki jej piersi dotykały jego koszuli. Chciał zapomnieć na chwilę o planach budowy fabryki. Chciał ją rzucić na łóżko i zająć się grą, w której nie ma miejsca na przebrania, maski i politykę. Był do tego stopnia podniecony, że o mało nie eksplodował. Nieco ochrypłym głosem spróbował skierować rozmowę na neutralny grunt.

- Zwolnij trochę, zrób przerwę. Chcesz zostać złapana?

W jej oczach pojawiły się złośliwe iskierki.

- To zależy od tego, kto by mnie złapał. - Przesunęła lekko paznokciem po jego torsie widocznym w rozcięciu koszuli. Aż zadrżał

z rozkoszy. - Nie zamierzam dać się złapać ani głupiemu sędziemu Bradleyowi, ani żadnemu z inwestorów, którzy gotowi są przytargać tu wory pieniędzy w zamian za przywilej przebywania w pańskim towarzystwie, milordzie. Z całą pewnością nie poddam się również temu nadętemu St Johnowi czy młodemu pyszałkowi, Witherspoonowi.

Uśmiechnęła się lekko, a Brandon pomyślał, że wyglądała jak kot, któremu udało się dobrać do śmietanki.

- A czy pan, milordzie, nigdy nie chciał zostać złapany? Jeśli znajdziemy się w niewoli u właściwej osoby, to może być niesamowite przeżycie.

- Zapewne - zdołał wykrztusić. Nie rozmawiali już o złapaniu Kota z Manchesteru. Zapragnął położyć ją na prześcieradłach z czerwonego jedwabiu.

Cofnęła się i uniosła brwi, spoglądając na niego z kpiną i wyzwaniem. A potem odeszła, poruszając się w tak podniecający sposób, że pociemniało mu w oczach, i usiadła w fotelu, zakładając nogę na nogę.

- Nie musi pan odpowiadać, to oczywiste. Wystarczy spojrzeć na pańską twarz i, że tak powiem, na inne części ciała. Uważa się pan za człowieka zdolnego poskromić Kocicę. Pochylił się nad nią, opierając dłonie na poręczach fotela.

- Tak, do licha!

- Wielu już próbowało, ale nie dali rady.

- Nie jestem jednym z wielu.

- Nie, pan jest lordem, czyli kimś znacznie wyrastającym ponad szary tłum, tak?

Wstała z fotela, a Brandon zmuszony był się cofnąć. Nadal miała na sobie jego frak. Zdjęła go teraz, robiąc z tego prawdziwe przedstawienie.

- No, milordzie, podejmie pan próbę poskromienia Kocicy, czy też będzie się pan zastanawiał, kim byli ci, którzy próbowali to zrobić przed panem?

Przejrzał jej grę.

- Blefujesz. Możesz już uznać się za pojmaną. - Złapał ją za ręce i zaczął całować z namiętnością odzwierciedlającą moc jego pożądania. Było ono połączeniem prymitywnej żądzy zdobycia tej nieokiełznanej istoty z równie pierwotnym instynktem chronienia tego, co było jego własnością.

Bo Kocica, niezależnie od tego, czy zdawała sobie z tego sprawę, czy nie, należała do niego. Była mu równa pod względem intelektu, zmysłowości i oddania sprawie, którą uważała za słuszną. Czyli była mu równa we wszystkim, co się naprawdę liczyło. Odwzajemniła pocałunek z niekłamanym żarem, przylgnęła do niego i po raz pierwszy całkowicie oddała mu inicjatywę.

Ośmielony jej reakcją Brandon położył dłoń tuż pod jej piersią. Wydała zachęcający pomruk, więc nie przerywając pocałunku, objął jej pełną pierś i pociągnął ją na łóżko. I nagle, w ułamku sekundy, znalazł się w niewoli. Usiadła na nim okrakiem i prawą dłonią unieruchomiła obie jego ręce nad głową. Leżał bez ruchu, ciekaw, jak

daleko się posunie. Wolną ręką ściągnęła mu z szyi krawat i związała nim nadgarstki mężczyzny.

- Co robisz? - zapytał, gdy z uśmiechem odsunęła się, by podziwiać swoje dzieło.

- Czy żadna z kochanek nigdy nie bawiła się z panem w ten sposób? - Zaczęła pieścić przez ubranie jego męskość. - Chyba nie. - Roześmiała się gardłowo.

Brandon jęknął. Kocica usiadła na piętach i uśmiechnęła się od ucha do ucha. Zeskoczyła z łóżka i przez dłuższą chwilę przyglądała się z upodobaniem długim nogom mężczyzny. Potem ściągnęła mu buty i spodnie. Oboje spojrzeli na jego wyprężoną męskość.

Nie przestając się uśmiechać, podeszła do drzwi.

- Może się pan uznać za złapanego - powtórzyła jego własne słowa.

- Dokąd idziesz?

- Do domu.

- Do domu? - Znaczenie tych słów nie od razu do niego dotarło. - Zaczekaj! Nie możesz mnie tak zostawić.

- Ależ mogę. - I odwracając się, dodała na rozstanie: - Czy nikt pana nie ostrzegał, że nie wolno ufać uśmiechniętemu kotu?

Rozdział dziewiąty

Na szczęście pętla nie była zbyt mocno zaciśnięta, więc Brandon sam zdołał się uwolnić. Podziękował łotrzycy w duchu za tę odrobinę łaski. Wezwanie na pomoc lokaja byłoby zbyt upokarzające.

Rozpoczęła się prawdziwa walka - cios za cios, punkt za punkt. Nie chodziło już o fabrykę, to była prywatna rozgrywka.

Tego wieczoru Stockport zamierzał wygrać, a tymczasem został wystrychnięty na dudka. W porządku. Należało mu się za przyparcie do muru panny Habersham. Byli kwita. Bo nie wątpił, że ciąg dalszy nastąpi. Rozgrywka się nie zakończyła.

Czas wezwać posiłki. Lord Wycroft postanowił zaprosić przyjaciela, Jacka Hanleya, wicehrabiego Wainsbridge. Razem być może zdołają rozwiązać zagadkę Kota z Manchesteru.

Musiał poznać tożsamość Kocicy dla jej własnego dobra. Pomimo dzisiejszego postępku za bardzo ją lubił, by pozwolić jej zawisnąć na stryczku. Ponadto czuł, że jego sympatia była odwzajemniona. Ona również nie była obojętna na jego pocałunki i dotyk. Brandon miał bogate doświadczenie z kobietami, więc wiedział doskonale, że dzisiejsza namiętna rozgrywka jej też sprawiła przyjemność. Topniała w jego objęciach, ulegając własnej namiętności. A on pragnął jej ponad wszystko. Zrozumiał więc, że znalazł się w kłopotach. Jack powinien przyjechać jak najprędzej.

Wielki Boże! Przywiązała nagiego lorda Stockporta do łóżka i zostawiła w takim stanie! Na wspomnienie swych wyczynów Nora

zaczerwieniła się po uszy. Tej nocy posunęła się za daleko. Uznała to jednak za konieczne, by wybić mu z głowy podejrzenia, że Eleanor Habersham i Kot z Manchesteru to jedna i ta sama osoba. Miała nadzieję, że przekonała go, iż w jednym ciele nie mogą kryć się dwie tak diametralnie różne osobowości.

Postępowanie Stockporta wobec Eleanor zaalarmowało ją, ponieważ zdawała sobie sprawę, że jako dżentelmen nie zachowałby się tak, gdyby nie miał pewności, iż panna Habersham to postać fikcyjna.

Nora wślizgnęła się do mrocznej kuchni. Szybko wbiegła po schodach, omijając piąty, skrzypiący stopień, i schroniła się w swoim sanktuarium, unikając spotkania z Hattie. Bez chłodnej analizy sytuacji nie miała co marzyć o uniknięciu aresztowania.

Czy była zakochana w Brandonie?

Niewiele wiedziała o miłości. Krótkotrwałe, zakończone katastrofą małżeństwo niczego jej nie nauczyło. Z podsłuchanych przez nią rozmów innych kobiet wynikało, że godzinami rozmyślały o swym najdroższym, a kiedy pojawiał się w pobliżu, serca zaczynały im szybciej bić.

Była zatem bezpieczna. Owszem, czuła przypływ adrenaliny na myśl o kolejnym spotkaniu ze Stockportem, ale tylko z powodu perspektywy szermierki słownej z godnym jej przeciwnikiem. Niewątpliwie nie rozmyślała o nim godzinami i nie stawiała go na piedestale. Koncentrowała się raczej na tym, jak go pokonać. To w najmniejszym stopniu nie odpowiadało znanym jej opisom objawów miłości.

Nora odetchnęła z ulgą. Nie zakochała się w Brandonie. Wiedziała, że nie powinna nawet w myślach zwracać się do niego po imieniu, bo to groziło przypływem cieplejszych uczuć i mogło stać się niebezpieczne. A przede wszystkim byłoby zdradą.

Przemysł zniszczył jej rodzinę, całe jej życie. Nie powinna ani na chwilę zapominać, że lord Wycroft był pomysłodawcą budowy fabryki.

Doszła do wniosku, że po prostu zbyt wiele miała z nim do czynienia. I dlatego powiedziała mu, że więcej go nie odwiedzi. Zresztą coraz mniej czasu pozostało na powstrzymanie budowy fabryki. Należało bez przerwy niepokoić inwestorów, by zastanawiali się nieustannie, w kogo teraz uderzy Kot z Manchesteru.

Przejrzała niewielką stertę listów leżących na sekretarzyku i z uśmiechem znalazła zaproszenie na bal sylwestrowy do pana Flacka, jednego z przemysłowców, którzy pragnęli wzbogacić się na budowie fabryki włókienniczej. Taki bal stanowił wymarzoną okazję do zaplanowania następnego uderzenia. Eleanor zawsze udawało się zdobywać cenne informacje od niczego niepodejrzewających domowników. Może nawet uda jej się przeżyć parę ekscytujących chwil. Lord Stockport bez wątpienia znajdzie się w gronie zaproszonych gości, więc będzie miała okazję wysondować, ile właściwie wiedział o Eleanor Habersham i Kocie z Manchesteru.

-I dla takiej sennej dziury porzuciłeś debaty parlamentarne? - Jack Hanley, wicehrabia Wainsbridge, z niedowierzaniem wskazał bogato zdobioną laską rozciągające się przed nim miasteczko. - Z powodu czegoś takiego gnałem tu z Londynu? Wyjechałem w parę

godzin po otrzymaniu twojego zaproszenia, bo pisałeś, że sytuacja jest groźna. To nie żadna groźba, mój drogi, to nuda.

Brandon wysiadł z karety i stanął obok przyjaciela. Spróbował spojrzeć na Stockport-on-the-Medlock oczami zblazowanego druha. Człowiekowi przywykłemu do kipiącego od intryg Londynu musiało się wydać sielską dziurą, w której nie ma miejsca na zło czy podłość.

Pozory mylą. Wycroft przekonał się o tym w ciągu pięciu dni, jakie upłynęły od wezwania Jacka. Biała wieża kościelna, eleganckie wystawy sklepów i porządnie wybrukowane ulice były zewnętrznymi oznakami prosperity zbudowanego na ludzkim nieszczęściu. Za tą miłą fasadą krył się zupełnie inny obrazek -świat farmerów, którzy z wysiłkiem walczyli o utrzymanie ziemi nieprzynoszącej już takich profitów jak dawniej, i świat robotników rolnych, którzy straciwszy pracę, musieli zostawić swe rodziny i szukać zajęcia w Manchesterze.

Miasteczko było rozdarte walką pomiędzy zwolennikami budowy nowej fabryki a przeciwnikami tego projektu. Kocica przewodziła jednemu stronnictwu, a on, z racji swej pozycji w świecie i powiązaniu z zamierzoną inwestycją, drugiemu.

- Gdyby Stockport-on-the-Medlock było takie, jakie się wydaje na pierwszy rzut oka, to wcale bym cię tu nie ściągał, stary przyjacielu. - Brandon poklepał Jacka po plecach. - Pospacerujemy trochę po ulicach, a potem wybierzemy się na obiad do zajazdu Pod Wozem i Bykiem. To najlepsze miejsce dla tych, którzy chcą dowiedzieć się nowinek.

W kilka godzin później Jack Hanley przełknął ostatnią łyżkę gulaszu z królika, zagryzł grubą skibką chleba i rozparł się w fotelu.

- Zaczynam rozumieć, co miałeś na myśli - oświadczył. Przez godzinę chodzili po sklepach, następną spędzili nad kuflem piwa i dopiero potem poszli na lunch. Brandon z niecierpliwością czekał na werdykt Jacka.

Nikt tak jak on nie potrafił dostrzec tego, co działo się pod powierzchnią. Ubierał się jak dandys i zachowywał jak zblazowany światowiec, na skutek czego ludzie często zapominali o jego przenikliwości i błyskotliwej inteligencji. I na to właśnie liczył Stockport, chcąc rozwikłać zagadkę Kota z Manchesteru.

- Ile osób wspomaga Kota? - zapytał Jack. Brandon wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. W Manchesterze Kot ma całą siatkę współpracowników. - Skrzywił się, wspominając dzień spędzony na zakupach z panną Habersham. - Ale tutaj jego zaplecze nie jest już tak oczywiste, chociaż przypuszczam, że niejeden w głębi ducha go popiera. Budowa fabryki spotyka się z oporem silnej mniejszości.

- Rozumiem dlaczego - rzekł Hanley i sięgnął po karafkę, by dolać czerwonego wina do kieliszków. - Okolica idealnie nadaje się na pastwiska. Rzeka stworzyła znakomite warunki do wypasu owiec. Trudno przekonać ludzi, by porzucili dotychczasowe źródła utrzymania i sposób życia, do którego przywykli od pokoleń.

- Chcę ich przekonać, że stary i nowy styl życia mogą z powodzeniem współistnieć. Przędzalnia będzie potrzebowała wełny. A dostawy surowca z najbliższej okolicy to dla przemysłu czysty zysk - mówił Wycroft z wyraźnym zapałem.

Jack podniósł dłonie, by zahamować ten potok wymowy.

- Twój zapał dla tego projektu rzeczywiście robi wrażenie, nie zapominaj jednak, że ludzie wiedzą, dlaczego to robisz. Potrzebujesz tej fabryki, to nie żadna filantropia.

Cynizm przyjaciela nie ostudził zapału Stockporta.

- Jasne, że potrzebuję fabryki. Potrzebuję stałego źródła dochodów na przyszłość. Nie tylko dla siebie i swoich spadkobierców, ale dla całego regionu. Z samego rolnictwa mieszkańcy nie zdołają się utrzymać. Z innego powodu nie „brudziłbym" sobie rąk zajęciem „niegodnym arystokraty". Jestem pewien, że fabryka odniesie sukces, a wtedy ludzie z towarzystwa zapomną o moich ekscentrycznych wyskokach.

Hanley ryknął śmiechem.

- Tym bym się raczej nie martwił. Z twoją elegancją, urodą i manierami w oczach świata po prostu nie mógłbyś popełnić błędu.

Brandon nie dał się sprowokować.

- Jak mówiłem, ponoszę odpowiedzialność za wszystko, co się dzieje na podległym mi terenie i potrzebuję twojej pomocy.

Jack znowu dolał sobie wina.

- Skoro już mowa o odpowiedzialności, to straciłeś najlepszą część debaty o reformie ustroju miast i dzielnic. Jeśli ten projekt ma przejść, to będziesz musiał, mój drogi lordzie, wyrwać się z domowych pieleszy. Jesteś gotów to zrobić?

Stockporta uderzyła ironia sytuacji. Premier liczył na to, że stanie on na czele zwolenników liberalizacji przepisów dotyczących klasy średniej i niższej i będzie głosował za reformą. Kocica

natomiast uważała go za ostoję konserwatyzmu i przeciwnika poprawy doli ludzi z niższych klas.

- Dość już tej polityki, Jack. Powiedz, czego dowiedziałeś się o Kocie. - Hanley miał nieograniczony dostęp do źródeł informacji, które mogły rzucić jakieś światło na tę tajemniczą postać.

- Działalność Kota nie ogranicza się wyłącznie do Manchesteru i okolic. Widziałem raporty o analogicznych włamaniach w Birmingham, Leeds i Bradford. Jak wiesz, te miasta znajdują się w podobnej sytuacji co Manchester. Intensywnie rozwijają przemysł i stoją w obliczu takich samych problemów społecznych.

- Czy to możliwe, by kilka różnych osób przybrało ten sam przydomek?

Jack pokręcił głową.

- Wszystko wskazuje na to, że nie mamy do czynienia z grupą osób działających w zmowie. Charakter przestępstw i okres ich popełniania świadczą o tym, że to jedna i ta sama osoba przemieszcza się z miejsca na miejsce. Stałe pozostaje imię i sposób działania.

- Od dawna trwa działalność Kota?

- Z raportów wynika, że trzy lata. Niewykluczone jednak, że działał przedtem pod innym pseudonimem.

- A co z Eleanor Habersham? - Odpowiedzi na to pytanie Brandon obawiał się najbardziej. Gdyby zdobył potwierdzenie swoich podejrzeń, czułby się usprawiedliwiony, a przynajmniej mniej winny z powodu swego skandalicznego zachowania na przyjęciu u pani Dalloway.

- Nie znalazłem żadnego śladu jej istnienia, ale to jeszcze o niczym nie przesądza. Brak raportów może znaczyć, że twoja stara panna po prostu nie zagraża imperium brytyjskiemu. Ale równie dobrze może być kamuflażem dla Kota z Manchesteru. Nie rozumiem tylko, jakim cudem? Chyba że ten twój włamywacz jest kobietą. - I nagle na twarzy Jacka pojawiło się zrozumienie. - Podejrzewasz, że Kot jest kobietą, prawda? Brandon kiwnął głową.

- Nie podejrzewam, a wiem z całą pewnością, że jest kobietą.

- Skąd wiesz?

Stockport położył palec na ustach.

- Poczekaj, aż wrócimy do domu.

- Potrzebuję drinka. - Hanley nalał sobie brandy i wrócił na fotel, w którym cierpliwie wysłuchiwał rewelacji przyjaciela o Kocicy. - Moim zdaniem to dziwne, że nikomu nic nie powiedziałeś. Możesz mi to wyjaśnić?

- Początkowo byłem skrępowany, że pozwoliłem jej uciec.

- A potem?

- Powiedzmy, że potem przestałem być zainteresowany aresztowaniem Kota z Manchesteru. - Brandon przełknął spory łyk brandy.

- Zapewne w taki właśnie sposób udaje jej się uchodzić sprawiedliwości - stwierdził Jack z nutką triumfu w głosie. - Mężczyźni nie chcą jej wydać, bo w sytuacjach zagrożenia zawraca im w głowie, jak to zrobiła z tobą.

- Ona nie jest dziwką! - zaprotestował Stockport, choć nie miał najmniejszych podstaw do tego twierdzenia.

- Nie słyszałem nigdy, by cnotliwe dziewice przywiązywały mężczyzn do łóżek. Chyba nie sądzisz, Brandonie, że jesteś jedynym mężczyzną, którego w ten sposób potraktowała? - naciskał Jack. Po chwili podjął łagodniejszym tonem: - W liście prosiłeś, bym ci pomógł schwytać Kota. Teraz twierdzisz co innego. Co jest prawdą? Chcesz ją złapać czy nie?

Stockport nie odpowiedział. W oczach Hanleya błysnęła iskierka zrozumienia.

- A więc to tak! Chcesz ją złapać dla siebie. Dlaczego? Jesteś zazdrosny? Nie możesz znieść myśli, że mogłaby zastawić sidła na innego mężczyznę?

- Wcale nie jestem pod jej urokiem - zaprotestował Brandon, oburzony sugestią Jacka, że złodziejka mogła kupić jego lojalność za cenę swoich wdzięków. Pytanie o zazdrość uwierało go jak gwóźdź w bucie. Czy przyjaciel mógł mieć rację?

- Więc czym tłumaczysz to pragnienie chronienia jej? Powinieneś już wiedzieć, że nie potrafisz okiełznać tej dzikuski. Nie możesz poskromić Kocicy, Brandonie.

Lord Stockport wpatrywał się w resztki brandy w swej szklaneczce. Nagle stanęły mu przed oczami wspomnienia z ich ostatniego spotkania.

- Chyba masz rację, Jack. Lepiej jednak dla niej, bym to ja ją schwytał, a nie władze. Jeśli dostanie się w ręce inwestorów, to z całą pewnością trafi do więzienia. Z raportów, do których dotarłeś, wynika, że ma również na sumieniu włamania w innych rejonach kraju. Żaden sędzia nie będzie mógł przymknąć oczu na trwającą trzy

lata działalność przestępczą. - Brandon przypomniał sobie słowa, które usłyszał z jej ust w dniu Bożego Narodzenia, że ze względu na przeszłość rezygnacja z dalszych włamań nic jej nie da.

- A więc to rodzaj wyścigu. Ty uważasz, że masz nad innymi przewagę, bo odkryłeś, że Kot z Manchesteru to znana wszystkim stara panna, Eleanor Habersham. A nabrałeś tego przekonania z powodu strzępu rozmowy, jaką odbyłeś z nią na kartach u sąsiadki?

Stockport zerwał się z fotela i zaczął krążyć po pokoju.

- Także z innych powodów. Stara panna to kamuflaż, jestem o tym przekonany.

- Kiedy będę mógł zobaczyć ten wzór wszelkich cnót?

- Na dzisiejszym balu sylwestrowym. Ale proszę cię, Jack, nie wzbudź jej podejrzeń. Jeśli ucieknie, zostaniemy z niczym.

Zabawa na powitanie Nowego Roku trwała w najlepsze. Nora siedziała na uboczu w towarzystwie kilku dam zaprzyjaźnionych z Eleanor Habersham. Nigdy jeszcze nie demonstrowano bogactwa w tak ostentacyjny sposób. Było krzykliwe, podobnie jak balowa toaleta panny Habersham w wielkie czerwone róże na kremowym tle. Tkanina nadawała się może na zasłony, ale z całą pewnością nie na suknię. Spełniła jednak swoje zadanie, to znaczy - zgodnie z intencją Nory - przyciągała do tego stopnia uwagę widzów, że nie zwracali uwagi na nic innego.

Towarzyszki panny Habersham chichotały, wachlowały się i wymieniały uwagi na temat strojów i biżuterii żon inwestorów. Nagle jedna z nich wskazała gestem drzwi sali, wołając:

- Ojej, lord Stockport jednak przyszedł i w dodatku przyprowadził przyjaciela. Podobno to wicehrabia. Jedli dzisiaj lunch Pod Wozem i Bykiem.

Nora przerwała rozmowę. Odniosła wrażenie, że Brandon rozgląda się po sali, wypatrując jej. Czuła, że maska panny Habersham już jej nie chroni. Od czasu spotkania przy kartach przestał ufać Eleanor, tak samo jak nie ufał Kocicy.

Ach, czemu był taki przystojny?! A niech go! Rumieniec pokrył jej policzki. Po krótkim przywitaniu z gospodarzami

Stockport ruszył w jej stronę. Nieprędko dotarł do celu, bo co krok musiał się zatrzymywać, by wymienić uprzejmości z kimś znajomym bądź zawrzeć nową znajomość. Nieczęsto prawdziwy lord zaszczycał swą obecnością dom przedstawiciela burżuazji. Nikt nie chciał więc stracić okazji, by zostać mu przedstawionym.

Nawet gdyby Nora próbowała odłączyć się od towarzystwa, Brandon i tak by ją odnalazł. Nie było więc sensu uciekać. Zresztą doszła do wniosku, że woli stawić mu czoło w otoczeniu grupy znajomych pań, niż ryzykować spotkanie na osobności, gdzie mógłby znów wrócić do swych podejrzeń.

- Panie pozwolą, że przedstawię lorda Stockporta i wicehrabiego Wainsbridge'a. - Gospodyni dokonała prezentacji.

Nora wkrótce zrozumiała, że to nie Brandona powinna się obawiać. Prawdziwe zagrożenie stanowił towarzyszący mu dandys, którego w pierwszej chwili zlekceważyła. Miał zdecydowanie zbyt twarde, badawcze spojrzenie, które kłóciło się z gładkimi manierami

światowca. Również fircykowaty strój niezbyt pasował do człowieka o tak szerokich ramionach i muskularnej budowie.

Swój rozpozna swego bez trudu. Dziewczyna natychmiast zorientowała się, że to kamuflaż. Ten człowiek nie przebierał się, co prawda, za kogo innego, jak ona, ale niewątpliwie starał się coś ukryć. Nie musiała zbyt długo się zastanawiać, by odkryć co. Ludzie bez oporów udzielali informacji tym, którzy w ich mniemaniu do najmądrzejszych nie należeli. Przecież ona również wykorzystywała tę cechę. Wicehrabia bardzo dobrze odgrywał rolę człowieka, który zostawił szare komórki w domu, by się za bardzo nie przemęczać.

Mężczyzna, w którym rozpoznała jednego z nowych inwestorów, odciągnął Stockporta na bok. Po chwili lord wrócił i przeprosił, że musi opuścić towarzystwo.

- Przykro mi, ale mamy małe spotkanie z inwestorami w bibliotece. Musimy omówić nowy plan ujęcia Kota. - Brandon popatrzył wprost na Eleanor Habersham. Czy było to znaczące spojrzenie? Pożałowała, że tego wieczoru występuje w roli starej panny. Kocica pozbyłaby się błyskawicznie Wainsbridge'a i podsłuchała inwestorów.

Następne słowa Stockporta zaskoczyły ją całkowicie.

- Liczę, panno Habersham, że zaopiekuje się pani wicehrabią Wainsbridge'em. Mam nadzieję, że zaszczyci go pani tańcem?

To właściwie nie było pytanie. W następnej chwili Hanley stał już przed nią, a na parkiet zmierzały pary gotowe do tańca. Nora nie miała wyjścia, musiała wyrazić zgodę. Najwyraźniej Brandon zamierzał grać z nią w kotka i myszkę. Należało mu zatem

przypomnieć, kto tu występuje w roli kota, a kto myszki! Nawet nie przypuszczał, jak źle tańczy biedna Eleanor!

RS

Rozdział dziesiąty

Lord Stockport z pewną dozą niepokoju spoglądał na pięciu dżentelmenów zebranych w bibliotece Flacka. Trzy tygodnie temu uważałby spotkanie zmierzające do ujęcia Kota z Manchesteru za naturalne i potrzebne.

Ale wtedy nie znał jeszcze Kocicy.

Cecil Witherspoon, główny inwestor, odchrząknął i otworzył zebranie.

- Panowie, przykro mi, że przerywam zabawę sylwestrową, żeby rozmawiać o interesach, ale nie można już dłużej tolerować poczynań Kota z Manchesteru.

Mężczyźni - sędzia Bradley, Magnus St John, Stephen Livingston i Jonathan Flack - zgodnie kiwnęli głowami. Stockport ledwie skinął potakująco. Z całego serca nie cierpiał Cecila Witherspoona.

A przecież ten wysoki, szczupły blondyn powinien budzić jego szacunek. Obdarzony prawdziwą żyłką do interesów, Witherspoon był ambitnym mężczyzną przed czterdziestką, który do wszystkiego doszedł własną pracą. Brandon przekonał się jednak, że Cecil był człowiekiem zimnym i bezlitosnym, pozbawionym odrobiny współczucia. Z zimną krwią prezentował teraz plan pojmania Kota z Manchesteru.

- Przeanalizowaliśmy wraz z St Johnem wszystkie akcje Kota i chyba zdołaliśmy odkryć pewną prawidłowość. Jesteśmy przekonani,

że celem następnego ataku będzie dom St Johna. Stwierdziliśmy również, że wszystkie rabunki odbywały się pod nieobecność ofiar, które brały w tym czasie udział w imprezach towarzyskich. To oznacza, że Kot zaatakuje w środę, gdy St John wraz z żoną pojadą do sędziego Bradleya na cotygodniową partyjkę kart. Magnusie, oddaję ci teraz głos. - Teatralnym gestem dał znak przyjacielowi.

Magnus St John, ciemnowłosy, brodaty, rubaszny człowiek, odchrząknął i rozpoczął:

- Proponuję, byśmy wszyscy spotkali się w środę u mnie na obiedzie. Nasza obecność będzie dla Kota zaskoczeniem, więc ujmiemy go bez trudu.

To miał być ten genialny plan? Stockport miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Jeszcze bardziej komiczna była powszechna akceptacja pozostałych uczestników narady, którzy z uznaniem kiwali głowami i głośno wyrażali aprobatę.

- Ma pan jakieś zastrzeżenia, milordzie? - zapytał chłodno Witherspoon. Najwyraźniej Brandon nie zdołał ukryć rozbawienia.

- Naprawdę pan sądzi, że Kot wejdzie bez zastanowienia do rzęsiście oświetlonej jadalni? A może mamy siedzieć po ciemku i czekać na pojawienie się włamywacza, by go zaskoczyć? - odpowiedział pytaniem.

- Będziemy siedzieć przy świecach. Złodziej zauważy je, gdy już będzie za późno - zapewnił St John z powagą.

- A ta „pułapka"? - dopytywał się Wycroft.

Witherspoon westchnął z żalem, że musi mieć do czynienia z tak mało inteligentnymi ludźmi. Przełknął pytanie tylko dlatego, że

zostało zadane przez lorda Stockporta. Usilnie zabiegał o akceptację wyższych sfer i gotów był zapłacić każdą cenę, byle tylko zaskarbić sobie życzliwość człowieka o tak mocnej pozycji wśród arystokracji.

- Pułapką będzie sama nasza obecność w domu St Johna, który wedle mniemania Kota powinien być pusty. Włamywacz stanie jak wryty, a wtedy go złapiemy i wsadzimy do więzienia.

Brandon powstrzymał się od komentarza. Skoro chcieli zrealizować ten plan, proszę bardzo. Zresztą nie wolno nie doceniać elementu zaskoczenia. Podobnie jak przewagi liczebnej. Jeden złodziej przeciwko pięciu mężczyznom to sytuacja nie do pozazdroszczenia.

- Będę z zainteresowaniem czekał na efekty waszej akcji, panowie - rzekł, uśmiechając się lekko.

- Ależ musi pan wziąć w niej udział, milordzie. Proszę koniecznie przyjść na obiad w środę - zapraszał gorąco St John. Był pod tym względem nie lepszy od Witherspoona. Miesiącami będzie mógł opowiadać swoim kompanom z londyńskiego City, że gościł na obiedzie prawdziwego lorda.

- W takim razie ustalone. - Stockport skłonił głowę z uznaniem, którego wcale nie czuł. Zastanawiał się, co zrobić z tą informacją. Mógł uprzedzić Kocicę o pułapce, oczywiście pod warunkiem, że ją odnajdzie. Mógł również zachować milczenie i pozwolić, by wszystko potoczyło się własnym trybem.

A wówczas istniały dwie ewentualności. Pierwsza, że Kocica wystrychnie ich wszystkich na dudków, a druga, że zostanie złapana. Żadna z nich mu nie odpowiadała.

- Zgadza się, ustalone - stwierdził Livingston. - Plan musi się powieść. Nie liczyłem się z takimi konsekwencjami, kiedy zgodziłem się wejść do spółki. Moja żona nie sypia po nocach ze strachu przed włamywaczem. Zaczyna już przebąkiwać o powrocie do Londynu.

- Właśnie, właśnie - poparł go Flack, bezbarwny mężczyzna o cofniętym podbródku, którego niepozorny wygląd był rekompensowany znacznym majątkiem. - Żaden z nas nie właduje więcej pieniędzy w tę inwestycję, dopóki Kot z Manchesteru pozostaje na wolności.

Witherspoon uśmiechnął się chłodno.

- W tej kwestii wszyscy jesteśmy zgodni. Proponuję toast, panowie.

Dżentelmeni unieśli kieliszki, Stockport przyłączył się niechętnie. W bladoniebieskich oczach Witherspoona pojawił się zabójczy błysk, gdy zaproponował toast:

- Za Kota z Manchesteru. Oby nasza pułapka zaprowadziła go na szubienicę.

Rozpoczęta przez Kocicę gra stawała się z każdą chwilą bardziej niebezpieczna. Ciekawe, czy zdawała sobie z tego sprawę, pomyślał Brandon. Szybko odstawił kieliszek, przeprosił obecnych i wyszedł.

Nagle rozpaczliwie zapragnął dowiedzieć się, jak Jack radził sobie z Eleanor Habersham. Stara panna stanowiła jego jedyny trop. Jeśli nie zdoła wkraść się w jej zaufanie, nie zdąży ostrzec Kocicy na czas.

Zatrzymał się w słabo oświetlonym korytarzu prowadzącym do sali balowej, zastanawiając się nad decyzją. Tak, uprzedzi Kocicę. Jak szybko podjął to postanowienie!

- To nie fair - jęknął Jack, opadając na miękkie poduchy wygodnej karety Stockporta. - Ty masz do czynienia z kuszącą uwodzicielką, która przywiązuje cię do łóżka, a mnie pozostaje ubiegać się o względy okropnej starej panny.

Brandon masował skronie, by odpędzić narastający ból głowy.

- Nie ma żadnej starej panny. Eleanor Habersham nie istnieje - powiedział zmęczonym głosem, jakby powtarzał to samo już po raz setny.

- Kiedy deptała mi po palcach, wydawała się jak najbardziej realna - rzekł Hanley. - O ile pamiętam, twierdziłeś, że tańczy bosko. Najwyraźniej bardzo obniżyłeś wymagania. -Poruszył stopą i skrzywił się. - Do licha, czego się nie robi dla przyjaciół! Może zostanę kaleką na zawsze.

Brandon parsknął śmiechem.

- Jestem pewien, że nie było tak źle.

- Nikt inny nie tańczył z nią dwa razy. Pewnie teraz całe miasteczko oczekuje, że pójdę się jej oświadczyć.

- Powiem ci na pocieszenie, że twoje poświęcenie nie poszło na marne.

- Nie widzę żadnych efektów poza zmiażdżeniem moich palców.

- Zyskaliśmy pewność. Eleanor tańczy okropnie. Kocica znakomicie. Wszelkie działania pierwszej są przeciwieństwem tego, co robi druga.

- W takim razie nie ma szans, by panna Habersham wśliznęła się do mojej sypialni i przywiązała mnie do łóżka - westchnął Jack ponuro, choć w jego oczach tańczyły wesołe iskierki.

- Raczej nie.

- Jesteś pewien?

- Jak tego, że inwestorzy są żądni krwi.

- A co będzie, jeśli nie uda im się złapać Kota?

- To mogę się pożegnać z zamiarem budowy fabryki. Odejdą, jeśli Kocica jeszcze raz obrabuje ich domy. Livingston już jest gotów się wycofać, a Flack będzie następny. Nie chcą brać udziału w niepewnym przedsięwzięciu. Nikt z nas nie liczył się z takim ryzykiem.

Brandon zamknął oczy. Spotkanie w bibliotece uświadomiło mu to jasno. Nie był w stanie zagwarantować inwestorom bezpieczeństwa. Nie mógł ich również zapewnić, że napłyną kolejne fundusze. Dawni inwestorzy, szczególnie ci, którzy włożyli w fabrykę znaczne sumy, naciskali, by produkcja ruszyła zgodnie z harmonogramem, to znaczy w ciągu miesiąca.

- Kocica może być zadowolona - mruknął Jack, obracając w palcach laskę. - Musisz wybierać pomiędzy nią a fabryką. Moim zdaniem to interesujące, że w ogóle zastanawiasz się nad decyzją. Jak możesz stawiać bezpieczeństwo jednej kobiety na równi z dobrobytem Stockport-on-the-Medlock? - Hanley zamilkł, ale jego mina wskazywała, że miał jeszcze to i owo do powiedzenia, tylko nie był pewien, czy może sobie na to pozwolić.

- Dalej, Jack. Widzę, że coś ci leży na wątrobie - mruknął Stockport ponuro.

- Dobrze, ale nie zapominaj, że jesteśmy przyjaciółmi. -Hanley, niejako dla podkreślenia tych słów, wycelował laskę w przyjaciela. - Chyba nie sądzisz, że Kocica naprawdę ma dla ciebie jakieś cieplejsze uczucia? Ona chce, byś jej pragnął, może nawet zakochał się w niej. Liczy, że dzięki temu odniesie sukces.

- Zamknij się, Jack - warknął Brandon. Miał ochotę powiedzieć więcej. Że to, co ich łączy, jest wyjątkowe. Że to, co czują, łącząca ich namiętność, są prawdziwe.

Po raz pierwszy jednak zdał sobie sprawę, jak niedorzecznie brzmiałyby te tłumaczenia. Czy Hanley miał rację? Był wybitnym znawcą ludzkich charakterów. Odrzucenie opinii człowieka, o którego zdanie sam poprosił, byłoby kompletną głupotą.

- Bogowie, ty naprawdę wierzysz w jej uczucie! - jęknął Jack z rozpaczą. - Wystarczy spojrzeć na twoją twarz.

Kareta skręciła z drogi na podjazd do Stockport Hall. Hanley uniósł zasłonę i spojrzał na szary świt. Westchnął ciężko.

- Dość już tych rozmów o twoim życiu uczuciowym. Mam zamiar resztę dnia przeleżeć w łóżku. A kiedy się obudzę, wezmę długą, gorącą kąpiel, żeby porządnie wymoczyć moje nieszczęsne stopy. Szczęśliwego Nowego Roku, przyjacielu.

Brandon zaklął. Odprowadził wzrokiem Jacka, który wszedł do domu z taką miną, jakby go nic nie obchodziło. Wiedział jednak, że to tylko gra. Obchodziło go wiele spraw, choć nie uzewnętrzniał swoich uczuć. Ale on nie musiał uporać się z uwodzicielską złodziejką,

wybudować fabryki, zabezpieczyć majątku i wziąć w karby żądnego krwi Cecila Witherspoona. Brandon nie pamiętał, by kiedykolwiek tak fatalnie rozpoczął Nowy Rok.

Nie wiedział, od czego zacząć. Całe szczęście, że od Bożego Narodzenia Kocica nie dokonała żadnego włamania. Czuł jednak, że to tylko kwestia czasu.

Może, podobnie jak on, obserwowała i planowała następne posunięcie. Z pewnością uderzy znowu, a jeśli inwestorzy się nie mylili, to wiedział już gdzie i kiedy. Byłby w stanie temu zapobiec, gdyby zdobył dowód, że Kocica i panna Habersham to jedna i ta sama osoba.

Postanowił złożyć jej nocną wizytę. Jeśli się mylił i Eleanor rzeczywiście była tylko starą panną, przyjdzie mu zapłacić za to wysoką cenę. Jednak czas naglił.

Gdzie teraz uderzyć? Nora krążyła po niewielkim saloniku Grange, przeglądając trzymaną w ręku listę inwestorów. Kot z Manchesteru był bliski sukcesu. Potwierdzały to informacje, jakie zdobyła w czasie balu sylwestrowego; nadal brakowało dwóch inwestorów, a pozostali rozważali wycofanie się. Jeżeli nie przestanie wywierać na nich presji, planowana inwestycja umrze śmiercią naturalną.

Kiedy jej misja w Stockport-on-the-Medlock zostanie zakończona, przeniesie się gdzie indziej, jak to zrobiła w Leeds, Bradford i Birmingham. Kot nigdy nie zabawił zbyt długo w jednym miejscu. Dzięki temu mógł mieć nadzieję na przysłowiowych dziewięć kocich żywotów.

Eleanor Habersham przestanie istnieć. Zostanie powołana do życia inna postać i gra rozpocznie się od nowa tam, gdzie jej pomoc będzie potrzebna. W Lancashire działało pięćset sześćdziesiąt fabryk zatrudniających sto dziesięć tysięcy robotników, miała więc zapewnione zajęcie na bardzo długo -do czasu, gdy zostanie schwytana.

Zegar na kominku wybił dziesiątą. Wielkie Nieba! Tyle czasu snuła się po pokoju, rozmyślając o Brandonie? Spojrzała na trzymaną w ręku listę. Następnym celem będzie dom St Johna. Zrobi to w środę, kiedy inwestor pojedzie z żoną na partyjkę kart do sędziego.

W środku nocy coś ją zbudziło. Lata treningu nauczyły Norę natychmiast przechodzić od snu do całkowitej przytomności, dzięki czemu intruz tracił przewagę, jaką daje zaskoczenie. Zwalczyła pragnienie otwarcia oczu, wytężając pozostałe zmysły. Głęboko wciągnęła powietrze, by wyczuć zapach przybysza. Nozdrza pochwyciły lekką, znajomą woń korzennego mydła. Stockport! Ten uparciuch włamał się do niej!

Gdyby sytuacja nie była tak groźna, dziewczyna wybuchnęłaby śmiechem. Musiał mieć niezaprzeczalny dowód, że Kocica przynajmniej ukrywała się u panny Habersham, jeśli nie była nią, skoro ważył się na coś takiego!

Na szczęście sypiała na boku z ręką pod poduszką, więc spokojnie wymacała teraz gładką rękojeść sztyletu, który trzymała tam dla swego bezpieczeństwa.

Nasłuchiwała. Jest! Blisko, tuż przy łóżku.

Napięła mięśnie, błyskawicznie odwróciła się, wzięła zamach i z całej siły uderzyła zaskoczonego Brandona poduszką w twarz.

- Stockport! - Zeskoczyła z łóżka i odgrodziła się od niego rozpostartą kapą, wymachując równocześnie sztyletem.

Cofnął się o krok ze zdumienia, ale natychmiast odzyskał równowagę.

- Witaj, Kocico - mruknął niskim, irytująco zadowolonym głosem. - A może powinienem powiedzieć: Eleanor? Nocna koszula jest niewątpliwie ekwipunkiem panny Habersham, ale cała reszta należy do Kocicy. - Przesuwał wzrokiem po jej sylwetce w taki sposób, że czuła się, jakby stała przed nim nago.

Nora mocniej zacisnęła palce na rękojeści sztyletu, rozpaczliwie starając się ignorować narastający w niej żar.

- Co pan robi w mojej sypialni?

- Przyszedłem z rewizytą. Przepraszam, że kazałem tak długo na siebie czekać.

- Proszę się nie ruszać. Nie zawaham się go użyć! - ostrzegła, widząc, że Stockport okrąża łóżko. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jaki był wysoki i silny.

- Nie przyszedłem, żeby cię skrzywdzić, droga Koteczko. Przyszedłem po dowód. - Podkręcił knot w stojącej na gotowalni lampie i oświetlił cały pokój.

- A co pan zrobi z tym dowodem? - zapytała gniewnie. Aż do tej chwili nie wierzyła, że mógłby przyłożyć rękę do jej pojmania.

Uśmiechnął się szeroko, widząc jej wahanie.

- Chcę wreszcie mieć pewność, że Kot z Manchesteru i Eleanor Habersham to jedna i ta sama osoba.

Wyjął z szuflady okulary Eleanor. Podniósł je do oczu i spojrzał przez nie.

- Tak jak przypuszczałem: te soczewki są fałszywe.

- Zadowolony? - Nora opuściła nóż i podeszła do niego, zastanawiając się, czy jej urok będzie działał, chociaż miała na sobie koszulę z mało romantycznej białej flaneli. Nie była odpowiednio ubrana do odegrania roli kusicielki.

- Jeszcze nie - odrzekł. - Przekonałem się, że miałem rację i rzeczywiście istnieje związek między wami, ale to nie przekona ogółu. Dla postronnych pewne będzie jedynie to, że Eleanor nosi fałszywe okulary i perukę. Gdzie jest kostium Kota? - Błękitne oczy omiotły pokój, szukając kryjówki. Zatrzymały się na szafie. - Popatrzmy, co ukryła panna Habersham za stertami ohydnych sukni.

Gdy ruszył w stronę szafy, Kocica uświadomiła sobie, że musi działać szybko albo będzie po niej.

Rozdział jedenasty

Zasłoniła sobą drzwi. Brandon wybuchnął śmiechem.

- Równie dobrze mogłaś ogłosić, że kryjówka znajduje się w szafie. Odsuń się.

Nie miała nic przeciwko temu, żeby znalazł kostium. I tak już wiedział. Nie chciała natomiast, by znalazł inne przedmioty, na przykład listę inwestorów i niewielką ilość łupów, których nie zdążyła jeszcze spieniężyć.

- Nie odsunę się, lordzie Stockport. Przyznaję jednak, że kostium Kota rzeczywiście jest tam schowany. Żaden dżentelmen nie wedrze się przemocą do damskiej garderoby. - Miała nadzieję, że przypomnienie zasad dobrego wychowania podziała. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami niewiniątka. To spojrzenie nigdy jeszcze jej nie zawiodło.

- Touche, madame. - Brandon położył dłoń na sercu. -Tym odwołaniem się do mojego honoru zdobyła pani nade mną przewagę.

- Wobec tego proszę mi podać swoją cenę, lordzie Stockport.

Uśmiechnął się wyniośle.

- Mów do mnie Brandon. Ponieważ będziemy odtąd w wielu sprawach wspólnikami, powinniśmy być po imieniu, Eleanor.

- Nie mów tak do mnie - warknęła. Uniósł pytająco brew.

- A jak mam się do ciebie zwracać? Nie mogę przecież mówić: Kocico.

- Nora - wycedziła przez zęby. Podeszła tak blisko, że ostrze noża oparło się o jego białą koszulę. - Byłabym wdzięczna, gdybyś zaczął mnie brać poważnie.

W oczach mężczyzny pojawił się łobuzerski błysk.

- Może i byłabyś mi wdzięczna, gdybym cię wziął, wolałbym zresztą horyzontalnie niż poważnie, możemy nad tym popracować. Podobno jestem dobry w różnych pozycjach.

Wolną ręką wymierzyła mu siarczysty policzek-

- Jeśli o tym przyszedłeś rozmawiać, to możesz od razu wyskoczyć przez okno. - I dla podkreślenia swej determinacji błyskawicznym ruchem odcięła sztyletem onyksowe zapięcie jego koszuli.

- Ukłułaś mnie, ty jędzo! - Zacisnął palce wokół ręki trzymającej sztylet.

Kopnęła go z całej siły w goleń, ale zdołała tylko mocniej rozpalić jego gniew. Poczuła nagle, że poderwał ją z podłogi i przerzucił sobie przez ramię. Dwa długie kroki i została ciśnięta na łóżko. Stockport unieruchomił ją własnym ciałem i zmusił, by spojrzała w jego intensywnie niebieskie oczy.

- Jak śmiesz! - warknęła. - Nie lubię szybkich mężczyzn.

- A ja nie lubię łatwych kobiet. - Był tak samo bez tchu jak ona.

Roześmiała się gardłowo.

- Lubisz. Podoba ci się sposób, w jaki to robię. W przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj. - Zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła jego usta do swoich warg.

Pragnęła go, czuła na sobie jego twarde, podniecone ciało i nagle negocjacje dotyczące jej przyszłości zeszły na drugi plan. Na pierwszy wysunęła się najbardziej pierwotna namiętność.

Cofnął się i oparł na kolanach. Nora rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Pragnę cię, Brandonie - szepnęła na wypadek, gdyby nie zrozumiał jej milczącego zaproszenia.

- Ja też cię pragnę, ale nie pod groźbą sztyletu. - Ruchem głowy wskazał jej prawą dłoń, w której nadal zaciskała broń. -Rzuć go.

- Dobrze. Pod warunkiem, że ty zrzucisz spodnie.

- Umowa stoi.

Sztylet upadł na podłogę, wkrótce dołączyły do niego, choć z mniejszym hałasem, spodnie lorda Stockporta. Negocjacje zostały zakończone.

- Powiedz to jeszcze raz, Noro. Powiedz, że mnie pragniesz - mruknął cicho, pokrywając drobnymi, gorącymi pocałunkami jej szyję.

Nie mogła nawet myśleć, już nie mówiąc o artykułowaniu słów, zdołała jednak wyszeptać bez tchu:

- Pragnę cię, Brandonie.

- Żadnych gierek? - Dłoń mężczyzny objęła delikatnie jej pierś przez miękką flanelę koszuli. Jego ciało było gotowe, ale w umyśle kołatał się jeszcze sceptycyzm. Nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę ich ostatnie spotkanie zakończone przywiązaniem go do łóżka.

- Dzisiaj nie będzie żadnych gierek - zapewniła pospiesznie, nie mogąc się doczekać całkowitego zespolenia. - Dzisiaj jesteśmy tylko my dwoje. Nie istnieje żadna polityka, nic nas nie dzieli.

Dla niego to również nie była gra, świadczyła o tym nagła czułość, którą dostrzegła w jego oczach. Z niecierpliwością zsunęła mu z ramion koszulę, potem zaczęła gwałtownie zdejmować własną.

- O, nie. To należy do mnie - zaprotestował ze zmysłowym uśmiechem. - Dużo masz takich koszul?

- Jeszcze dwie.

- W takim razie nie będzie ci jej żal. - Lekko szarpnął i zaczął powoli rozdzierać tkaninę, stopniowo odsłaniając ciało dziewczyny.

Był wyjątkowo biegły w tej słodkiej torturze. Nora zamknęła oczy, poddając się spalającej ją namiętności, podczas gdy on pieścił wargami jej łydki, posuwając się stopniowo w górę, ku udom. Wreszcie była całkiem naga. Leniwie przesuwał palcem dokoła aureoli jej piersi.

- Jesteś piękna - powiedział po prostu.

Zapragnęła jak najprędzej poczuć go w sobie. Wygięła się zachęcająco.

- Cierpliwości, Noro - mruknął z rozbawieniem i uciszył jej protesty pocałunkiem.

Szeroko rozłożyła nogi na jego przyjęcie i wkrótce poczuła mocne pchnięcie. Westchnął z ulgą, jakby po długiej wędrówce trafił wreszcie do domu, a ona gwałtownie wciągnęła powietrze i uniosła biodra, by przyjąć go głębiej. Czy kiedykolwiek czuła się tak bosko?

Jej ciało pulsowało wokół niego coraz prędzej i prędzej, miała wrażenie, że spłonie w tym ogniu, który w niej rozpalił.

- Niech to się stanie, Noro. Zmierzaliśmy do tej właśnie chwili od pierwszego spotkania - szepnął ochryple. - Teraz, zaraz, już. Chodź ze mną.

I pofrunęła za nim do nieba.

Eksplodowała. Nigdy dotąd nie czuła się tak pełna życia, nigdy jej zmysły nie były tak wyostrzone. Czuła ciężar ciała Brandona, który również dostąpił spełnienia, czuła zapach ich miłości. Była półprzytomna, bezbronna.

Stoczył się na bok i przyciągnął ją do siebie tak, że plecami dotykała jego piersi. Za żadne skarby świata nie ruszyłaby się z tego miejsca, zresztą nie mogłaby, nawet gdyby chciała. W poczuciu spełnienia zapadła w sen, po raz pierwszy od lat nie myśląc o tym, co będzie jutro.

Nie po to tu dzisiaj przyszedłem, myślał Brandon, przyglądając się śpiącej dziewczynie. Zazdrościł jej łatwości, z jaką zasnęła. Nawinął na palec jeden z jej długich loków i pozwolił mu opaść na nagie ramię. Przyszedł tu, by zawrzeć z nią układ. Zamierzał ostrzec ją przed zasadzką zastawioną w domu St Johna w zamian za obietnicę zaprzestania włamań. Porzucił myśl o wyjawieniu innym tożsamości Kocicy. Mogła spokojnie wyjechać.

Ale nie chciał, by stała się czyimkolwiek problemem. Pragnął, by była jego problemem. Tylko jego. Nie Witherspoona czy St Johna, ale wyłącznie jego.

Dzisiejsza noc wszystko skomplikowała. Nie zamierzał iść z nią do łóżka, ale gdy do tego doszło, przekonał się, że jego pociąg do Nory to nie tylko łatwe do zaspokojenia pożądanie.

Byłby skompromitowany, gdyby inwestorzy dowiedzieli się o ich romansiku. Do licha, to najmniejsze z jego zmartwień.

Ale był przecież panem na tym terenie, a tym samym najwyższym sędzią, któremu nie przystoją kontakty ze światem przestępczym. Dlatego to, co się stało dzisiejszej nocy, nie mogło się powtórzyć.

Nora, Nora, Nora, śpiewało mu w duszy. Nareszcie jego namiętność miała imię i twarz, nie tylko maskę Kota. Kochali się tej nocy jeszcze dwukrotnie i za każdym razem coraz mocniej jej pragnął.

Rozpalała w nim krew jak żadna inna kobieta. Jej, w przeciwieństwie do upudrowanych dam z towarzystwa, nie interesował jego tytuł ani pozycja w parlamencie. Ona widziała w nim mężczyznę. I tylko jako mężczyznę mogła go mieć. Bo tylko na tej płaszczyźnie byli sobie równi. W chwili, gdy spojrzy na niego jak na lorda i właściciela fabryki, rozdzieli ich mur nie do pokonania.

Poruszyła się przez sen i Brandon uświadomił sobie, że noc miała się już ku końcowi i jeśli nie chciał zostać przyłapany, powinien przed świtem opuścić Grange. Niechętnie wstał, ostrożnie, by nie obudzić Nory. Ubrał się w ciemności, gdyż lampa zgasła przed dwiema godzinami. W kieszeni palta wyczuł niewielki notesik. Ukląkł przy parapecie i przy mdłym świetle szarzejącego nieba napisał parę słów. Zostawił wiadomość na stoliczku obok łóżka, rzucił uśpionej ostatnie spojrzenie i wyszedł przez okno.

Odszedł. Czuła to, zanim jeszcze otworzyła oczy. Łóżko wydało jej się okropnie puste. I zimne. A czego się spodziewała? Nie mógł przecież zostać, nie mógł ryzykować, że ktoś zobaczy, jak od niej wychodzi. To byłoby niemądre.

Słowo „niemądre" miało ocalić jej zranioną dumę. Pewnie obudził się i doszedł do wniosku, że kochając się z nią, popełnił błąd. Sama też tak sądziła. To była największa głupota, jaką zrobiła od czasu swego krótkiego małżeństwa.

Nora odwróciła się na plecy i jęknęła. Przystojni mężczyźni byli jej piętą achillesową. Jej pierwszy mąż był przystojny, zarozumiały i leniwy. Ale przekonała się o tym zbyt późno. Teraz znajdowała się na najlepszej drodze do powtórnego zakochania się w przystojnym mężczyźnie. Nie powinna oddawać serca ani ciała panu tych ziem. To mogło jeszcze bardziej skomplikować ich wzajemne stosunki.

- Nie, to był tylko seks! - oświadczyła stanowczo pustym ścianom. Miała nadzieję, że dzięki temu spojrzy na nocną przygodę z właściwej perspektywy. Przecież nie mogła spodziewać się oświadczyn po wspólnej nocy. Zupełnie wyjątkowej, niezapomnianej nocy.

Nie pomogło. Pomimo wielokrotnego głośnego powtarzania tego zaklęcia nie zdołała sobie wmówić, że to był tylko seks. Zależało jej nie tylko na ciele, ale i na duszy Brando-na. A ostatniej nocy on również jej pragnął. Chyba że udawał. Ogarnęły ją wątpliwości. Ale czy można udawać takie spojrzenie? Czy można udawać, gdy pieści się kobietę z taką czcią, jakby była boginią? A może postanowił ją

usidlić, udając miłość? Przypomniała sobie jego proste słowa: „Jesteś taka piękna".

Zawahała się. Człowiek nieszczery łatwo wpada w przesadę, używa kwiecistego języka, porównując usta kobiety do pączków róż, a inne części ciała do równie pięknych rzeczy. Brandon Wycroft tego nie zrobił. Był prawdziwym mistrzem w tej dziedzinie.

Nora skarciła się w duchu. Minionej nocy sama skwapliwie wyciągnęła rękę po owoc z zakazanego drzewa. Kochali się i skomplikowali swoją sytuację. Dotychczas wszystko było jasne: ona chciała doprowadzić fabrykę do upadku, on zaś do rozkwitu.

Jej wzrok spoczął na stoliczku przy łóżku. Wiadomość. Sięgnęła po karteczkę. „*Noro, nie idź w środę do St Johna. To zasadzka. B".*

Zmięła w dłoni kartkę. Wiadomość była lakoniczna, zwięzła, po ostatniej nocy sprawiła jej przykrość. Czy mówił prawdę i rzeczywiście chciał ją chronić przed niebezpieczeństwem? A może to kłamstwo? Może miał nadzieję, że uwierzy w ostrzeżenie i zrezygnuje z akcji? Może to tylko podstęp mający na celu powstrzymanie Kota z Manchesteru. Jeśli rabunki ustaną, to inwestorzy nie uciekną i fabryka rozpocznie produkcję. A Brandon dostanie to, czego pragnął. Wygra.

Nienawidziła samej siebie. Była rozdarta między zwątpieniem i rozpaczą.

- Zaprowadziła cię, dokąd chciała, tańczysz, jak ci zagra - stwierdził Jack, wyciągnięty w fotelu przy kominku biblioteki Wycrofta z kieliszkiem brandy w ręku. Ta pozycja oraz rosnąca familiarność przyjaciela zaczynały drażnić Brandona.

- Nie żartuj. To nie jest śmieszne. Ściągnąłem cię tutaj, żebyś mi pomógł, a nie bawił się moim kosztem.

- To nie są żarty, to prawda. - Jack od niechcenia obracał w palcach nóżkę kieliszka. - Zaciągnęła się do łóżka...

- To nie ona mnie zaciągnęła do łóżka - żachnął się urażony.

Hanley uniósł brew.

- Poprawka. Ty zaciągnąłeś ją do łóżka. Przynajmniej ona chciała ci wpoić to przekonanie. W zamian za to powiedziałeś jej o wszystkim.

Stockport wpatrywał się w ogień. Był wściekły, że przyjaciel brukał wspomnienie jego nocy z Norą posądzeniem o manipulację. W dodatku był gotów w to uwierzyć, przez co zaczynał być wściekły również na samego siebie.

Jack wstał z fotela, podszedł do drzwi i odwrócił się z ręką na klamce.

- Powiedz mi, czy zajrzałeś chociaż do szafy, której tak zażarcie broniła?

Brandon odpowiedział na to pytanie milczeniem. Nie, nie zajrzał i, co gorsza, w ogóle o tym nie pomyślał. Cokolwiek ukrywała w tej szafie, udało jej się tak skutecznie odwrócić jego uwagę, że zorientował się dopiero następnego dnia.

- Tak sądziłem - skwitował Jack. - Wyjaśnij mi więc, dlaczego sądzisz, że nie zaprowadziła cię, dokąd chciała?

Jedyną odpowiedzią Stockporta było westchnienie. Do licha, przespanie się z Norą było najgorszą wspaniałą rzeczą, jaką w życiu zrobił!

Rozdział dwunasty

W środę wieczorem Nora skierowała konia na mroczną Cheetham Hill Road prowadzącą do bogatej dzielnicy, w której stał dom Magnusa St Johna.

Była zadowolona ze swego postanowienia.

Przez większą część tygodnia biła się z myślami. Jechać czy zostać? Jeżeli pojedzie i okaże się, że nie czyha na nią żadna zasadzka, to znaczy, że Brandon wykorzystał ich intymne spotkanie, by nią manipulować. Jeśli natomiast pułapka rzeczywiście będzie zastawiona, to może świadczyć o tym, że lord Stockport żywił dla niej pewne uczucia.

Jako kobieta o krok od zakochania się, miała ochotę zrezygnować z włamania, lecz jako Kocica znała swą powinność. I nie uchylała się od odpowiedzialności.

Była o krok od sukcesu: inwestorzy zaczynali się wahać, we wsi powiadano, że dwóch z nich już postanowiło się wycofać. Do uruchomienia fabryki brakowało pieniędzy. Wszystko zatem szło zgodnie z planem.

Wiedziała z doświadczenia, że właśnie wtedy najłatwiej o wpadkę. Tylko nie dzisiaj, modliła się w duchu. Może nawet pomimo wszystko zostałaby w domu, gdyby nie otrzymana w poniedziałek wiadomość.

Regularne dostawy żywności nie poprawiły stanu zdrowia Mary Malone. Chora potrzebowała lekarza i drogich medykamentów.

Kocica była jej jedyną nadzieją. Skoro Mary zdecydowała się napisać list z prośbą o pomoc, to znaczy, że jej sytuacja była naprawdę rozpaczliwa.

Nora znalazła cichy kącik za okazałym domem St Johna, obok furtki prowadzącej do niewielkiego ogródka, w którym mogła dyskretnie zostawić konia.

Była tutaj już dwukrotnie i dobrze znała zarówno dom, jak i ogród. Największą dumą gospodarza była jadalnia, w której królował importowany z Wenecji kryształowy żyrandol. Wiosną przez szeroko otwarte drzwi balkonowe tego eleganckiego pokoju goście mogli podziwiać ogrodową fontannę. Zimą to wejście było zamknięte.

Tędy będzie mogła wygodnie dostać się do domu, jeśli kuchcik wykonał swoje zadanie i wsypał środek usypiający do herbaty służby domowej. Będzie musiała uporać się jedynie z lokajami obsługującymi gości w jadalni. A tych nie obawiała się zanadto, bo większość z nich została wynajęta na ten jeden wieczór i sympatyzowała z Kotem z Manchesteru. Pozostali również nie mieli powodu przejmować się specjalnie rubasznym, hałaśliwym St Johnem. Liczyła na to, że będą uradowani faktem, iż ktoś utarł nosa ich aroganckiemu panu.

Zsiadła z konia, podeszła do muru okalającego dom i zręcznie go przesadziła, lądując niemal bezgłośnie po drugiej stronie. Najpierw musiała otworzyć od wewnątrz furtkę, aby nie przeskakiwać przez płot w powrotnej drodze.

Po opuszczeniu domu wystarczy podbiec, otworzyć ją jednym pchnięciem, a potem pozostanie już tylko kilka kroków do

czekającego w alejce konia. Jeśli Brandon nie skłamał, to powozy i konie gości będą starannie ukryte, więc upłynie sporo czasu, zanim ich właściciele ruszą za nią w pościg. Przez ten czas zdąży rozpłynąć się w mroku.

Zabezpieczywszy sobie drogę ucieczki, Nora zwróciła baczniejszą uwagę na dom. W środowe wieczory St Johnowie grywali w karty u sędziego. Spojrzała na okna jadalni. Były ciemne, wspaniały żyrandol nie świecił. Zrobiło jej się ciężko na sercu.

Wyjęła spod płaszcza kieszonkowy zegarek. Za pięć dziewiąta. St John i kompania mieli zasiąść do obiadu kwadrans po siódmej. O tej porze kończyliby już zapewne trzecie danie i mieliby za sobą niejeden kieliszek. Było powszechnie wiadomo, że w tym domu serwuje się drinki już przed obiadem, a piwniczka jest doskonale zaopatrzona.

Dziewczyna dokonała szybkich obliczeń. Informator twierdził, że St John podaje posiłki a la Russe. To oznaczało, że należy się spodziewać dziesięciu lokajów, po jednym na każdego z gości.

Jeśli zatem obiad rzeczywiście się odbywa, miała przeciwko sobie łącznie dwadzieścia osób Chyba że będzie również Brandon, wówczas liczba przeciwników wzrosłaby do dwudziestu dwóch, łącznie z obsługującym go lokajem. Ta myśl wywołała w niej dreszcz, którego natury nie miała odwagi analizować. Nie widziała go od tamtej wspólnej nocy. Ale teraz nie czas o nim rozmyślać. Zbliżyła się do okna i wstrzymała oddech. Zajrzała jeszcze raz, by się upewnić. Dostrzegła niewidoczne z ulicy płomyki świec ustawionych na stole w jadalni. Ogarnęła ją radość. A więc jednak nie kłamał. Nie myśl

o nim! - nakazała sobie stanowczo i westchnęła głęboko, by skoncentrować się na zadaniu.

Sprawdziła umocowane za pasem dwa pistolety i nóż. Trzy sztuki broni, jak troje dzieci Mary Malone. Zapomniała o własnym bezpieczeństwie i odważnie ruszyła naprzód.

Za oszklonymi drzwiami wytwornej jadalni St Johna toczyła się swobodna, uprzejma rozmowa. Nagle rozległ się krzyk kobiet. Mężczyźni zmięli w ustach przekleństwa. Miły wieczór został zakłócony przez ciemną postać, która niespodziewanie wskoczyła na sam środek stołu nakrytego białym obrusem. W migotliwym świetle świec dostrzegli lufy pistoletów.

- Mówiłem! - St John uniósł się z miejsca, jakby chciał zaprotestować przeciwko zakłóceniu przyjęcia.

- Nie powiesz już ani słowa bez pozwolenia! - padła natychmiastowa odpowiedź.

Siedzącego obok gospodarza Brandona przez cały wieczór przygniatał ciężar oczekiwania na to, co miało nastąpić. Kocica przybyła. Pułapka zatrzasnęła się. Ale to oni się w niej znaleźli, nie ona.

Przygotowany przez inwestorów plan okazał się bezsensowny. Myśleli, że wystarczy zmienić stałe przyzwyczajenia, by złapać Kota z Manchesteru. Nie spodziewali się, że rzuci im wyzwanie. Miał zostać zatrzymany przez służbę i w ogóle tu nie dotrzeć.

Co ona zrobi, gdy do jadalni wpadnie hurmą służba? -martwił się Stockport. Nie zdoła zatrzymać takiej gromady ludzi. Ale czyż mogła przeoczyć taki szczegół? Rozejrzał się dyskretnie po pokoju i

spostrzegł, że lokaje nie kwapili się bynajmniej, by ruszyć swemu panu na pomoc. Odetchnął. Pozostali patrzyli w górę. Na Nemezis, która celowała do nich z broni. Podziwiał determinację i nieustępliwość Kocicy, nie chciał jednak, by spotkała ją jakaś krzywda. Wolałby nie zostać zmuszony do tego, by stanąć w jej obronie, gdyż byłby ostatecznie skompromitowany. Na razie jednak niewątpliwie nie potrzebowała jego pomocy.

Własne sumienie szydziło z niego. Już trochę za późno na lęk przed kompromitacją. Zresztą mógł nie brać udziału w tym obiedzie. Przegrał ze swoją ciekawością; chciał się przekonać, czy Nora uwierzyła jego ostrzeżeniom, czy raczej uległa wątpliwościom, które dręczyły także jego, i doszła do wniosku, że oszukał ją dla własnej korzyści.

Ten wieczór miał wszystko wyjaśnić. Jeśli Kocica nie pojawi się, to znaczy, że mu ufa, myślał. Jeśli przyjdzie... Cóż, będzie winien Jackowi dwadzieścia funtów szterlingów, natomiast ona będzie mu winna wyjaśnienie, co właściwie - jej zdaniem - ich łączyło.

I ta ciekawość przywiodła go na przyjęcie do St Johna. Teraz, obserwując królującą na adamaszkowym obrusie Norę, mógł tylko mieć nadzieję, że ciekawość jej nie zabije.

Podeszła sprężystym krokiem do St Johna i podała mu czarną sakwę.

- Przekaż torbę dalej. Niech wszyscy wrzucą do niej kosztowności i gotówkę - warknęła i złowieszczo uniosła jeden z pistoletów.

St John był zbyt wzburzony, by oponować. Przez chwilę mocował się z rubinową spinką do krawata, zanim wrzucił ją do torby.

- Nie będziesz nami komenderować, ty bezczelny bękarcie! - wrzasnął siedzący po lewej pan Flack.

- Nie? - Odbezpieczyła pistolet.

- Do licha, człowieku! - warknął Flack do gospodarza. -Wezwij służbę!

Nora, wpatrując się płonącym wzrokiem w zbuntowanego mężczyznę, kopnęła stojący przed nim puchar. Czerwone wino splamiło śnieżnobiały obrus.

- Lepiej wino niż krew, prawda, panie Flack? Jeśli przerwie mi pan jeszcze raz, strzelę. I proszę zapomnieć o służbie. Wszyscy zostali unieszkodliwieni środkiem nasennym. -Miała nadzieję, że zdołała sterroryzować oponenta. Wolałaby nikogo nie postrzelić, choć niektórym z nich kulka w ramię dobrze by zrobiła.

Kobiety poddały się bez oporu. Zwracała po kolei lufę pistoletu na siedzących przy stole biesiadników, by zmobilizować ich do szybszego pozbywania się wartościowych przedmiotów. Wreszcie sakwa dotarła do Brandona. Spojrzała mu w oczy, apelując, by zachował tajemnicę. Nie zmuszaj mnie, bym do ciebie strzeliła, błagała w duchu.

Nie mogła oderwać wzroku od jego oczu, za co o mało nie zapłaciła najwyższej ceny. Uratował ją wyraz jego twarzy i to niemal w ostatniej chwili.

Pozbawiony diamentowej spinki do krawata pan Witherspoon postanowił wystąpić w roli bohatera. W jego dłoni błysnął niewielki

pistolet. Tylko upodobaniu mężczyzny do dramatycznych efektów zawdzięczała życie. Gdyby od razu strzelił, mogłoby się to dla niej źle skończyć. On jednak najpierw wrzasnął:

- Rzuć broń!

Roześmiała się bez śladu lęku.

- To pan rzuci broń, sir!

- Nie boję się! Nie wierzę, że strzelisz! - odparł buńczucznie.

- Gotów pan zaryzykować życie kompanów? Na przykład jego lordowskiej mości? - Skierowała lufę jednego z pistoletów na Brandona. - Milordzie, proszę wziąć torbę i zacząć powoli wycofywać się w stronę drzwi. Niech pan nie próbuje biec. Zastrzelę pana w razie ucieczki. Reszta ma przez dziesięć minut pozostać na swoich miejscach. Niech nikt nie waży się mnie ścigać. Stockport będzie moim zakładnikiem. Jeśli ktoś z was spróbuje heroicznych czynów, źle się to dla niego skończy.

Z ulgą stwierdziła, że Brandon ruszył ku drzwiom. Wycofywała się za nim, kontrolując uważnie zarówno jego kroki, jak i zachowanie pozostałych. Oby nie okazał się teraz zdrajcą. Dla odwrócenia uwagi Nora strzeliła w łańcuch, na którym wisiał kryształowy żyrandol. Arcydzieło weneckich mistrzów runęło na stół, miażdżąc chińską porcelanę.

- Co teraz? - zapytał, kiedy wydostali się z domu na ulicę.

- Niedaleko stąd ukryłam konia. Nie sądzę, by ci idioci rzeczywiście odczekali dziesięć minut, zanim ruszą za mną w pościg. - Wsunęła pistolety za pas. - Teraz biegiem. - I puściła się pędem w

głąb ulicy. Nawet nie przemknęło jej przez myśl, że Brandon mógłby nie pospieszyć za nią.

Pewność Kocicy, że będzie ślepo słuchał jej poleceń i potulnie odgrywał rolę zakładnika, ubodła Stockporta. Przez cały wieczór kłębiły się w nim sprzeczne emocje, które teraz, gdy biegł za nią, sięgnęły zenitu; najpierw oczekiwanie, czy Nora pojawi się, czy też nie, a więc czy mu zaufała, potem mieszanina lęku i dumy, gdy obserwował przedstawienie, jakie urządziła na śnieżnym obrusie stołu St Johna. Rozgniewało go, że zaryzykowała własne życie, by go sprawdzić.

Do licha, on umierał z niepokoju o jej bezpieczeństwo, a tymczasem ona wykorzystała go jako zakładnika. Jack nie tylko wygra swoje dwadzieścia funtów szterlingów, ale będzie się skręcał ze śmiechu. Najwyraźniej wspólnie spędzona noc nie znaczyła dla niej tyle, ile dla niego. Ale dość tego. Koniec gry i to raz na zawsze.

Dotarli do ciemnego zakątka, gdzie czekał koń. Brandon nie zwlekał dłużej. Złapał ją za ramię i zatrzymał w biegu. Odwrócił ku sobie i pomimo protestów mocno przytrzymał ją za ramiona.

- Słuchaj, łobuzico. Mogłem cię dzisiaj wydać, ale nie zrobiłem tego. Masz u mnie dług wdzięczności i będziesz musiała go spłacić - warknął z groźbą w głosie.

- Wystarczy pocałunek czy liczysz na więcej? Może kolejna wspólna noc będzie wystarczającą rekompensatą? - Była zuchwała i wyzywająca, a jej głos wręcz ociekał jadem. - Wszelki potencjalny dług został już spłacony. Mogłam strzelić do ciebie dla większego

efektu i miałabym pewność, że nikt nie będzie mnie ścigać, bo wszyscy zajęliby się opatrywaniem rany jego lordowskiej mości.

Zachowanie Nory w połączeniu z tą oburzającą sugestią jeszcze bardziej rozpaliły gniew Stockporta.

- Idiotka! Nie strzeliłabyś do mnie. Przez cały czas liczyłaś na to, że będę się zachowywał jak twój wspólnik, a nie zakładnik.

- Skąd ta pewność?

- Ponieważ nie byłabyś w stanie wziąć za zakładnika mężczyzny, który jest sporo wyższy i kilka funtów cięższy, chyba że najpierw byś go związała. Zaraz ci udowodnię, że bardzo szybko zostałabyś pokonana.

Błyskawicznym ruchem przyciągnął ją do swej twardej piersi i unieruchomił mocnym uściskiem ramion. Szarpała się z furią, ale wycisnął na jej ustach brutalny pocałunek. Włożył w niego całą frustrację i obawę, na jakie go naraziła, wystawiając się na niebezpieczeństwo w domu St Johna. Poczuł smak krwi, gdy ugryzła go w wargę.

Pocałunek przypominał pojedynek. Ona gryzła. On miażdżył jej usta. Ich języki splotły się w walce. Po chwili jednak pojawił się w nim żar całkiem innego rodzaju. Brandon odsunął się, by złapać oddech.

- Jak śmiesz! - Nora przypomniała sobie, że powinna być oburzona takim zachowaniem.

- Dzisiejszej nocy oczekuję od ciebie czegoś więcej niż pocałunku. Chcę poznać prawdę i poznam ją, jak tylko dotrzemy w bezpieczne miejsce. - Chciał powiedzieć więcej, ale jego uwagę

zwróciły połyskujące w oddali światełka. Ruchem głowy wskazał jej nadciągające niebezpieczeństwo.

- Puść mnie wreszcie. Możesz tutaj zostać. Kiedy cię znajdą całego i zdrowego, stracą zapał do nocnego pościgu - powiedziała stanowczo, znowu przejmując kierownictwo.

Potrząsnął głową.

- Nie. Tym razem to ja decyduję. Mam już dosyć twoich planów na ten wieczór.

Ukląkł na jedno kolano i zaczął wcierać garście błota w swoje wizytowe ubranie. Wymazał sobie również policzek.

- Powiem im, że zdołałem ci się wyrwać, chociaż mnie zraniłaś, i poproszę, by odprowadzili mnie do St Johna i zabandażowali ranę. Jedź prosto do mojej posiadłości i czekaj tam na mnie. Nie skończyliśmy jeszcze dzisiejszej rozmowy.

- A jeśli nie zastosuję się do twoich poleceń? Nie zmusisz mnie, bym postawiła choćby stopę w twoim domu i skorzystała z twojej wątpliwej opieki. Skąd mam wiedzieć, czy to nie pułapka? - zapytała chłodno, opanowana jak zawsze, choć Brandon widział w jej oczach niepokój spowodowany zbliżającym się pościgiem.

- Nie masz wyboru. Jeśli się nie zgodzisz, to sam wezwę pomoc. Wątpię, czy Eleanor Habersham będzie zachwycona, gdy jej służący zostaną aresztowani w trakcie przeszukania domu, i jak zdoła wytłumaczyć swą dziwną nieobecność w środku nocy.

- Nie ośmielisz się! - wysyczała w bezsilnej furii.

- Jeśli spełnisz moje polecenia, to w razie potrzeby zapewnię ci ochronę.

- Jednego nie wziąłeś pod uwagę - zauważyła. - Nie jesteś ranny.

- Jeszcze nie. Daj mi swój sztylet.

Nora niechętnie rozchyliła poły płaszcza i wyjęła sztylet zza pasa.

Wyjął go z jej ręki i szybko przeciągnął ostrzem po dłoni.

Oniemiała na widok ciemnej krwi zalewającej dłoń Brandona. Zaciął się naprawdę głęboko, by rana wyglądała realistycznie.

- Przesadziłeś! - Odruchowo chciała zatamować krew rąbkiem płaszcza.

Zatrzymał ją zdrową ręką.

- Spotkamy się u mnie w domu za godzinę, wtedy będziesz mnie mogła leczyć do woli. - I z łobuzerskim uśmiechem, świadczącym o tym, że w gruncie rzeczy podobała mu się ta przygoda, ruszył w stronę świateł. Ręka bolała jak diabli. Kocica miała pewnie rację, zaciął się zbyt głęboko. Nie mógłby jednak zaprzeczyć, że doskonale się dzisiaj bawił!

Dopiero teraz Nora uświadomiła sobie, jak ogromne podjęła ryzyko. Siedziała ukryta w prywatnym apartamencie Stockporta, otulona szlafrokiem, jaki znalazła w jego szafie, i grzała się przy ogniu kominka, który troskliwy lokaj rozpalił dla swego pana, kiedy nagle dotarło do niej w pełni, co zrobiła. Tego wieczoru nie raz, ale dwukrotnie całkowicie zaufała Brandonowi.

Pierwszy raz, gdy Witherspoon wyciągnął pistolet, a ona przyjęła założenie, że lord Stockport będzie posłusznie odgrywał rolę zakładnika. A drugi raz, kiedy uwierzyła, że po powrocie do domu otoczy ją opieką. Uwierzyła w to tak całkowicie, że rozgościła się w

jego apartamencie, zdjęła wilgotne ubranie i wygrzewała się przed kominkiem w oczekiwaniu na zapowiedzianą rozmowę.

Jak to się stało, że zaczęła traktować go jak swego sojusznika? Jaką miała gwarancję, że nie sprowadzi tu wszystkich gości St Johna? Powiedział jej, gdzie ma na niego czekać. Może sam chciał ją ująć? To miało sens! Aresztowanie Kocicy w obecności ludzi, którym najbardziej na tym zależało, stanowiłoby dla Stockporta niezaprzeczalny atut. Taki czyn wzmocniłby ogromnie jego wiarygodność w oczach inwestorów.

Jakby na potwierdzenie jej wątpliwości z holu na dole dobiegły głosy wielu osób. Brandon wrócił w licznym towarzystwie. Znalazła się w pułapce!

Usłyszała podniesione głosy, najwyraźniej nowo przybyli spierali się o coś. Wycroft próbował ich przekrzyczeć, jakby przeciwko czemuś protestował. Tak, upierał się, że nie potrzebuje asysty i panowie mogą już wracać do domów. Towarzyszący mu ludzie zaś powtarzali w kółko, że nie mogą zostawić go samego, gdy Kot z Manchesteru grasuje na wolności i może czaić się gdzieś w pobliżu. Jeden z mężczyzn, najprawdopodobniej Witherspoon, zaproponował przeszukanie domu. Brandon znowu się sprzeciwił. Nora uśmiechnęła się do siebie. Wyglądało na to, że jednak o niczym im nie powiedział. Nie zdradził nawet, że Kot jest kobietą.

Świadomość, że zatrzymał dla siebie pewne informacje, nie uwalniała go jednak od odpowiedzialności za zdradę, jaką było przyprowadzenie tych wszystkich ludzi do domu. Obiecał zapewnić

jej tej nocy ochronę i zapewni ją, choćby miała go do tego zmusić, posuwając się do kompromitacji.

Zerknęła na swój szlafrok i z trudem stłumiła chichot. Myślał, że pokaże im Kocicę w czarnych spodniach i koszuli? Proszę bardzo, może zezwolić przybyłym przeszukać dom. Nie znajdą w nim Kota z Manchesteru. Nie znajdą nikogo, kto kryje się tchórzliwie po kątach.

Ze zmierzwionymi włosami, szeroko otwartymi oczami i miną zaspanego niewiniątka Nora stanęła u szczytu schodów, by stawić czoło Witherspoonowi, Stockportowi i każdemu, kto chciałby jej stanąć na drodze.

RS

Rozdział trzynasty

- Kochanie, co ci się stało? - Przejęty głosik sprawił, że Wycroft i pozostałych pięciu mężczyzn przerwało rozmowę w pół słowa i podniosło głowę, by ujrzeć u szczytu schodów kobiecą postać odzianą w męski szlafrok.

- Masz kompletnie zniszczone ubranie. A twoja ręka...

O Boże, jesteś ranny! - Ciemnowłosy anioł wydał okrzyk przerażenia i zaczął zbiegać po schodach, nie pozostawiając wątpliwości, że pod szlafroczkiem jest całkowicie nagi.

Brandon obserwował to przedstawienie z osłupieniem oraz pewną dozą rozbawienia, połączonego ze skrajnym przerażeniem. Bezskutecznie łamał sobie głowę, w jaki sposób pozbyć się mężczyzn, którzy uparli się przeszukać jego dom. Tymczasem Nora poradziła sobie z tym bez trudu. Wystarczyło, że potargała włosy i szeroko otworzyła oczy.

- Milordzie... - Witherspoon odwrócił się stropiony, jakby oczekiwał wyjaśnienia obecności kobiety w domu Stockporta. Okazało się, że był nie tylko wyjątkowo bezwzględny, ale i obrzydliwie pruderyjny.

Dziewczyna znalazła się już przy gospodarzu domu i poło-żyła mu dłoń na rękawie.

- Wprawiłam panów w zakłopotanie, proszę o wybaczenie. Myślałam, że Brandon zdążył już panów o wszystkim poinformować. - Wyraźnie bawiła się jego kosztem. - Zanim został tak

niespodziewanie wezwany z Londynu, mieliśmy ogłosić zaręczyny. Jestem jego narzeczoną, nazywam się Nora Hammersmith.

Stockport czuł, że jego twarz zastyga w uśmiechniętą maskę. Uważała, że przesadnie się zranił, gdy tymczasem to ona posunęła się za daleko! Podała im swoje nazwisko! A może kolejne przybrane?

Ze zdumieniem stwierdził, że nie miał nic przeciwko jej oświadczeniu. Martwiły go tylko konsekwencje tej maskarady. Czy zdawała sobie sprawę, że wybranka szlachetnie urodzonego mężczyzny nie mogła przebywać w jego domu bez przyzwoitki? Wystawiła jego honor na szwank, bo jej kuszący dezabil sugerował, że pospieszyli się z nocą poślubną. I to zapewne nieraz.

Nora uśmiechnęła się i zarumieniła, mając świadomość, że uchybiła zasadom przyzwoitości. Odruchowo przytrzymała poły szlafroczka przy szyi.

- Bardzo panów przepraszam, zapomniałam o dobrych manierach. W głębi serca jestem prostą dziewczyną z prowincji i na widok narzeczonego w takim stanie zachowałam się jak kompletna idiotka. Proszę o wybaczenie.

Brandon obserwował reakcję grupy. Nie miał powodu do obaw. Przekonała ich całkowicie. Zaczęli składać mu gratulacje, a paru nawet klepnęło go po plecach z uznaniem, że znalazł sobie taką śliczną i troskliwą narzeczoną. Zarzucali mu jedynie to, że utrzymywał jej istnienie w tajemnicy.

Gdy Nora najspokojniej w świecie ruszyła po schodach na górę, panowie uznali to za sygnał do pożegnania. Gospodarz odprowadził ich do drzwi, szczęśliwy, że wreszcie się ich pozbywa.

Kilku z nich zapewniło, że ich żony przyjadą następnego dnia złożyć jego narzeczonej wizytę powitalną. Poprosił więc o pewną zwłokę, by jego wybranka zdążyła nieco odpocząć po trudach podróży.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Stockport oparł skołowaną głowę o solidne dębowe deski. Jutro będzie się martwił o przyszłość. Na górze czekała Kocica, która powinna mu się wytłumaczyć z dzisiejszego zachowania.

Otworzył drzwi do swych prywatnych pokoi, gotów zażądać od niej wyjaśnień, ale nie zdążył nawet otworzyć ust.

- Opieka! I ty to nazywasz opieką?! - krzyknęła, waląc go ze złością poduszką. - Ta twoja „opieka" to w najlepszym razie samoobrona!

Przybrał chłodny wyraz twarzy, starając się ukryć swą gorącą reakcję na jej widok w niekompletnym stroju.

- Na swoją obronę mogę powiedzieć tyle, że miałem nadzieję skierować ich aktywność na długie i wyczerpujące poszukiwania w terenie. Nie przewidziałem, że uprą się, by odprowadzić mnie aż do domu i go przeszukać. Jeśli złości cię przebieg wypadków dzisiejszego wieczoru, to możesz mieć pretensję wyłącznie do siebie. Pozwól sobie przypomnieć, że to ty im powiedziałaś, iż jesteś moją narzeczoną. Jak nas z tego wypłaczesz? - Przeciągnął ręką po włosach gestem, który zdradzał frustrację. - Twoje dzisiejsze wyczyny przekroczyły wszelkie granice. Co ci strzeliło do głowy, żeby przyjść na przyjęcie do St Johna? Mogłaś zostać pojmana. Witherspoon jest

bardziej niebezpieczny, niż sądzisz. Wolę nawet nie myśleć, co by zrobił z tym pistoletem, gdyby mnie tam nie było.

Nora przyjęła dramatyczną pozę, przykładając wierzch dłoni do czoła.

- Mój ty bohaterze! Czy naprawdę myślisz, że wpakowałabym się tam, gdyby wiązało się to z jakimkolwiek niebezpieczeństwem?

- Możesz się śmiać, ale tylko dzięki mnie nie gnijesz teraz w celi miejscowego aresztu, czekając na proces - stwierdził Brandon szorstkim tonem.

Szybkim krokiem podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Schował ręce do kieszeni, by nie zauważyła zaciśniętych pięści. W kontaktach z tą szaloną dziewczyną musiał zachować zimną krew. Wreszcie zadał pytanie, które dręczyło go przez cały wieczór.

- Dlaczego to zrobiłaś? Przecież wiedziałaś, że to pułapka.

- Wiedziałam? - rzuciła Nora z fotela przy kominku, który zdążyła już uznać za swoje terytorium.

- Powiedziałem ci.

- Dlaczego miałabym ci wierzyć? - parsknęła. - Mogłeś kłamać, żebym dała spokój inwestorom.

Odwrócił się od okna i spojrzał na nią.

- Powinnaś znać mnie na tyle, by wiedzieć, że cię nie oszukam.

- Naprawdę? Łatwo być odważnym w słowach i łatwo dać biednym jedzenie, kiedy ma się wypchany portfel - odparła.

- Dzisiejszy wieczór to najlepszy dowód. Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak bardzo ryzykowałem u St Johna? Gdyby zorientowali się, że cię znam lub że dałem ci znak, iż Witherspoon ma pistolet, oboje

bylibyśmy zniszczeni. Pozwoliłem, byś wykorzystała mnie jako zakładnika, aby umożliwić ci ucieczkę. Czego to, twoim zdaniem, dowodzi? - Stockport z największym wysiłkiem panował nad gniewem.

- Tego, o czym kobiety wiedzą od wieków. Że mężczyznami rządzi to, co mają w spodniach. Są gotowi zrobić wszystko dla kobiety, która ich podnieca.

Przełknął z trudem.

- A może to ty uwiodłaś mnie, żeby wkraść się w moje zaufanie?

- W takim razie jesteśmy parą oszustów - stwierdziła z satysfakcją.

Odetchnął głęboko i zastanowił się. Przejrzał jej grę. Starała się wznieść między nimi mur i doszła do wniosku, że obustronne wątpliwości będą najlepszą podwaliną pod tę budowlę. Postanowił odparować cios.

- Nie mogę się zgodzić, że jesteśmy dwojgiem ludzi prowadzących podwójną grę, Noro. - Brandon zniżył głos. Stosował tę sztuczkę z powodzeniem w parlamencie, gdy chciał skoncentrować na sobie uwagę sali. Działała zdecydowanie skuteczniej niż podnoszenie głosu. - Ale nie będę się dzisiaj z tobą spierał. Wcale tak bardzo się od siebie nie różnimy pomimo odmiennej pozycji społecznej. - Podszedł do kominka, pochylił się nad Kocicą i przez jedwabny szlafrok gładził jej przedramiona. - Czy nie rozumiesz, że chcemy tego samego? - mruknął głosem sugerującym, że miał na myśli nie tylko kwestie polityczne, ale i te bardziej intymnej natury.

Teraz, kiedy minęło niebezpieczeństwo, pragnął przypomnieć jej, że w gruncie rzeczy byli podobni, że było im razem bardzo dobrze. Ale ona nie przestawała walczyć.

- Jestem twoim wrogiem. Ty budujesz fabrykę, a ja staram się temu przeszkodzić. Stoimy na przeciwstawnych biegunach - zapewniała bez tchu, daremnie próbując go powstrzymać.

Wyczuł, że gdy jej dotykał, zaczynała szybciej oddychać.

Dostrzegł, że jej twarde spojrzenie złagodniało. W oczach dziewczyny pojawiła się niepewność, wyraźnie zastanawiała się, czy może sobie pozwolić na złożenie broni, jaką stanowił jej ostry język.

Uśmiechnął się leciutko, z przyjemnością obserwując jej wewnętrzne zmagania. Walczyła do końca, ale on nie tracił cierpliwości. Czuł, że jest bliska kapitulacji.

- Biedna Noro, walczysz od tak dawna, że nie umiesz już robić nic innego, prawda? Moja fabryka wprowadzi tutaj zmiany. Jeśli ja jej nie zbuduję, zrobi to kto inny. Ktoś, kto nie będzie miał skrupułów. Ktoś taki jak Cecil Witherspoon.

Niemal widział, jak szybko obracały się trybiki w jej głowie. Liczyła, kalkulowała, kładła na szalę z jednej strony pragmatyczną rzeczywistość, a z drugiej pragnienia swego gorącego serca. Wyraźnie chciała mu zaufać! Zależało jej na nim. Trudno jej jednak było pokonać sceptycyzm.

- Dlaczego to robisz, Brandonie? - Wyczuł w jej głosie wyraźną nieufność.

Uznał, że nie jest to odpowiednia chwila na kpiny czy gierki słowne, lecz przyszedł czas na poważne deklaracje. Mógł powiedzieć

jej dowolne kłamstwo. Wolał jednak prawdę, choć w ten sposób odsłaniał się i wystawiał na ewentualną manipulację.

- Rozpalasz mnie, Noro. Nie tylko śliczną twarzą i pięknym ciałem, ale także i duszą. Nigdy w życiu nie spotkałem kobiety tak wytrwałej i tak przejmującej się losem bliźnich. Twoje pasje poruszają mnie tak, jak od dawna nic nie zdołało mnie poruszyć.

Pocałował ją tak czule i delikatnie, jak nigdy dotąd.

Odepchnęła go z typowym dla niej uporem. Niełatwo było poskromić Kocicę. Ale przecież wszystko, o co warto walczyć, wymaga zachodu i wytrwałości.

- To nie jest takie proste, Brandonie. Parę pocałunków i kwiecistych słów nie rozwiąże dzielących nas problemów.

- Nie możesz ignorować naszej wzajemnej namiętności -mruknął czule i odgarnął jej włosy, by móc pieścić wargami delikatny płatek jej ucha.

- Już sama nie wiem, w co wierzyć - westchnęła.

- Uwierz we mnie, Noro.

A gdyby zdołała uwierzyć w słowa Stockporta? Gdyby rzeczywiście znajdowali się po tej samej stronie barykady? Może naprawdę ją podziwiał i za jego podziwem kryło się coś więcej? Nigdy się tego nie dowie, jeśli nie pozwoli rozwinąć się temu, co zaczynało między nimi kiełkować. Ta myśl sprawiła, że Nora przestała hamować uczucia i pozwoliła porwać się namiętności.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i podała usta. Przylgnęła do niego, aby jej ciało powiedziało mu to, czego nie ośmielała się jeszcze

ubrać w słowa. Podniosła głowę, by mógł bez przeszkód pokrywać pocałunkami jej szyję i rozchylać coraz śmielej poły szlafroka.

Brandon jęknął i pochylił głowę, by pieścić językiem jej piersi. Przyjemność była obopólna, bo kiedy zsuwał jej szlafrok z ramion, jego palce wyraźnie drżały. Pozwoliła, by jedwabna materia opadła na podłogę u jej stóp. Stała przed nim naga i bez skrępowania pozwoliła się podziwiać. Nie czuła wstydu. Czuła się kochana. I wszelkie bariery runęły.

- Rozbierz mnie - poprosił ochrypłym, pełnym zachwytu głosem.

Wiedziała, o co prosił. Jeśli spełni jego prośbę, nie będzie już odwrotu. Spędzą razem tę noc jako w pełni świadomi kochankowie, nie będzie już miejsca na tłumaczenie się pośpiechem czy zaskoczeniem. To będzie akt zawarcia niepisanej umowy o daleko idących konsekwencjach.

Wytrzymała jego wzrok, jakby chciała potwierdzić, że zrozumiała i zaakceptowała wagę tego, co mieli zamiar zrobić.

- Rozbierz mnie, Noro - powtórzył. Pragnął jej i gotów był zapłacić za spełnienie tego pragnienia każdą cenę.

- Cierpliwości, Brandonie. - Z uśmiechem dotknęła guzików jego zabłoconej kamizelki. Wraz z podjęciem decyzji ogarnęło ją poczucie wolności. Tej nocy nie będzie już obaw przed manipulacją czy podejrzewania ukrytych motywów. Tylko rozkosz.

- Brandonie... Podoba mi się, jak wymawiasz moje imię. Od dawna nikt tak się do mnie nie zwracał. - Wciągnął powietrze, bo Nora, która zdążyła już zdjąć z niego zabłoconą kamizelkę, rozchyliła poły białej koszuli i przeciągnęła paznokciami po jego piersi.

Ogarnęło ją uniesienie. Zrozumiał! On również, choć z zupełnie innych powodów, pragnął po prostu być sobą, nie lordem, parem Anglii, lecz po prostu sobą.

Niecierpliwie zrzucił resztę ubrania.

Nagi i nieskrępowany swym podnieceniem wyciągnął do niej rękę.

- Chodź ze mną, Noro.

Tej nocy robił wszystko, by podkreślić ich partnerstwo. To miało być wzajemne poznawanie się, wspólna nauka siebie nawzajem i wreszcie wspólna rozkosz.

RS

Rozdział czternasty

W niespełna godzinę po wschodzie słońca drzwi gabinetu Stockporta otworzyły się gwałtownie, uderzając z hukiem o mahoniową boazerię.

Zaskoczony, podniósł wzrok znad leżących przed nim papierów i spojrzał na intruza. Jack wpadł do pokoju jak burza.

- Co ty wyprawiasz? Wystarczyło, że spuściłem cię z oka na dwanaście godzin, a już cała wieś huczy od plotek o twoich zaręczynach. Mam nadzieję, że nie popełniłeś żadnego szaleństwa.

Brandon odchylił się w fotelu, założył dłonie za głową i przyglądał się przejętemu przyjacielowi.

- Jeszcze nigdy nie widziałem cię na nogach o tak wczesnej porze, Jack - powiedział spokojnie. - Usiądź i weź się w garść. Wyglądasz, jakbyś nie spał całą noc. - Wskazał mu ręką fotel i zadzwonił po kawę.

- Rzeczywiście, nie spałem całą noc. Przez ciebie. Wysłuchiwałem kolejnych, coraz bardziej skandalicznych opowieści o twoim zachowaniu. Najpierw były dramatyczne relacje o Kocicy, która wdarła się na przyjęcie w Cheetham i wywlokła cię ze sobą jako zakładnika. Potem Witherspoon i jego kumple zaczęli rozpowiadać o twojej cudownej narzeczonej, która odchodziła od zmysłów z niepokoju na widok twoich ran. - Jack uśmiechnął się krzywo. - Cóż to za rany, przyjacielu?

- Sam się skaleczyłem. - Stockport podniósł do góry porządnie zabandażowaną rękę.

- Wystarczyło dodać dwa do dwóch, by wydedukować, że twoja domniemana narzeczona to nie kto inny jak Kocica. Do licha, Brandonie, słyszałem już o różnych niebywałych łóżkowych historiach, ale ta przechodzi ludzkie pojęcie.

Hanley zapewne jeszcze długo beształby przyjaciela, gdyby w tym momencie nie przyniesiono im kawy i grzanek.

Stockport zdążył otrząsnąć się z połajanek i zebrać myśli. Miał przed sobą zapewne pierwszego z dzisiejszych gości, którzy będą oczekiwać od niego wyjaśnień. Przed godziną zostawił Norę pogrążoną we śnie, by zająć się przygotowywaniem linii obrony. Zaczął od listów do najlepszych krawcowych z Manchesteru.

Jack zaczekał, aż służący opuści pokój, i zadał najbardziej fundamentalne pytanie:

- Teraz, kiedy ją zdobyłeś, co zamierzasz z nią zrobić?

- Będę kontynuował grę i przedstawię ją oficjalnie jako moją przyszłą żonę. To pozwoli nam zyskać na czasie, dopóki wszystko nie przycichnie - odrzekł, przedstawiając plan, który kiełkował mu w głowie od kilku godzin. - To jedyny sposób, bym zdobył to, czego pragnę.

Przyjaciel gwizdnął z niedowierzaniem.

- A czegóż to pragniesz, Brandonie? Jakoś trudno mi uwierzyć, że masz na myśli uruchomienie fabryki.

- Pragnę zapewnić Kocicy bezpieczeństwo, przyjacielu. Jeśli wróci do Grange, to prędzej czy później porwie się znowu na jakieś

ryzykowne przedsięwzięcie w rodzaju wczorajszego napadu na dom St Johna.

-I obawiasz się, że mogłoby cię wówczas nie być w pobliżu, by ją ratować? - zapytał Jack już łagodniej. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie zdołasz jej przy sobie zatrzymać, prawda? Koty są dzikie, przychodzą i odchodzą, kiedy chcą.

- Nie wszyscy są tak zblazowani jak ty, Jack. Brak cynizmu to nie wada.

- Moim obowiązkiem, jako twojego przyjaciela, jest próba powstrzymania cię przed najbardziej szalonymi posunięciami, jakie mógłbyś podjąć w celu poskromienia Kocicy. Po to mnie tu wezwałeś - przypomniał Hanley i uśmiechnął się lekko. - Widzę jednak, że jesteś głuchy na moje ostrzeżenia. Masz w twarzy ten blask „poranka następnego dnia". - Wstał i odstawił filiżankę. -Zostawię cię, byś mógł pobawić się w dom ze swą domniemaną narzeczoną i kontynuować rozpoczętą grę.

Stockport odetchnął głęboko.

- Jest jeszcze coś, Jack. Wcale nie jestem pewien, czy chciałbym, aby ta gra dobiegła końca.

- Prędzej czy później będzie musiała się skończyć, chyba że... - Hanley nie dokończył zdania. Brandon zobaczył na jego twarzy wyraz rosnącego niedowierzania. - Sugerujesz, że chciałbyś, aby wasz związek nabrał charakteru bardziej... stałego? Chcesz zrobić z Kocicy księżną?!

- Tak, swoją żonę - odpowiedział spokojnie lord Stockport. - Już czas, bym się ustatkował i założył rodzinę.

Jack opadł na fotel i potarł twarz rękami.

- Oczywiście, czas stanąć na ślubnym kobiercu i dać się związać świętym węzłem i tak dalej. Ale dlaczego nie poszukasz sobie, przyjacielu, jakiejś milutkiej debiutantki?

Brandon spojrzał nie niego z niedowierzaniem.

- Milutkiej debiutantki? Co ty gadasz? Tak samo palę się do żeniaczki z dziewicą w białym welonie, jak ty. Powinienem się ożenić, by zapewnić rodowi dziedzica, ale to nie oznacza, że dam się związać z pierwszą debiutantką, której matka zagnie na mnie parol. Gdyby tak było, ożeniłbym się już kilka lat temu. Mam jednak pewne wymagania, które muszą zostać spełnione. Czekałem ze ślubem, bo nie spotkałem dotąd odpowiedniej kobiety.

- Dotąd? Chyba się w niej nie zakochałeś?

- Po raz pierwszy w życiu pomyślałem o stałym związku - odparł Stockport po namyśle. - A jeśli chodzi o miłość... cóż, nie bardzo wiem, jak to jest być zakochanym, bo nigdy dotychczas nie kochałem. - Bawił się piórem, by nie patrzeć przyjacielowi w oczy. Wreszcie westchnął ciężko. - Pewnie nie jestem bardziej zakochany w Norze niż ona we mnie, ale przy niej czuję, że żyję. Jak przy żadnej innej. Przy niej życie to wspaniała zabawa.

- Kryminalna zabawa, nie zapominaj o tym, przyjacielu - stwierdził Hanley sarkastycznie. - Przyznam, że ogarnia mnie niezdrowa ciekawość, co też takiego ma w sobie ta złodziejka, czego brakuje przyzwoitym dziewczętom z dobrych rodzin? -Jack wyciągnął przed siebie długie nogi i machnął pustą filiżanką po kawie w stronę

stoliczka, na którym stały karafki. -Napiłbym się czegoś mocniejszego. Sama kawa nie wystarczy, żeby zgłębić ten problem.

Brandon wstał, nalał do filiżanki brandy, po czym uzupełnił ją odrobiną kawy ze srebrnego imbryka.

Hanley pociągnął łyk i wydał głębokie westchnienie.

- Teraz lepiej. Nie ma to jak dobry francuski trunek, by pokonać szok na wieść, że twój najlepszy przyjaciel kompletnie oszalał. Porozmawiajmy zatem o twoich wymaganiach.

- Pragnę żony, która podzielałaby moje poglądy polityczne i zainteresowanie pomyślnością kraju. - Stockport wyliczał na palcach. - Pragnę żony, która troszczy się o ludzi. Takiej, która ma zdrowy apetyt na seks i żyłkę awanturniczą, a także takiej, która chce mnie dla mnie samego i patrząc na mnie, nie widzi majątku, tytułu, rodowodu i zaszczytów, a inteligentnego mężczyznę, który ma własne poglądy i ideały. Krótko mówiąc, pragnę kobiety, która będzie dla mnie prawdziwą partnerką we wszystkich dziedzinach życia.

- Jednym słowem pragniesz ideału. Problem w tym, że dopatrzyłeś się go w notorycznej złodziejce, która, działając pod pseudonimem Kot z Manchesteru, okrada twoich inwestorów i torpeduje te właśnie projekty, które uważasz za realizację swoich idei - podsumował Jack i ze smutkiem pokiwał głową. - Wszyscy pragniemy ideału, Brandonie. A w końcu żenimy się z jakąś miłą debiutantką w nadziei, że uda nam się zmienić tę istotkę bez osobowości w kogoś, z kim zdołamy wytrzymać do końca życia.

- Ja nie zgodzę się na takie małżeństwo - stwierdził Stockport z przekonaniem.

Jack potarł rękami uda.

- To prawda. Znam cię od szkolnych lat. Zawsze potrafiłeś zdobyć to, czego chciałeś. To mi się w tobie podobało, Brandonie. Mam nadzieję, że jest tego warta. Dla twojego własnego dobra. Że nie kradnie właśnie na górze tego okropnego ametystowego pierścionka twojej matki. - Hanley wstał. - Nie będę już nadużywał twojej gościnności. Gdybyś mnie potrzebował, będę w pobliżu. Przyślij słówko do gospody. Tymczasem życzę ci wszystkiego najlepszego.

Nora przez sen macała łóżko, szukając ciepła ciała kochanka. Trafiła na chłodne prześcieradła. Usiadła rozczarowana i rozejrzała się po pokoju w nadziei, że go zobaczy. Zauważyła, że ubrania zniknęły. A więc wstał i ubrał się.

Jej ciało wyrywało się do Stockporta, ale rozsądek odmawiał mu zaufania. Zresztą on również nie miał powodu jej ufać. Nie powinna dopuścić, by przywiązał się do niej mocniej. To mogło stanowić zagrożenie dla nich obojga. Ona mogła zapłacić za to życiem. On cierpieniem. Nie padło między nimi jak dotąd ani jedno słowo o miłości. Ale seks potrafi niekiedy dokazywać cudów. Żadne z nich nie mogło sobie na to pozwolić.

Rozwiązanie było bardzo proste. Musiała wyjechać. Ubrała się w najwyższym pośpiechu. Liczyła, że sama jej nieobecność będzie wystarczająco czytelnym przesłaniem. Nie powinien jej szukać i próbować wyjaśniać spraw, które nie wymagały wyjaśnienia.

Do licha, gdzie drugi but? Uklękła i zajrzała pod szafkę. Jest! Zdołała go wyciągnąć, ale straciła na to zbyt dużo czasu.

- Muszę przyznać, że twój tyłeczek w spodniach wygląda niezwykle apetycznie. Myślę jednak, że znajdę dla swojej narzeczonej bardziej stosowne odzienie - rozległ się męski głos.

Przeklęty but! Gdyby był pod ręką, zdążyłaby już wyskoczyć przez okno. A tak musiała spojrzeć Brandonowi w twarz. Nie potrzebowała teraz mężczyzny owładniętego poczuciem odpowiedzialności za kobietę, z którą spędził noc.

- Nie podnoś się. - Usłyszała w jego głosie jakiś niebezpieczny ton. - To znakomita pozycja do klapsa, który należy ci się za sam pomysł ucieczki.

Był wściekły! Nora zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech i wstała z klęczek. Nie nasuwała jej się jakoś żadna cięta riposta, więc zachowała milczenie i czekała z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Po wyjściu Jacka wszedł na górę, spodziewając się zastać ją leniwie wyciągniętą w łóżku. A tymczasem, gdyby przyszedł chwilę później, już by jej nie zastał.

To był prawdziwy cios w jego męskie ego. Kiedy on zastanawiał się nad możliwością trwałego związku, ona szykowała się do ucieczki przez okno. Scenariusz jak z farsy teatrzyku na Drury Lane: bogaty i przystojny lord, który mógłby mieć każdą kobietę, zostaje wystrychnięty na dudka przez tę jedyną, na której mu zależy.

- Co ty wyprawiasz?

- Oboje wiemy, że w rzeczywistości nie jestem twoją narzeczoną - odparła Nora po chwili milczenia.

- Tylko my o tym wiemy. - Brandon skrzyżował ręce na piersi i oparł się o zagłówek łóżka. - Nie możesz ogłosić naszych zaręczyn w obecności wielu świadków, a potem niefrasobliwie zostawić mnie samego z tym bałaganem. Jak mam wytłumaczyć twoje zniknięcie? Jak mam żyć z piętnem skandalu po zerwaniu zaręczyn? To nie fair wobec mnie. - Starał się mówić chłodnym, opanowanym głosem, choć świadomość, że złapał ją tuż przed ucieczką, doprowadzała go do furii.

- Na pewno zdołasz coś wymyślić. Możesz powiedzieć, że mydliłam ci oczy, że jestem dziewicą. - W jej głosie nie było śladu ciepła. Mówiła tak, jakby byli sobie całkiem obcy. Nienawidził tego tonu.

- Nie umiesz kłamać. - Przygwoździł ją wzrokiem. - Nie straciłaś cnoty. Masz więcej honoru niż którakolwiek ze znanych mi osób. A jeśli chodzi o mydlenie mi oczu, to nie podoba mi się sugestia, że tak łatwo mnie oszukać. Nie świadczyłoby to o mnie najlepiej i byłoby mało wiarygodne. Obawiam się, że Witherspoon i reszta natychmiast wyczuliby fałsz. Przecież jako Kogut Północy znam się na kobietach.

Nora podniosła oczy.

- Wobec tego musimy podtrzymywać nasze drobne oszustwo, żeby nie zadrasnąć twojego cennego ego.

Brandon uśmiechnął się. Tak już lepiej! Wolał mieć do czynienia z jej ciętym języczkiem niż z kamiennym milczeniem.

- Lżej jest oszukiwać innych niż samego siebie.

- Co to ma znaczyć? - warknęła.

- Chciałaś wyskoczyć przez okno z mojego domu i udawać, że wczorajsza noc, podobnie jak poprzednia, w ogóle nie istniała.

- Wcale nie chciałam wyskoczyć, tylko zejść po drzewie. I wolę udawać, że nic się nie stało, niż robić to, czego ty chcesz. - Pochyliła się, żeby wciągnąć but.

Stanął tuż przy niej.

- A czego ja chcę?

Rzuciła but, żeby spojrzeć mu prosto w twarz.

- Chcesz wierzyć, że wczorajsza noc nie była bez znaczenia i że masz obowiązek mnie chronić.

- To prawda. Musimy pomyśleć o ochronie. Witherspoon zawziął się, by schwytać Kota. Nie wolno dopuścić, by odkrył jego tożsamość.

- To moja wałka - przerwała mu. - Nie zamierzam cię w to wciągać. Gra staje się zbyt niebezpieczna.

Zignorował jej słowa i ciągnął:

- Przedyskutujmy to spokojnie. Jeżeli Witherspoon odkryje, że moja narzeczona i Kot z Manchesteru to jedna i ta sama osoba, znajdę się w bardzo niezręcznej sytuacji. Zapewnienie ci bezpieczeństwa leży w moim najlepiej pojętym interesie. Jedynym sposobem jest przerwanie napadów. Kiedy kradzieże ustaną, ludzie przestaną interesować się Kotem. - Urwał, wiedząc, że to się Norze nie spodoba.

- Prosisz, bym zrezygnowała ze swoich celów. Skąd mam wiedzieć, czy nie wykorzystujesz sytuacji, by zrealizować własne? Chcesz, bym odeszła, żeby nie wycofali się inwestorzy - stwierdziła ostrym tonem.

Brandon skinął głową.

- Jeśli potrzebujesz gwarancji mojej wiarygodności, to przecież już ją dostałaś. Miałem doskonałą sposobność, by wsadzić cię do więzienia, ale jej nie wykorzystałem. Wręcz przeciwnie, odegrałem rolę w twoim fortelu. Tak nie postępuje człowiek, który chwyta się każdej szansy postawienia na swoim.

Nora skrzyżowała ramiona na piersi.

- Muszę natychmiast wyjechać, jeśli mam znowu pewnego dnia stanąć do walki.

- Skończyłaś już walkę - powiedział ostrym tonem. - Uznaj się za emerytkę.

Objął ją, ale wyczuł jej opór, nagłe napięcie mięśni.

- Noro, mówiąc o ochronie, miałem na myśli stałą ochronę. Nawet jeśli nie złapie cię Witherspoon, zrobi to w przyszłości ktoś inny. Nie możesz w nieskończoność być Kocicą. Musisz zerwać z tą rolą raz na zawsze, dla własnego bezpieczeństwa.

Zbierała siły do ucieczki, Brandon zdawał sobie z tego sprawę.

- Noro, skończ z Kotem. Skończ z Eleanor Habersham i wszelkimi innymi fałszywymi postaciami. Zostań ze mną i pozwól mi zapewnić ci bezpieczeństwo.

- Co powiedziałeś? - Wyraz jej twarzy świadczył o kompletnym zaskoczeniu.

- Powiedziałem: zostań ze mną. - Wyczuł, że chciała protestować. Położył jej palec na ustach. - Ciii. Za chwilę będziesz mogła powiedzieć, co tylko zechcesz. W Boże Narodzenie stwierdziłaś, że nigdy nie przestaniesz być Kocicą, bo zawsze

będziesz żyła pod groźbą aresztowania za dawne włamania. Przy mnie nie musiałabyś się tego obawiać. Nikt nie odważyłby się ciebie oskarżyć.

Oddychała gwałtownie, wyraźnie chcąc coś wtrącić. Brandon potrząsnął głową.

- Jeszcze nie skończyłem. Nie zapomniałem o motywach twojego postępowania. Nie musisz rezygnować ze swej działalności. Będziesz miała do dyspozycji cały mój majątek i wszystkie moje koneksje polityczne. Wiesz już, że podzielam twoje zainteresowania i troskę o biednych. Wiesz, że popieram reformy. Zostań ze mną, a nie będziesz miała powodów do obaw.

Zabrakło mu tchu. Zresztą wyczerpał już wszelkie argumenty. Szukał w jej twarzy oznak zgody. Na próżno.

- To wszystko prawda, Brandonie. To rzeczywiście wspaniałomyślna propozycja. Ale nie mogę zostać z mężczyzną po to, by mógł wypełnić swe honorowe zobowiązania. Proszę, pozwól mi odejść i o nic nie pytaj.

- Nie myśl nawet, że pozwolę ci odejść, Noro. Przecież możesz nosić moje dziecko.

Nie zamierzał uciekać się do tego argumentu, ale nie miał wyjścia. Nie spodziewał się, że będzie chciała odejść. Sądził, że zostanie z nim i w stosownym czasie zmierzą się razem z sytuacją. Ale ona zawsze postępowała wbrew jego oczekiwaniom.

- Powiedz mi, co cię stąd wygania, a załatwię to.

Powoli pokręciła głową.

-Nie możesz tego załatwić, Brandonie. Niezależnie od ewentualnego dziecka.

Z niepokojem dostrzegł twardy wyraz jej oczu. Umacniała się w podjętej już decyzji. I nagle pożałował, że żądał wyjaśnień. Wolałby chyba nie wiedzieć, dlaczego musiała go opuścić. Jednak ona postanowiła powiedzieć mu prawdę.

- Brandonie, jestem mężatką. Nie mogę żyć z tobą, będąc legalną żoną innego.

Cofnął się, szukając jakiegoś oparcia - poręczy fotela czy zagłówka łóżka, obojętnie. Zakręciło mu się w głowie.

- Mężatką? - powtórzył chrapliwie. To było gorsze niż znalezienie się w przeciwnych obozach politycznych czy nawet poza prawem. To oznaczało utratę Nory. Lordowi wolno wiele, ale nie popełnić bigamię.

- Tak. A przynajmniej tak sądzę. Nie widziałam męża od siedmiu lat.

Istnieje więc iskierka nadziei, pomyślał. Ten drań może już nie żyć. Boże, jak nisko upadłem, skoro cieszę się na myśl o cudzej śmierci.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

- Jeszcze nie skończyliśmy - rzucił surowo i gestem nakazał Norze schować się w garderobie, aby służba nie zobaczyła jej w kostiumie Kocicy.

- Wejść! - zawołał, kiedy zamknęła za sobą drzwi.

- Milordzie, przybyły już krawcowe z Manchesteru i czekają na rozkazy.

- Znakomicie, powiedz im, że zaraz zejdę. - Brandon sięgnął po kamizelkę i surdut. Starał się opanować emocje. Gdy wyjrzała z garderoby i rzuciła mu pytające spojrzenie, był już znowu sobą. I miał zarysy planu.

- Przybyły szwaczki z Manchesteru, by uzupełnić garderobę mojej narzeczonej, utraconą podczas niefortunnej przygody w podróży - wyjaśnił.

Uniosła brew, słysząc wymyśloną przez niego historyjkę, ale nie dał jej szansy na odpowiedź.

- Moja droga, nie ty jedna potrafisz improwizować. Mamy jeszcze to i owo do wyjaśnienia, ale na razie musisz wybrać fasony. Dopóki nie zdecydujemy, w jaki sposób rozwiązać tę zagmatwaną sytuację, najlepiej będzie kontynuować nasze oszustwo - stwierdził oschle i zaoferował jej ramię, wiedząc, że mu nie odmówi. Sama wymyśliła tę rolę, więc teraz była skazana na posłuszne odgrywanie jego narzeczonej.

- Kurtyna w górę! - Przyjęła ramię z typową dla niej buńczuczną miną.

- W górę! - Dopóki miał ją przy sobie, mógł ją chronić przez Witherspoonem. Trzeba dowiedzieć się czegoś więcej o tym jej mężu i puścić Jacka jego tropem. A on w tym czasie postara się przekonać Norę o korzyściach płynących z pozycji jego żony. Z każdą chwilą ta myśl bardziej mu się podobała. Nie pozwoli jej odejść bez walki.

Rozdział piętnasty

- Jak on tego dokonał? - zastanawiała się Nora, stojąc na podwyższeniu wśród próbek materiałów. Wokół uwijały się dwie krawcowe i ich pomocnice.

Zgodziła się wziąć udział w tym oszustwie, choć zdawała sobie sprawę, że w ten sposób Brandon stawiał na swoim. Mógł zatrzymać ją przy sobie i próbować przekonać, że przyjęcie jego propozycji to najrozsądniejsze wyjście. Zdawała sobie sprawę, że im dłużej pozostanie pod jego wpływem, prawdopodobieństwo, że zacznie mu ufać, wzrośnie. A nie mogła skapitulować, bo gdzieś w Anglii naprawdę żył jej mąż.

Kręciła się niecierpliwie na podwyższeniu, nie potrafiła uporać się ze sprzecznymi emocjami, jakie wzbudziła w niej propozycja Stockporta. Nie mówił o małżeństwie, jedynie o oddaniu się pod jego opiekę. Oboje znali jednak reguły rządzące światem.

Nora była wyjętą spod prawa przestępczynią, lecz miała pewne zasady. Nie mogła ułożyć sobie życia przy boku jednego mężczyzny, będąc żoną innego. Dwie noce spędzone z Brandonem były sprzeczne z jej kodeksem moralnym, lecz któż mógłby ją za to winić po siedmiu latach celibatu? Ale zgoda na rolę jego utrzymania? To zupełnie co innego. Musiałaby zaakceptować związek, w którym on sprawowałby pełną kontrolę i decydował o tym, w którym momencie go zakończyć. Ten dzień mógł nadejść za miesiące lub nawet lata, ale prędzej czy

później nadszedłby. Choć bardzo starał się ją nakłonić do przyjęcia jego propozycji, nie zająknął się nawet o miłości.

Doszła zatem do wniosku, że powinna twardo się sprzeciwiać. Czekała ich niełatwa rozmowa. Aby ją odwlec, zgodziła się stać tu jak manekin, okręcać się w prawo i w lewo, i pozwolić obmierzać. Dopóki wokoło uwijała się gromada szwaczek, Brandon musiał się wstrzymać z zadawaniem jej pytań.

Odważyła się zerknąć w jego stronę. Siedział bezczynnie na kanapie w małym saloniku, jakby nie miał nic lepszego do roboty niż pomaganie jej w wyborze sukien. Jedynie jego bystre, przenikliwe spojrzenie nie pasowało do swobodnej pozy. Zbyt często toczyła z nim spory, by przeoczyć ten wyraz oczu. Jego pozorna bezczynność była jedynie fasadą.

Wysoki zegar stojący w holu wybił godzinę. Trzecia. Dobry Boże, zajęło im to cały dzień! Żołądek przypomniał Norze, że minęła pora lunchu.

Krawcowa przyniosła jej dwie próbki jedwabiu.

- Woli pani cynobrowy czy wiśniowy? Miała ochotę krzyczeć. Co za różnica?

- Wolę zielony. - Oświadczenie to zostało przyjęte przez biedną kobietę z prawdziwą zgrozą. Bez wątpienia określenie „zielony" wydało jej się straszliwie prostackie. Dama nie mogła ubierać się na „zielono". Dama nosiła suknie „szmaragdowe", „jadeitowe", „oliwkowe" lub „w barwie limonki", ale nie zielone!

Brandon wstał i klasnął w dłonie.

- Milady woli zieleń lasu. Dziękuję wszystkim paniom, obawiam się jednak, że moja narzeczona jest już zmęczona przymierzaniem. Spodziewam się dostarczenia pierwszej sukni jutro po południu.

Zmęczona przymierzaniem! Wspinanie się na wysokie drzewa czy wyważanie okien - tak, to bywało męczące! Ale stanie bez ruchu ze szpilkami sterczącymi w przeróżnych miejscach, jak woskowa lalka do odprawiania czarów, było zaledwie nużące. Nora wybuchłaby śmiechem, gdyby nie była tak wdzięczna Brandonowi za przerwanie tego seansu.

Kobiety błyskawicznie spakowały swoje przybory i zniknęły, dygając przed Stockportem i mamrocząc „dziękuję, milordzie".

Zamknął drzwi za ostatnią z nich, zadzwonił po herbatę i znów opadł na kanapę.

- Zmęczona? - zapytał.

- Znudzona. Nie rozumiem podniecenia kobiet wybierających się do krawcowej. - Westchnęła i padła na krzesło naprzeciw niego. Wybrała je dlatego, że rozdzielał ich niski stoliczek. - Nie miałam pojęcia, że każdy kolor ma tyle odcieni. Ja mówię „niebieski", a one: „lazurowy, błękitny, chabrowy, szafirowy" - jęknęła, krzywiąc się komicznie.

Brandon uśmiechnął się i nawiązał lekką rozmowę, a ją ogarnęło zdenerwowanie. Wyczuła, że czekał z podjęciem tematu, który go naprawdę interesował, aż służba przyniesie tacę z herbatą i wyjdzie. W pełnej napięcia ciszy Nora nalewała herbatę do dwóch filiżanek. Wolała, żeby to on zaczął. Usiadła, założyła nogę na nogę i czekała.

Wypił łyk herbaty.

Wziął z tacy kanapkę.

Ugryzł.

Przeżuł.

Połknął.

Doprowadzał ją do szaleństwa!

Jeśli ugryzie następny kęs, chyba uderzy go w tę pięknie zarysowaną szczękę!

- Nic nie jesz. Kanapkę? - Podsunął jej jeden z półmisków. Wytrzymała jego spojrzenie. Sięgnęła po kanapkę.

- Opowiedz mi o tym swoim rzekomym mężu - rzucił niedbałym tonem.

- On wcale nie jest „rzekomy". Zapewniam cię, że jest jak najbardziej realny - oświadczyła i wzięła do ust maleńki kęs. Przeżuła go powoli. Brandon będzie musiał poczekać na następny strzęp informacji. Czemu nie, mogła zagrać w jego grę! Ugryzła znowu.

- Pyszne - zapewniła.

- Dobrze, poddaję się. Przepraszam za ten numer z kanapką. Będę musiał wywlekać z ciebie każdy szczegół czy zgodzisz się opowiedzieć mi wszystko sama?

Nora postanowiła okazać mu łaskę i odłożyła kanapkę.

- Rzeczywiście, nie czas na żarty - powiedziała całkowicie poważnie. - Kiedy miałam siedemnaście lat, zakochałam się w Reggiem Portmanie. Był przystojny i adorował mnie. A ja jeszcze wierzyłam w bajki.

To prawda. Reggie nie był tak doświadczony w łóżku jak Brandon, ale nadrabiał entuzjazmem. Dla niedoświadczonego serca

młodej dziewczyny jego awanse znaczyły bardzo wiele, dla niego zaś nic. Nie rozumiała jeszcze, że dla mężczyzny seks wcale nie musi się wiązać z miłością i w większości wypadków jest doznaniem czysto fizycznym.

- Dałam się wmanewrować w małżeństwo. I nie podobało mi się ani trochę. Niełatwo będzie mnie namówić, bym znów zaangażowała się w jakiś związek - powiedziała głosem bez wyrazu.

- W jaki sposób z młodziutkiej romantyczki wyrosła twarda, cyniczna kobieta? Odnoszę wrażenie, że pominęłaś niektóre istotne fragmenty życiorysu.

Wzięła łyk herbaty, by dodać sobie sił.

- Uciekłam. Nie miałam nikogo poza Hattie i Alfredem.

- To twoi rodzice? - Brandon był wyraźnie zaskoczony.

- Nie. Nie są w żaden sposób ze mną spokrewnieni. - Nora ze smutkiem potrząsnęła głową i wpatrzyła się niewidzącym wzrokiem w trzymaną w ręku kanapkę.

Podszedł do niej, zapominając o herbacie.

- Co się stało z twoimi rodzicami? Co cię doprowadziło do dzisiejszej sytuacji? - zapytał łagodnie. - Czas, byś mi wszystko opowiedziała. Przy mnie możesz być sobą.

Zadziwiająco łatwo przyszło jej otworzyć worek ze wspomnieniami, choć tak długo starała się tam w ogóle nie zaglądać. Przekonała się ze zdumieniem, że kiedy raz zaczęła mówić, nie mogła już zatrzymać fali wspomnień.

- Mój ojciec był odnoszącym sukcesy biznesmenem tutaj, w Manchesterze. Jako jedynaczka żyłam w luksusie, miałam prywatnego

nauczyciela, odebrałam najlepsze wykształcenie. A potem w fabryce nastąpił wybuch. Ojciec zginął, próbując ratować robotników przygniecionych belkami. Mama i ja byłyśmy dobrze zabezpieczone finansowo, ale widziałam, co się stało z rodzinami zabitych. Nie otrzymały żadnej pomocy, żadnego zadośćuczynienia. Próbowałyśmy im pomóc, ale to nic nie dało. Zanim minął rok, znalazły się w nędzy i zamieszkały w slumsach. Robotnicy w niczym nie zawinili. Śledztwo wykazało, że przyczyną wybuchu było przegrzanie się wadliwie wykonanej części maszyny. Czyjeś niedbalstwo pozbawiło rodziny ofiar wszystkiego. Moja mama po śmierci taty straciła ochotę do życia. Kiedy skończyłam czternaście lat, zgasła cicho pewnej nocy. Lekarze nie potrafili określić przyczyny zgonu. Nic jej nie dolegało, poza złamanym sercem. Ja zostałam odesłana do krewnych, do surowej ciotki i wuja w Bradford.

Nora wzdrygnęła się na to wspomnienie. Wujostwo byli żarliwymi purytanami. Ich wielki dom był surowy, pozbawiony ozdób. Dziewczynka musiała nosić proste, zapinane wysoko pod szyję sukienki i miała bardzo mało swobody. Wiele dni spędzała zamknięta w swoim pokoju za karę. Karano ją najczęściej za to, że wymykała się z domu, żeby zanieść jedzenie najuboższym. Wuj uważał, że biedacy musieli sobie zasłużyć na taki los, a ciotka obawiała się, że wychowanka może przywlec z ich nędznych domów brud i choroby. W pewnym sensie Nora występowała więc w roli Kota na długo przedtem, zanim rzeczywiście wcieliła się w tę postać.

- Skąd się w tym wszystkim wziął Reggie Portman? - zapytał cicho Brandon, gdy zapadło milczenie.

- Wuj zamierzał wydać mnie za mąż za pewnego purytanina o jeszcze surowszych obyczajach niż jego własne. Nie wyobrażałam sobie gorszego losu, nie chciałam nawet myśleć o takim życiu. Czułam się jak w więzieniu. W Bradford był targ, gdzie pewnego dnia spotkałam wędrownego kupca, przystojnego, czarującego Reggiego. On dał mi szansę ucieczki. Skorzystałam z niej na cztery dni przed ogłoszeniem zaręczyn.

Początkowo podróżowanie z Portmanem było ekscytujące. Potem jednak, jeżdżąc z miasta do miasta, zaczęłam dostrzegać, że wszędzie działo się tak samo. Biedni stawali się coraz biedniejsi, a bogaci coraz bogatsi i nie przejmowali się tym, kogo miażdżą, byle tylko zarobić następną gwineę. Przysięgłam sobie, że muszę coś zrobić dla tych biedaków, szczególnie dla dzieci i wdów, bo one mają najmniejsze szanse, by samemu poprawić swój los.

Nora skrzywiła się i milczała przez chwilę.

- Reggie nie podzielał moich poglądów, ale myślałam, że mi pomoże, skoro mnie kocha. Po ślubie przekonałam się jednak, że zależało mu tylko na pieniądzach. Sprzedawał drogie materiały, biżuterię, kosztowne bibeloty. Obrzucał mnie prezentami. Sądziłam, że będzie gotów ulżyć doli najuboższych, ale byłam w błędzie. Jego luksusowe towary pochodziły z nielegalnych źródeł, a te, które sprzedawał taniej, miały wady lub były uszkodzone i nie nadawały się do użytku.

- Wyszłaś za niego, bo widziałaś w nim filantropa, a on cię zawiódł - podsumował Brandon.

- Był przystojny i obdarzony chłopięcym wdziękiem. Potrafił mnie rozbawić, kiedy się postarał, ale to trwało krótko, tylko w okresie konkurów. Po prostu potrzebował kogoś, kto by z nim jeździł po kraju, gotował mu i dbał o czystość.

Znowu zrobiła chwilę przerwy, jakby z trudem zmuszała się, by podjąć opowieść.

- Najgorsze było to, że nawet kiedy odkryłam, iż miał konszachty z przemytnikami, nie mogłam go zostawić. Nasze prawo nie pozwala kobiecie opuścić męża.

- Wtedy uciekłaś i zostałaś Kocicą? - podsunął Brandon. Potrząsnęła głową.

- Początkowo nie. Zaczęłam skromnie. Najpierw podrzucałam kosze z zaopatrzeniem, które kupowałam z pieniędzy podkradanych Reggiemu. Był bardzo marnym księgowym, miał bałagan w papierach, więc nietrudno było podwędzić mu kupon materiału czy trochę jedzenia.

- Nigdy się nie połapał?

- Przez pewien czas nic nie zauważył. Ale w końcu zorientował się i wpadł we wściekłość. - Nora wzdrygnęła się na to wspomnienie.

- Uderzył cię?

- Zbił mnie na kwaśne jabłko. Od tego czasu noszę w rękawie nóż. Pewnej nocy wrócił do naszego obozowiska kompletnie pijany. Bardziej niż zwykle. Kiedy rzucił się na mnie, wyciągnęłam nóż i zraniłam go w ramię. Zemdlał na skutek rany i nadmiaru alkoholu. Wiedziałem, że kiedy się ocknie, mnie już tam nie będzie. Zabrałam cały towar, jaki mu jeszcze został, i wtedy dopisało mi szczęście: na

targu spotkałam Hattie i Alfreda. Byli drobnymi złodziejaszkami, ale zaczynali się starzeć i coraz trudniej było im zarabiać na życie. Dojrzeli już, by wreszcie osiąść w jakimś domu, choćby stabilizacja miała potrwać najwyżej rok. I właśnie wtedy przeistoczyłam się w Kocicę. Zrozumiałam, że potrzebuję stałego dopływu gotówki, więc rozpoczęłam znaną ci już działalność.

- Niesamowite - wyszeptał Brandon, gdy skończyła swą opowieść.

Uśmiechnęła się na widok jego podziwu, choć w jej słodkim uśmiechu było sporo goryczy.

- Właśnie dlatego nie mogę cię poślubić. Muszę być Kocicą, aby pomagać innym, ale także dlatego, że muszę się ukrywać. Reggie wędruje gdzieś po kraju. Dopóki stale zmieniam miejsce zamieszkania i tożsamość, nie zdoła mnie odnaleźć. Nie możesz ryzykować związku ze mną.

- Naprawdę sądzisz, że wiedząc o tym wszystkim, mógłbym pozwolić ci odejść? - zapytał cicho.

- Tak! - Nora tupnęła nogą z frustracji. - Co ci przyjdzie z przechowywania uciekinierki?

Szczególnie, że jej nie kochasz, dodała w duchu. Zauważyła, że ją podziwiał. I że rozpalała w nim krew. Ale to tylko pożądanie, pociąg fizyczny. Urok nowości. Takie atrakcje szybko się nudzą i wkrótce Stockport zacząłby się zastanawiać, dlaczego właściwie podjął tak wielkie ryzyko, by tak niewiele zyskać. A w ostatecznym rozrachunku to ona zapłaciłaby najwyższą cenę, bo bardzo go polubiła.

- To ja powinienem o tym decydować - stwierdził Brandon. - Ponoszę za ciebie odpowiedzialność. Nie dopuszczę, byś poświęciła się w imię wydumanego przeświadczenia, że musisz mnie ratować.

Znowu padło to słowo: odpowiedzialność. Zaczynała go już nienawidzić, choć przecież i dla niej miało ono ogromne znaczenie. Aż za dobrze znała jego siłę.

- Powinieneś się raczej cieszyć, że mam dość przyzwoitości, by cię nie wykorzystywać. Moja odmowa to dar. - Nora z ulgą poczuła, że ogarnia ją gniew. To dobrze. Za bardzo zależało jej na Brandonie, by miała związać się z nim, choć nie odwzajemniał jej uczuć. Kiedyś będzie jej za to z całą pewnością wdzięczny. - Przekonasz się, że mam rację. Nie mogłabym żyć ze świadomością, że ożeniłeś się ze mną z poczucia obowiązku. Nie możesz pragnąć związku z kobietą, której nawet nie znasz.

- Mylisz się. Znam cię, Noro. Wiem, że jesteś Kotem z Manchesteru. Wiem, że masz kryminalną przeszłość, choć popełniałaś przestępstwa z najlepszych intencji. Wiem o tym wszystkim i nie przestaję cię podziwiać. Kiedy Witherspoon wycelował w ciebie broń, zrozumiałem, że nie mogę cię stracić.

Wpatrywała się w niego bez słowa, cisza panująca w pokoju stawała się coraz cięższa. Jak łatwo byłoby przyjąć jego słowa za upragnione wyznanie: kocham cię.

Inna kobieta pewnie uległaby magii tych słów. Ale ona przez ostatni miesiąc zdążyła już poznać Brandona Wycrofta. Nie lubił przegrywać i nie lubił się dzielić. I właśnie dlatego nie mógł

zaakceptować, by ktoś taki jak Witherspoon oddał strzał. To była jego rozgrywka z Kotem, i tylko jego. Rozumiała to, ale i tak czuła ból.

Roześmiał się cicho.

- Zresztą nie możesz jeszcze wyjechać, Noro. Moje zaręczyny muszą potrwać jakiś czas, by nie wzbudzić niepotrzebnych podejrzeń.

- Jak długo? - zapytała zmęczonym głosem.

- Dwa tygodnie powinny wystarczyć.

- A po dwóch tygodniach pozwolisz mi odejść?

- Tak, chyba że zmienisz zdanie.

- Nie zmienię. Nie mogę.

- Zobaczymy. - Brandon uśmiechnął się.

W co ja się wpakowałam? - zastanawiała się Nora w dwa dni później, stojąc pośrodku oddanego jej do dyspozycji apartamentu, dosłownie zasypanego pudłami kapeluszy, butów, rękawiczek i bielizny z najcieńszego płótna. Garderoba zaczęła napływać już następnego dnia po wizycie krawcowych w Stockport Hall, co dało sygnał do odwiedzin tym mieszkańcom okolicy, którzy czuli się zobowiązani do złożenia wyrazów uszanowania lordowi i jego przyszłej żonie.

Informacja o katastrofie, w której narzeczona lorda straciła bagaż i pokojówkę, sprawiła, że wstrzymano się z odwiedzinami, ale tylko na jeden dzień. Brandon wszedł w swoją rolę do tego stopnia, że napisał list do siostry, by przyjechała w charakterze przyzwoitki.

Teraz, kiedy Nora miała już w co się ubrać, goście zaczęli składać wizyty. Dziesięć minut temu została poinformowana, że przybył pan Witherspoon z żoną i siostrą. Pewnie mogłaby poprosić

Stockporta, aby przeprosił gości i skłamał, że narzeczona jest niedysponowana, ale to by było tchórzostwo. On sam znakomicie odgrywał rolę troskliwego narzeczonego, więc i od niej miał prawo czegoś wymagać.

Kandydatka na żonę lorda musiała być czarującą panią domu. Odgrywanie nieśmiałej wiejskiej panienki lub cieplarnianego kwiatka rzuciłoby cień na Brandona.

Zadzwoniła na pokojówkę i ze sterty piętrzących się na łóżku kreacji wybrała piękną suknię poranną ze szmaragdowego jedwabiu.

- Pospiesz się, Ellie, pan Witherspoon i towarzyszące mu damy nie powinni zbyt długo czekać! - zawołała. Starała się jak najlepiej udawać wielką panią, bo tego oczekiwała od niej służba. W ich oczach była przecież przyszłą hrabiną.

Na swoje szczęście tak często grabiła bogaczy, że dowiedziała się tego i owego o ich stylu życia i zachowaniu. Zresztą nie była zdana na własne siły, bo zawsze miała przy sobie Brandona, który dyskretnie dbał, by nie popełniała większych gaf i nie musiała sama stawiać czoła nieznanym sytuacjom.

Ellie włożyła jej suknię i szybko ułożyła włosy w niezbyt wyszukaną, ale twarzową fryzurę. Była prawdziwą mistrzynią grzebienia, więc sprawnie zwinęła gęste, czarne loki swojej pani w gładki kok na karku, nadając jej twarzy wyraz dojrzałości, ale i niewinności zarazem.

Kiedy Nora wkładała kolczyki, rozległo się pukanie do drzwi.

- Jesteś gotowa? - zapytał Brandon z uśmiechem. - Kiedy dowiedziałem się, że to Witherspoon przybył z wizytą, pomyślałem, że przyjmiemy go razem - zaproponował uprzejmie.

Z wdzięcznością przyjęła jego propozycję. Zdawała sobie sprawę, że chciał jej posłużyć za przewodnika i podpowiedzieć, jak się zachować w takich sytuacjach w przyszłości, bo nikt nie oczekiwał, by on sam przyjmował wizyty towarzyskie. To była domena kobiet.

Cieszyła się, że ma Brandona u boku z jeszcze jednego powodu. Spojrzenie, jakim obrzucił ją Witherspoon tamtej nocy, gdy wraz z innymi przywiózł Stockporta do domu po przyjęciu u St Johna, przyprawiło ją o drżenie. Odnosiła wrażenie, jakby chciał odkryć jej tajemnicę. Pamiętała również, że tamtej nocy zamierzał ją zastrzelić, choć nie zdawał sobie sprawy, że to do niej celował. Niemniej czuła się niezręcznie, nawiązując stosunki towarzyskie z człowiekiem, który chciał ją zabić.

- Pewnie nie sposób tego uniknąć - westchnęła Nora, schodząc po schodach.

- Nie mów, że jesteś zdenerwowana. - Brandon puścił do niej oko. - Wpadłem na pomysł, jak uniknąć dzisiaj następnych wizyt.

- Urządzimy sobie piknik - oświadczył uroczyście.

- Piknik! - zawołała z entuzjazmem, ale zaraz otrzeźwiała. - Przecież jest środek zimy!

- Czyżbym zapomniał dodać, że piknik odbędzie się w letnim domku? Pawilon ochroni nas przed chłodem i deszczem. Ale najpierw musimy pozbyć się gości.

- Witam, panie Witherspoon, miło pana widzieć! - zawołał, podając rękę wysokiemu blondynowi. Glos Brandona wyrażał szczerą radość z odwiedzin. Nora podziwiała jego talent prowadzenia uprzejmej konwersacji.

Wysunęła się do przodu i lord Stockport dokonał oficjalnej prezentacji. Panie rozsiadły się wygodnie na kanapie przy kominku, natomiast panowie zajęli ustawione naprzeciwko fotele z wysokim oparciem. Zapewne powinna zadzwonić, by podano herbatę, nie chciała jednak zachęcać gości do przedłużania wizyty.

Witherspoon wyczuł, że nie powinien zanadto się zasiedzieć. Spojrzał Brandonowi prosto w twarz.

- Jestem wdzięczny, że zgodził się pan nas przyjąć, milordzie, pomimo że przybyliśmy bez uprzedzenia.

Nora obserwowała jego twarz. Nie było w niej uniżoności wobec lorda, jaką mogłyby sugerować jego słowa. A oczy... Miała nadzieję, że narzeczony również dostrzegł w nich podłość i wyrachowanie.

- Zawsze chętnie przyjmuję, jeśli tylko jestem w domu. -Pan domu pochylił lekko głowę.

- Wydaje mi się, że to, co mam do powiedzenia, nie powinno czekać, biorąc pod uwagę rozwój spraw w Stockport-on-the-Medlock. Chodzi o Kota z Manchesteru.

- Dowiedział się pan czegoś? - Brandon odegrał chłodne zainteresowanie.

- Chodzi o to, co zaobserwowałem podczas incydentu u St Johna. Myślę, że nasze poszukiwania zmierzają w niewłaściwym kierunku. Moim zdaniem Kot z Manchesteru jest kobietą.

- Dlaczego pan tak sądzi?- zapytał Stockport całkowicie obojętnym głosem, jak człowiek znudzony wysłuchiwaniem absurdalnych bajeczek. - To raczej mało prawdopodobna hipoteza.

Słowa lorda wyraźnie zbiły z tropu Witherspoona. Po chwili jednak wziął się w garść.

- Kiedy intruz odwrócił się, by podać panu torbę, peleryna rozchyliła się, odsłaniając pewne... hmm... kobiece fragmenty sylwetki - wykrztusił w końcu z zażenowaniem.

- Ma pan na myśli piersi? - Nora nie zdołała powstrzymać się od kpiny. Trójka gości pobladła ze zgrozy, że dama ośmieliła się użyć tego określenia w mieszanym towarzystwie.

Brandon dyskretnie zakaszlał.

- Rozumiem. Przydałoby się więcej dowodów, nie mam jednak nic przeciwko temu, by rozszerzyć nasze poszukiwania również na przedstawicielki płci pięknej. Dziękuję za pańską uwagę, panie Witherspoon. - Wstał i wyciągnął rękę. - Przepraszam, że skracam pańską wizytę, ale mamy wkrótce umówione spotkanie.

- Dziękuję, że poświęcił pan nam czas - odparł tamten, również wstając. - Pragniemy, oczywiście, złożyć gratulacje w związku ze zbliżającymi się zaślubinami.

Stockport odprowadził gości do drzwi, a gdy wrócił, zdenerwowana wspólniczka mistyfikacji wypaliła:

- On wie, że Kot to kobieta!

Oboje stracili ochotę na piknik. W milczącym porozumieniu ruszyli ramię w ramię do gabinetu i zamknęli za sobą drzwi.

- Myślę, że Kot powinien obrabować go dokumentnie i zmusić, by się stąd wyniósł - oświadczyła Nora, usadowiwszy się na kanapie. - Jestem pewna, że uda się „przekonać" jego żonę, by wywarła na męża odpowiednią presję. Ta kobieta bardzo chętnie czmychnie do Londynu. Brandon ostro skrytykował jej plan.

- Nie ma mowy. Dopóki przebywasz pod moim dachem, jesteś na emeryturze. Poza tym potrzebuję pieniędzy Witherspoona.

- Masz kłopoty finansowe? - zapytała, przypominając sobie sterty szykownych kreacji, które musiały kosztować majątek. Ta mistyfikacja pociągała za sobą ogromne wydatki. - Nie powinieneś kupować tylu sukien. Boję się nawet myśleć, ile to kosztowało. Masz pojęcie, że mam aż sześć kreacji przeznaczonych na popołudniowe herbatki?! Nawet nie zdążę ich wszystkich włożyć. Zwrócę ci za nie pieniądze, choć pewnie nieprędko - powiedziała stanowczo.

- W jaki sposób chcesz zdobyć te pieniądze? Okradając sąsiadów? Nawet o tym nie myśl - zaprotestował. - Twoje suknie na pewno mnie nie zrujnują.

- Ale przecież potrzebujesz pieniędzy Witherspoona. Jesteś biedny - stwierdziła zdumiona, unosząc brew.

Roześmiał się serdecznie.

- Bieda to nieodpowiednie słowo, choć majątek ziemski z każdym rokiem przynosi mniejsze dochody. Wystarcza jednak na remonty domów dzierżawców, ziarno siewne, sadzonki i inne wydatki. Na razie. Ale może przyjdzie taki dzień, kiedy dzierżawcy będą zmuszeni szukać innych źródeł dochodów.

Nora szybko wyciągnęła wniosek.

- Fabryka jest dla ciebie sposobem zabezpieczenia socjalnego twoich poddanych.

Brandon skinął głową.

- Potrzebuję inwestorów, by zabezpieczyć przyszłość mieszkańcom Stockport-on-the-Medlock. Nie zdołam zrobić tego sam, moje dochody nie są wystarczające.

- Mimo wszystko, Brandonie, nie czuję się najlepiej w roli utrzymanki - stwierdziła po chwili zastanowienia. - Nawet gdybyś był najbogatszym człowiekiem w Anglii, wolałabym nie przyjmować od ciebie tak kosztownych prezentów.

- Moja przyszła żona musi mieć odpowiednią garderobę.

- Zapłacę za suknie - nalegała.

Ujął jej dłonie i uścisnął lekko, by ją uspokoić.

- Może się okazać, że nie wyrzuciłem tych pieniędzy w błoto. Może po upływie dwóch tygodni postanowisz jednak zostać.

- Nie jestem wolna, więc nie mogę za ciebie wyjść, a twoją kochanką nie będę - upierała się.

- Gdyby on nie żył, miałabyś wolny wybór - odpowiedział cicho.

Cofnęła się gwałtownie.

- Co ty zrobiłeś, Brandonie? Chyba nie popełniłeś dla mnie morderstwa?

Wybuchnął śmiechem.

- Nie, Noro. Sądziłaś, że wynajmę zbójów, by usunąć twojego męża? - Spoważniał. - Wysłałem na poszukiwania swego przyjaciela, wicehrabiego Wainsbridgea. Jeśli Reggie Portman nie zszedł z tego padołu, to Jack go odnajdzie. A na razie mamy przed sobą dwa

tygodnie. Przez ten czas będziemy cieszyć się sobą. Kot zrobi sobie wakacje. Obiecujesz? - wyszeptał, całując jej szyję.

- Obiecuję - odpowiedziała cicho. Choć z góry wiedziała, że złamie tę obietnicę. Musiała zamienić łup z napadu na dom St Johna na gotówkę i dostarczyć ją Mary Malone. Poczuła wyrzuty sumienia.

RS

Rozdział szesnasty

Lord Stockport zdjął okulary, wyprostował się i oparł plecy o skórzane oparcie krzesła. Ślęczał nad doniesieniami z Londynu. Parlament miał przerwę aż do wiosny, ale zapaleni politycy, tacy jak lord Russell, nadal ciężko pracowali, by zdobyć poparcie dla reform, które miały być głosowane podczas wiosennej sesji.

Brandon zrobił sobie przerwę w papierkowej robocie, by nasycić oczy widokiem pięknej kobiety wyciągniętej w fotelu przed kominkiem i zagłębionej w lekturze tomiku poezji. Obok niej, na niewielkim stoliku stała srebrna taca z gorącymi karmelkami i truskawkami. Nora.

Po spędzonym razem tygodniu ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Została. Przyznała, że jej na nim zależy; tak bardzo, że zrezygnowała z własnej pasji życiowej, którą zresztą podzielał, by go chronić. Marzył o takim partnerstwie, wreszcie miał poczucie, że nie jest sam. Wreszcie spotkał osobę, która dała jego duszy ukojenie i rozjaśniła nie tylko noce, ale i dnie.

Nie potrafił jej niczego odmówić. Ona również, choć z niezrozumiałych dla niego powodów sprzeciwiała się początkowo wszystkim jego propozycjom. Nietrudno było jednak przełamać jej opór.

Kiedy patrzył teraz na nią - na jej twarz oświetloną przez płonący na kominku ogień, na palce stóp wystające spod jasnoróżowej sukni, na włosy zwinięte w luźny węzeł na karku - nie mógł uwierzyć,

że to ta sama dzika, zuchwała Kocica, która przed miesiącem przewieszała nogi w opiętych spodniach przez oparcie tego samego fotela i jednym haustem, jak doświadczona pijaczka, osuszała szklaneczkę brandy. Każdy, kto by ją teraz zobaczył, uznałby ją za wytworną damę. Oczywiście, to była tylko gra, pozór stworzony za pomocą eleganckich strojów i przez doświadczoną pokojówkę.

Podobała mu się ta iluzja. Tym bardziej że wiedział, co się kryło pod tą miękką wełną i naszyjnikiem z pereł. Wystarczyło jedno spojrzenie w bystre jadeitowe oczy, by dostrzec prawdziwą Norę - żywą inteligencję i gorące oddanie sprawie. To oddanie stało się dla niego zrozumiałe, kiedy poznał historię tej kobiety. Zawiedli ją najważniejsi ludzie w jej życiu, podobnie jak świat, w którym przyszło jej żyć. Ale zamiast pogrążyć się w rezygnacji, postanowiła walczyć, by go zmienić, by inni nie musieli przeżywać takiego rozczarowania jak ona.

Była w tym bardzo podobna do niego. Gdyby tylko zdołał ją o tym przekonać.

Podniosła oczy i napotkała jego wzrok.

- Gapiłeś się na mnie, Brandonie - zauważyła z uśmiechem.

- Wolę patrzyć na ciebie niż na te papierzyska - stwierdził ze znużeniem. - Rozwodzą się w kółko na ten sam temat, nie posuwają się ani o krok naprzód. Ten akt już po raz trzeci trafia z Izby Gmin do Izby Lordów, która nie może przyjąć do wiadomości, że zmiany są konieczne.

Odłożyła książkę, podeszła do niego i zaczęła masować napięte mięśnie jego karku.

- Było coś interesującego w dzisiejszej poczcie? Wiedział, o co naprawdę pytała. Chodziło jej o to, czy Jack wpadł na trop Reggiego Portmana.

-Nie.

Nakrył dłonią jej rękę.

- Jeszcze zbyt wcześnie, by mógł zdobyć jakieś pewne informacje. Nieważne, co odkryje. Jeśli Portman zmarł, już jesteś wolna. Jeśli żyje, wystąpimy do sądu o rozwód z powodu trwałego rozpadu pożycia małżeńskiego. Tak czy owak, odzyskasz wolność - zapewnił ją. - Minęło już siedem lat.

- Rozwód, Brandonie? Chyba nie myślisz o tym poważnie. Rozwódka mogłaby w najlepszym wypadku być twoją kochanką, ale nie żoną. Nie zapominaj o swojej pozycji. - Cichy głos Nory brzmiał ostrzegawczo. - Zresztą to on musiałby wystąpić o rozwód. Przecież wiesz.

I znowu to samo! Ta piekielna tendencja do sprzeciwiania mu się na każdym kroku. Rozmowa z nią była równie frustrująca, jak debata parlamentarna. Może nawet bardziej, bo Nora w chwilę później stawała się słodka i uległa, a on natychmiast zapominał, jaka potrafiła być uparta.

- Zresztą, ja czuję się wolna. Nie ma sensu narażać się na publiczne pranie brudów na sali sądowej. Przez siedem lat mnie nie znalazł. Może masz rację i on wcale nie dyszy żądzą zemsty, jak mi się wydawało.

Brandon posadził ją sobie na kolanach.

- Ja nigdy nie przestałbym cię szukać. - Uśmiechnął się na widok rumieńca zalewającego jej policzki.

Przekonał się już, że choć Kocica była kobietą stanowczą i obdarzoną wyjątkowo ciętym językiem, to pochlebstwem łatwo było przebić się przez jej zbroję. Uświadomił sobie, że był pierwszym mężczyzną, który naprawdę ją kochał. Wzruszało go, że ta kobieta, która podejmowała takie ryzyko, tak całkowicie poświęcała się dla innych, sama zaznała w życiu bardzo niewiele miłości.

- Pobawmy się, Noro. Mam już na dzisiaj dosyć papierkowej roboty. Zagrajmy w grę, która nosi nazwę Prawda i konsekwencje. Sama wybierasz, czy chcesz odpowiedzieć na pytanie, czy wolisz, bym ja to zrobił.

Uśmiechnęła się jak kot, który dobrał się do śmietanki. Wszelkie poważne myśli w jednej chwili wywietrzały z głowy Brandona.

- To brzmi okropnie dwuznacznie, milordzie - mruknęła lekko zachrypniętym głosem, który tak kochał.

- Czasem bywa dwuznaczne - przyznał. Przećwiczyli z Jackiem kilka wersji tej gry w swych szczenięcych latach. - Ty pierwsza.

Kręciła w palcach kosmyk włosów, który wysunął się z jej koka.

- Co wolisz, prawdę czy konsekwencje? - zapytała.

- Prawdę.

- Naprawdę masz siostrę? Nie wystarczy tak lub nie. Czekam na wyczerpującą odpowiedź.

- Mam nie jedną, a cztery siostry. - Wybuchnął śmiechem na widok wyrazu niedowierzania malującego się na jej twarzy. - A skąd, twoim zdaniem, wzięła się moja znajomość kobiet? Dorastałem w

domu, w którym byliśmy z ojcem całkowicie zdominowani przez przeważającą liczebnie płeć piękną. Pierwsza urodziła się Margaret. Potem Elspeth, najbardziej uczona w rodzinie. Ja jestem trzecim dzieckiem, ale jako chłopiec awansowałem natychmiast na pierwsze miejsce rodzinnej hierarchii. - Za to stwierdzenie został natychmiast ukarany kuksańcem. - A potem Clara i Dulcinea. Dulcinea jest najbardziej szalona i nieokiełznana.

- Czy to po Margaret posłałeś? - zapytała, mając na myśli list Brandona do siostry, by przyjechała pełnić rolę przyzwoitki.

- Wielkie Nieba, nie! Ona jest najbardziej spolegliwa ze wszystkich, prawdziwa starsza siostra, jest mężatką i ma troje dzieci. Napisałem do Dulci.

- Tej szalonej? - Nora uniosła brew. - Jestem pewna, że nie spełnia kryteriów prawdziwej przyzwoitki.

- Nie zależało mi na prawdziwej przyzwoitce. Ale złamałaś reguły. Zadałaś dwa pytania. - Brandon dał jej prztyczka w nos. - Moja kolej. Prawda czy konsekwencje?

- Prawda! - zawołała rozbawiona.

- Tamtego dnia w Manchesterze, kiedy Eleanor próbowała mi uciec przez zaplecze sklepu, dokąd chciałaś pójść?

- Do Anacoats. Chciałam zanieść Mary Malone trochę pieniędzy na leki.

Ruszyło go sumienie. Pragnienie ujęcia Kocicy uniemożliwiło jej spełnienie dobrego uczynku.

- Dostała je?

- Tak. Wróciłam do sklepu, żeby dać Jane instrukcje.

- A czy wiedziałaś wtedy, że to ja byłem tym mężczyzną przed piekarnią? - Wiedziony ciekawością Brandon również złamał reguły gry i zadał drugie pytanie.

- Czy wiedziałam, że mnie śledzisz? Tak! - odrzekła, śmiejąc się tak, że o mało nie spadła mu z kolan. - Zauważyłam cię prawie natychmiast. Wyznaję, że byłam na ciebie cięta, dlatego zostałam w piekarni dłużej niż to konieczne. Mam nadzieję, że za bardzo nie zmarzłeś, ale należała ci się nauczka za prześladowanie biednej Eleanor. Pociągnęła go za krawat.

- Początkowo byłeś zbyt napastliwy. Kiedy przyszedłeś do Grange na herbatę, wydawało mi się, że mnie przejrzałeś. Nikomu z miasteczka nie przyszło do głowy wiązanie panny Habersham z Kocicą, chociaż mieszkała wśród nich od czterech miesięcy. Ty byłeś inny. Zbyt czujny i zbyt przystojny, by mogło ci to ujść na sucho. Musiałam cię przekonać, że Eleanor była tym, za kogo się podawała: niezamożną starą panną z klasy średniej o mentalności i manierach głupiutkiej pensjonarki.

- Powinnaś więc zachowywać się tak, jakby moje maniery i uroda zrobiły na tobie piorunujące wrażenie - stwierdził z rozbawieniem. - Wówczas dałbym się nabrać. To właśnie twoja odporność na mój urok wzbudziła moją podejrzliwość.

Udała, że odpycha go z oburzeniem.

- Ty arogancie! Wszystkie kobiety mają umierać z miłości do ciebie, tak?

- Najwyraźniej wszystkie poza tobą. Zaryzykowałem nawet życie, jadąc z tobą w Boże Narodzenie do slumsów. Kiedy na ciebie

czekałem, parę razy miałem wrażenie, że lada chwila zostanę pozbawiony butów

Potrząsnęła głową.

- Nie, jesteś zbyt bystry, by stracić buty, choćby nie wiadomo jak piękne.

- Jestem taki bystry? - Czuł narastający żar. Nora ciągle bawiła się jego krawatem, a pachniała wodą różaną i lawendą. Gra z każdą chwilą przybierała bardziej interesujący, choć niespodziewany obrót. - Czy dlatego pocałowałaś mnie tamtego pierwszego wieczoru? - Pochylił głowę i zaczął całować jej długą szyję.

- Pocałowałam cię, żeby odwrócić twoją uwagę i tym łatwiej uciec.

- Dlaczego sądziłaś, że to podziała? - zapytał głosem nabrzmiałym namiętnością.

- Od razu stwierdziłam, że jesteś mężczyzną przyzwyczajonym do wydawania rozkazów. - Wodziła palcem wzdłuż linii szczęki Brandona. - A przyzwyczajeni do wydawania rozkazów mężczyźni lubią niekiedy, by nimi komenderowano.

- I dlatego przywiązałaś mnie potem do łóżka? - Był już bardzo podniecony. Wiedział, że siedząc na jego kolanach, musiała czuć jego erekcję.

Roześmiała się łobuzersko.

- Przywiązałam cię, bo zasłużyłeś sobie na to, znęcając się nad biedną Eleanor na tarasie u pani Dalloway. Zadałeś już zbyt wiele pytań. Nie stosujemy się do zasad gry. - Była wybitnie utalentowaną

kokietką. Wierciła się na jego kolanach w sposób wyjątkowo prowokacyjny. - Jest twardszy, niż myślałam.

Nie musiał pytać, co miała na myśli. Pochyliła się ku niemu i szepnęła:

- Teraz twoja kolej i wybierasz konsekwencje.

- Tak? - zapytał głosem ochrypłym z oczekiwania. - Zapomniałem. Mężczyźni tacy jak ja lubią, by nimi komenderowano.

- Nie ma takich mężczyzn jak ty. Jesteś jedyny w swoim rodzaju. - Wsunęła dłonie w jego włosy i zaczęła pieścić wargami płatek ucha. - Zabierz mnie na górę - poprosiła.

- O niczym innym nie marzę. - Wstał i trzymając ją w ramionach, ruszył do drzwi.

Następnego dnia ostre pukanie wyrwało Stockporta z głębokiego snu. Nie chciało mu się wstawać, wolałby skoncentrować się na ciepłym kobiecym ciele, wtulonym pośladkami w jego lędźwie. Ale Harper, wyjątkowo natarczywy lokaj, zapukał znowu.

Brandon wstał z ociąganiem i dla przyzwoitości nakrył Norę. Ze względu na służącego włożył szlafrok i porządnie przewiązał się paskiem, bo pruderyjny lokaj nie przywykł oglądać swego pana nago.

- Wejść! - zawołał wreszcie.

- Przepraszam, że pana obudziłem, milordzie. - Harper rozejrzał się po pokoju i zaczął podnosić z podłogi rozrzucone części garderoby, strzepując każdą porządnie. - Mam bardzo pilną wiadomość, która nie mogła czekać. - Wygładził koszulę, którą pomógł włożyć swemu panu poprzedniego wieczoru i ze zdumieniem wpatrywał się w puste miejsca po oderwanych guzikach.

Stockport zesztywniał w oczekiwaniu na wyjaśnienia.

- Ostatniej nocy wybuchł niewielki pożar w domu jednego z dzierżawców. Czekają na pana, by sprawdzić stan dachu.

Napięcie go opuściło. Spodziewał się wiadomości od Jacka.

- Jadę od razu. Przygotuj mi strój do konnej jazdy. Zaraz zejdę na dół na kawę z grzanką. Każ stajennym osiodłać konia.

Nie miał na to najmniejszej ochoty. Zamierzał spędzić ten zimowy poranek w łóżku, ale obowiązek wzywał.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Nora odwróciła się na bok. Udawała pogrążoną we śnie. Kusiło ją, by zatrzymać Brandona przy sobie, ale straciłaby jedyną, być może, okazję. Pomimo rozkoszy, jaką dawało jej życie z nim, nie zapominała o zdobywaniu funduszy dla Mary Malone i innych potrzebujących. Miała łup, wystarczyło wybrać się do Manchesteru i go sprzedać.

Czekała tylko na szansę wymknięcia się z domu. Stockporta nie będzie do popołudnia. Powinna zdążyć wpaść do Grange, żeby przebrać się w kostium Eleanor i pojechać do Manchesteru. Przy odrobinie szczęścia załatwi wszystko i wróci do domu przed Stockportem. Na wypadek, gdyby szczęście jej nie dopisało, zostawi mu wiadomość, że postanowiła złożyć kilka wizyt albo załatwić jakieś sprawy w miasteczku.

Miała wyrzuty sumienia, że go oszukuje, ale gdyby znał jej zamiary, nie wypuściłby jej z domu. Mógłby najwyżej dać jej pieniądze, a to nie to samo. Sama powinna doprowadzić własne sprawy do końca. Podjąwszy decyzję, bez zwłoki przystąpiła do działania.

Brandon przez cały dzień myślał wyłącznie o Norze. Wszedł do holu, zdejmując po drodze rękawiczki. Kamerdyner wyszedł mu na spotkanie.

- Dzień dobry, milordzie. Cieszę się, że pan wrócił. Pani Bradley czeka w bawialni. - Przekazał wiadomość i wzniósł oczy do góry na znak, że uważał odwiedziny żony sędziego za wysoce niestosowne.

- Czeka na mnie? - zapytał Stockport zaskoczony. Przez te wszystkie lata pani Bradley jeszcze nigdy nie przybyła do jego rezydencji sama. Przyjeżdżała z mężem, sama odważała się wpaść jedynie wówczas, gdy lord gościł którąś z sióstr. - Na pewno przyjechała w odwiedziny do mojej narzeczonej.

Kamerdyner chrząknął.

- Panny Nory nie ma w domu. Zostawiła wiadomość. -I wyciągnął porządnie złożoną białą karteczkę zapisaną starannym pismem.

Brandon przebiegł pismo wzrokiem i podniósł oczy na kamerdynera.

- Jesteś pewien, że nasz gość to pani Bradley? - W liściku była informacja o zamierzonej wizycie u tej damy i konieczności załatwienia pewnych spraw w miasteczku. Ta wyprawa wydała mu się dość podejrzana, ponieważ uznali oboje, że w zaistniałych okolicznościach im mniej osób widywało Norę, tym lepiej. A najbardziej podejrzane było to, że żona sędziego siedziała w jego bawialni i najwyraźniej nie miała o niczym pojęcia.

Kamerdyner był wyraźnie urażony, że lord podał w wątpliwość jego znajomość sąsiadów.

- To bez wątpienia pani Bradley. Znam ją od ponad dziesięciu lat.

- Oczywiście, niepotrzebnie pytam. Zaraz się z nią zobaczę. Przyślij do bawialni zastawę do herbaty. - I ruszył szybkim krokiem do błękitnego saloniku, myśląc ze smutkiem, że nie o tym marzył przez cały dzień.

- Pani Bradley, czemu zawdzięczam ten honor? - zapytał uprzejmie, podchodząc szybko do kobiety.

- Miałam nadzieję na spotkanie z pana narzeczoną, lordzie Stockport - odparła.

- Przykro mi, ale nie ma jej w domu - wyjaśnił, siadając naprzeciw niej. - Może ja mógłbym w czymś pomóc?

- Przyszłam zaprosić państwa na bal walentynkowy. Właściwie to będzie bal dla uczczenia waszych zaręczyn.

Czy to do pomyślenia, by obcy ludzie zapraszali kogoś na jego własny bal zaręczynowy? Brandon uśmiechnął się jednak. Niewykluczone, że ten dziwaczny pomysł to prawdziwa łaska z nieba. Dzień św. Walentego wypadał w dwa tygodnie po zakończeniu okresu, który Nora obiecała spędzić w jego domu. Jeśli przyjmie zaproszenie na bal, będzie musiała zostać dłużej.

- Chciałbym skonsultować to z narzeczoną - powiedział. -Nie wiem, jak długo zamierza tu zabawić. - Odwrócił głowę w stronę drzwi, słysząc lekkie kroki. Nora wróciła do domu.

Przez jej twarz przemknął wyraz zmieszania na widok żony sędziego, u której rzekomo zamierzała spędzić przedpołudnie. Jej

oszustwo wyszło na jaw! Szybko jednak ukryła zaskoczenie i z wyciągniętymi rękami ruszyła na powitanie gościa.

- Pani Bradley, bardzo żałuję, że nie było mnie w domu, kiedy pani przyjechała. Wybrałam się na przejażdżkę.

Brandon poczuł się urażony. Do niego nie odezwała się ani słowem.

- Wydawało mi się, że wybierałaś się właśnie do madame Bradley. - Podniósł do góry liścik.

Uśmiechnęła się.

- Możesz sobie wyobrazić moje rozczarowanie, kiedy po przyjeździe do Wildflowers nie zastałam pani, i moją radość, kiedy po powrocie do domu kamerdyner powiedział, że jest pani tutaj! - Odwróciła się do Brandona rozpromieniona. -Kochanie, słyszałam coś o balu walentynkowym.

Pani Bradley natychmiast się ożywiła.

- Wydajemy bal dla uczczenia waszych zaręczyn, moja droga,

- Nie byłem pewien, jak długo zamierzasz zostać. Pozostawiłem zatem decyzję tobie. Ja uważam, że to znakomity pomysł.

- Skoro tobie się podoba, to przyjmujemy zaproszenie -odrzekła i skłoniła głowę przed gościem. - Dziękujemy, bardzo pani miła.

Byłaby z niej znakomita hrabina - pomyślał Brandon. Miał nadzieję, że pani Bradley nie zabawi zbyt długo na herbacie.

Sięgnąwszy po drugie kruche ciasteczko, kobieta rozwiała jednak jego nadzieję.

- Czy pana siostra, lady Dulcinea, będzie mogła przyjechać? Żona sędziego była największą plotkarką w okolicy. Zaklął w duchu,

wściekły na siebie, że wspomniał Bradleyowi o zaproszeniu siostry do Stockport Hall.

- Mam nadzieję. Martwię się tylko, że nie otrzymałem jeszcze od niej odpowiedzi. Może gdzieś wyjechała i list czeka na jej powrót w stercie innej korespondencji - odparł swobodnie, po czym pozwolił, by rozmowa się urwała.

Pani Bradley pojęła tę niezbyt subtelną aluzję i szybko dokończyła ciasteczko.

Ledwie zamknęły się za nią drzwi, Brandon zwrócił się ku Norze.

- Gdzie byłaś? Nie wiedziałem, że zamierzałaś wyjść z domu.

- Jeździłam konno. Wpadło mi do głowy, że mogłabym kogoś odwiedzić albo wpaść do sklepu, ale nie byłam pewna -odparła lekko.

Wyczuł kłamstwo. A raczej niedopowiedzenie. Jeździła konno, to prawda, widział jeszcze na jej twarzy rumieńce po zimowej przejażdżce. Zapewne rzeczywiście wpadła z wizytą i robiła zakupy, ale nie w potocznym tego słowa znaczeniu.

Rozległo się pukanie do drzwi i Stockport zaklął.

- Do licha, czy człowiek nie może mieć odrobiny spokoju we własnym domu?

Nie mogło być gorzej. Lokaj zaanonsował Cecila Wifherspoona.

- Przynieś więcej herbaty - rzuciła Nora z napięciem, najwyraźniej mobilizując się na przyjęcie niepożądanej osoby.

- Chyba będziemy potrzebowali czegoś mocniejszego -mruknął Brandon na widok kolejnego gościa, który wpadł do bawialni jak burza. Wyglądało na to, że nie zamierzał nawet usiąść.

- Mam nowiny, lordzie Stockport! - zawołał, pusząc się w poczuciu własnej ważności.

- Proszę usiąść i podzielić się z nami tymi nowinami. - Pan domu wskazał krzesło z udawaną serdecznością.

Witherspoon zerknął na kobietę, po czym zwrócił pytający wzrok na Brandona, jakby chciał się upewnić, czy będzie obecna przy ich rozmowie.

- Może pan mówić swobodnie w obecności mojej narzeczonej - zapewnił Stockport. Czuł, że informacje przybysza będą dotyczyły Kota z Manchesteru i uznał, że Nora powinna usłyszeć je z pierwszego źródła.

Usiedli, gospodyni nalała herbatę i Witherspoon powiedział wreszcie, z czym przyszedł.

- Trzeba panu wiedzieć, że rozesłałem swoich ludzi po lombardach w Manchesterze w nadziei, że trafią tam na kosztowności zrabowane nam u St Johna.

Brandon podniósł wzrok znad filiżanki. Nie wiedział o tym. Myślał, że tylko on jeden miał je na oku. Witherspoon nie zdradził się przed nim ze swoim zamiarem.

- Bardzo rozsądnie - zauważył lekkim tonem.

- W rzeczy samej. Dzisiaj moi ludzie trafili na to. - Gość wyciągnął rubinowy naszyjnik, który jego żona miała na sobie podczas proszonego obiadu u St Johna i który oddała Kocicy.

- Z pewnością pańska małżonka będzie szczęśliwa, gdy go odzyska. To piękny klejnot.

Witherspoon uśmiechnął się z zadowoleniem i podniósł naszyjnik do góry, by nasycić nim wzrok.

- Tak, to prawda. Zamówiłem go na rocznicę naszego ślubu. Powinien pan zrobić to samo na swoją pierwszą rocznicę - oświadczył pompatycznie.

Stockport miał ochotę wepchnąć mu te protekcjonalne słowa z powrotem do ust.

- Czy pańscy ludzie dowiedzieli się, w jaki sposób ten klejnot trafił do lombardu?

- To właśnie najważniejszy element tej historii, drogi lordzie. - Niedbałym ruchem schował biżuterię z powrotem do kieszeni. - Naszyjnik przyniosła do lombardu dzisiaj późnym rankiem kobieta w okularach, ubrana w pozbawioną gustu, wzorzystą sukienkę, dokładnie odpowiadająca opisowi Eleanor Habersham. Moi ludzie natychmiast posłali po mnie.

- Czy na kwicie w lombardzie widnieje nazwisko panny Habersham? - zapytał Brandon, zerkając z ukosa na Norę. Nie musiał już pytać, gdzie była i co robiła, kiedy rzekomo wybrała się po zakupy. Do licha, przecież obiecywała! Jak miał ją chronić, skoro na to nie pozwalała?

- Nie, na kwicie nie ma, oczywiście, jej nazwiska. Moi ludzie to sprawdzili - odparł Witherspoon z wyższością, jakby uważał rozmówcę za niespełna rozumu. - Miała dość sprytu, żeby posłużyć się fałszywym nazwiskiem. Nie nabrałbym podejrzeń, gdyby to nie był przedmiot, który doskonale znam. Przecież wiem, że panna

Habersham nie ma grosza przy duszy, a musi z czegoś żyć - zauważył gruboskórnie, obrażając nieszczęsną starą pannę.

Stockport zacisnął pięści. Gdyby Eleanor Habersham była postacią rzeczywistą, wyzwałby tego gbura za obrażanie kobiety będącej w trudnej sytuacji finansowej.

Ten jednak, nieświadom rosnącej wrogości lorda, ciągnął:

- Zajrzałem do Grange w drodze powrotnej z Manchesteru. I wie pan, co odkryłem? - Najwyraźniej delektował się własną opowieścią.

- Nie mam pojęcia. - Brandon miał nadzieję, że w jego głosie zabrzmiała nutka zainteresowania, chociaż znakomicie wiedział, co musiał odkryć Witherspoon. Eleanor nie było w domu.

- Służący powiedział, że panna Habersham wyjechała tydzień temu odwiedzić starą ciotkę w Yorkshire. Ciekawe, prawda? Jak mogła pojechać do Yorkshire, skoro dzisiaj zastawiała skradzione przedmioty w lombardzie w Manchesterze?

- Co właściwie pan sugeruje?

- Że to Eleanor Habersham jest Kotem z Manchesteru. Pojawiły się tutaj w tym samym czasie, a już wcześniej odkryłem, że ten złodziej to kobieta - oznajmił Cecil Witherspoon, pęczniejąc z dumy.

- Ciekawa hipoteza. Wykonał pan kawał dobrej roboty -przyznał Brandon, zżymając się w duchu na tego aroganta.

Rozmowa dobiegła końca. Gość wstał.

- Uznałem, że pan, jako lord i sędzia na tym terenie, a także główny inwestor, powinien zostać o tym poinformowany -oświadczył chłodno tonem, który wskazywał, iż jego zdaniem lord Stockport nie wywiązywał się należycie ze swych obowiązków.

Brandon również wstał.

- Doceniam pańskie starania. Jestem pewien, że sprawa zostanie szybko zamknięta. O ile się nie mylę, Kot nie zaatakował już nikogo od tamtego obiadu u St Johna. Mam nadzieję, że te napady zakończyły się definitywnie, a panna Habersham zdoła przedstawić nam wiarygodne wyjaśnienia odnośnie tego naszyjnika. Nie chciałbym, aby jej nazwisko wiązano z jakimkolwiek skandalem.

- Zobaczymy. - Witherspoon poklepał kieszeń, do której schował naszyjnik.

- Jest pan pewien, że to naszyjnik pańskiej żony? - zapytała niewinnie Nora. Po raz pierwszy włączyła się do rozmowy. -Myślę, że istnieje niejeden rubinowy naszyjnik. Są na nim jakieś znaki czy wygrawerowane napisy?

Zapytany spiorunował ją wzrokiem.

- Naszyjnik został zamówiony specjalnie dla niej. Mam potwierdzenie od jubilera i oryginalny projekt na dowód, że to ten sam klejnot.

Nora rozpromieniła się, co natychmiast postawiło Brando-na w stan alarmu.

- A więc to prawdziwe szczęście, że go pan odzyskał. Klejnot będzie zresztą bardzo istotnym dowodem w procesie. Powinien go pan schować w bezpiecznym miejscu, pod kluczem. Wstyd by było ponownie go stracić.

- Owszem - przyznał Witherspoon wyraźnie zaskoczony.

- Odprowadzę pana do holu - zaproponowała.

Wróciła ze skruszoną miną. Miała przynajmniej dość przyzwoitości, by udawać wyrzuty sumienia, kiedy została przyłapana na oszustwie. Brandon wolałby, aby sumienie gryzło ją nie tylko z tego powodu, ale przede wszystkim dlatego, że zawiodła jego zaufanie.

- Nie pójdziesz po ten naszyjnik - oznajmił bez żadnych wstępów. - Nie pozwolę ci wyjść samej z domu. Zobacz, jakich kłopotów dzisiaj narobiłaś.

- Masz absolutną rację. Nie będę wychodzić z domu - zgodziła się zdecydowanie zbyt potulnie. Coś było nie w porządku.

- Mam na to twoje słowo?

- Tak, Brandonie. Daję ci słowo. Nie wyjdę z domu, by ukraść naszyjnik - zapewniła uroczyście.

Coś zdecydowanie było nie tak. Zbyt łatwo ustąpiła. Zresztą po ostatnim wyczynie wiedział, że jej słowo nie miało najmniejszego znaczenia. Jedną przysięgę już złamała. A jednak wydawało się, że tym razem obiecywała szczerze. Nagle coś go tknęło.

- Już masz ten naszyjnik, tak?

Nora powiesiła sobie klejnot na palcu i huśtała go w powietrzu.

- Traktował go zdecydowanie zbyt niefrasobliwie - stwierdziła. - Z pewnością w drodze do domu wypadłby mu z kieszeni i ugrzązł w jakiejś bruździe pomiędzy Stockport Hall a Cheetham Hill.

Brandon nie zdołał powstrzymać wybuchu śmiechu, wraz z którym spłynęło z niego napięcie wywołane dwiema dzisiejszymi wizytami. Withcrspoona czeka nie lada zaskoczenie, kiedy po powrocie do domu odkryje pustkę w kieszeni.

Boże, jak on kochał tę swoją złodziejkę! Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował w usta.

- Życie z tobą, Noro, nigdy nie będzie nudne.

RS

Rozdział siedemnasty

- Co robiłaś w Manchesterze? - zapytał znacznie później, gdy nasyceni leżeli w zburzonej pościeli. Jego dłoń spoczywała na jej krągłym biodrze, a kciuk gładził leniwie płaski brzuch kobiety.

- Przecież wiesz, co robiłam. - Westchnęła. Wiedziała, że Brandon nie porzuci tego tematu i będzie drążył.

- Chcę to usłyszeć od ciebie.

- Zastawiłam naszyjnik, a pieniądze dałam aptekarzowi na lekarstwa dla Mary Malone. Potem znalazłam lekarza, który zgodził się pójść ją zbadać. Zajrzałam jeszcze do niej na chwilę i zostawiłam jej resztę pieniędzy.

- To musiała być ładna sumka. Ten klejnot był wart kilkaset funtów.

- Pewnie tak, ale w lombardzie nigdy nie dają dobrej ceny. Jestem jednak pewna, że od Witherspoona wyegzekwowano kwotę odpowiadającą rzeczywistej wartości naszyjnika. To nie był sklep, z którego usług zwykle korzystam. Przekonałam się, że właściciel nie jest człowiekiem godnym zaufania. Witherspoon musiał mu pewnie jeszcze sporo dołożyć, żeby mógł zobaczyć kwit. Kwity zastawne powinny zasadniczo być poufne.

- Jak się czuje Mary? - Brandon zmienił temat.

- Gorzej. Boję się, że żadne leki już nie pomogą. Potrzebna jej całkowita zmiana. Suchoty i inne choroby płuc szerzą się wśród klasy robotniczej w zastraszający sposób.

Pokiwał głową. Wiedziała z góry, co teraz powie.

- Mogłaś poprosić mnie o pieniądze, Noro. Nie musiałaś podejmować ryzyka.

-Nie.

- Dlaczego?

- Nie możesz udawać, że Kot z Manchesteru nie istnieje, Brandonie. Nie zmienisz mnie z dnia na dzień w szlachetnie urodzoną filantropkę. Ci ludzie potrzebują Kocicy. Potrzebują tego, co od niej otrzymują, ale potrzebują również tego, co ona sobą reprezentuje. To daje im nadzieję i poczucie, że ktoś broni ich praw i wysoko ceni. Potrafisz to zrozumieć?

- Tak. Ale istnieje lepszy sposób zapewnienia im tego, legalny sposób. Wiesz, że dni Kota z Manchesteru są policzone. Kiedy się pobierzemy...

Usiadła gwałtownie, prześcieradło zsunęło się jej na uda.

- Pobierzemy? Nie podjęliśmy jeszcze decyzji, Brandonie, a po dzisiejszym dniu nie ma nawet o czym mówić.

Teraz i on usiadł.

- A co innego możemy zrobić? Do licha, Noro, właśnie zgodziłaś się, by pani Bradley wydała dla nas bal zaręczynowy. Założyłem, że skoro przyjęłaś jej zaproszenie, to tym samym zaakceptowałaś nasz związek. Dopóki się nie pobierzemy, będę mógł cię chronić jedynie w ograniczonym zakresie. Przecież to ty wymyśliłaś te wydumane zaręczyny.

- Przyjęłam zaproszenie, bo niezręcznie było je odrzucić. Kiedy wreszcie do ciebie dotrze, że w gruncie rzeczy wcale nie chcesz się ze

mną żenić? Ty chcesz mnie tylko ratować. Chociaż potrafię doskonale zadbać o własne bezpieczeństwo.

- A kiedy wreszcie dotrze do ciebie, że chcesz za mnie wyjść? - odpalił Brandon bez namysłu. - Nie udawaj, że myśl o małżeństwie ze mną jest dla ciebie przykra.

- Myśl o małżeństwie z tobą nie jest dla mnie przykra, przykra jest natomiast perspektywa doprowadzenia cię do ruiny. Kiedy wyjdzie na jaw, że w pełni świadomie poślubiłeś ściganą przez prawo złodziejkę, że z nią współdziałałeś, to nawet tytuł cię nie uratuje. - Nora zeskoczyła z łóżka, zarzuciła na siebie szlafrok i z wściekłością przewiązała go paskiem. Ten mężczyzna był uparty jak muł! Dla niego to wszystko było jedynie grą. Bez wątpienia irytowało go, że jako potężny lord Stockport nie potrafił jej zmusić, by jadła mu z ręki! Prawdę mówiąc, mógł. Jadła mu z ręki, nie chciała się tylko do tego przyznać. Gdyby mówił o miłości... o prawdziwej miłości, a nie o honorze, ochronie i obowiązku, może by uległa.

- Nie przejmuj się Witherspoonem. Zajmę się nim - stwierdził ze zwykłą pewnością siebie. - Tak mu zależy na mojej przyjaźni, że zrobi wszystko, by zasłużyć na moją aprobatę. Kiedy zostaniesz moją żoną, będzie zabiegał o twą życzliwość, by zdobyć moją łaskę.

- Nie wiadomo, co Jack odkryje.

- To już najmniejsze zmartwienie. Poradzimy sobie. Witherspoon stanowi poważniejszy problem. Nie wychodź więcej z domu - ostrzegł Brandon. - Jutro poślę po Mary Malone i jej dzieci. Mam wolny niewielki domek w mojej posiadłości, mogą go zająć.

- Ona nie przyjmie jałmużny.

- Znajdę jej jakieś zajęcie. Najstarszy chłopak może pracować w stajni, a w kuchni z całą pewnością też potrzeba pomocy.

Na ustach Nory pojawił się drżący uśmiech.

- Dziękuję - szepnęła cicho, poruszona jego troskliwością. Urwała i zagryzła wargę. - Brandonie, uwierz mi, naprawdę chciałabym, żeby było inaczej.

Wziął ją za rękę.

- Może być inaczej. Wystarczy chcieć - powiedział spokojnym, ale zdecydowanym tonem. - Od dawna zmieniasz życie innych ludzi. Nadszedł czas, byś zmieniła własne.

Zbliżał się bal, a Norę ogarniał coraz większy niepokój. Wszystko szło gładko. Mary Malone zamieszkała wraz z dziećmi w przytulnym domku. Witherspoon musiał spuścić z tonu i przyznać, że lord Stockport miał rację i włamania już się skończyły.

Tym trudniej przyszło jej podjąć decyzję, by Eleanor Habersham wzięła na siebie cały ciężar podejrzeń. Przesłała liścik do Hattie i Alfreda, żeby zamknęli dom, spakowali rzeczy i wyprowadzili się. To zapewniło im bezpieczeństwo na wypadek, gdyby coś źle się potoczyło; jeśli Witherspoon chciał wierzyć, że to panna Habersham była włamywaczką, proszę bardzo, wolna wola. Eleanor zniknęła bez śladu, a Kocica wraz z nią. Stockport przygotował Norze zwięzły, przyzwoity życiorys i nie pozostało jej nic innego, jak tylko nauczyć się go na pamięć. Karta Kota z Manchesteru została ostatecznie zamknięta. Mogła zacząć nowe życie jako hrabina, żona Brandona Wycrofta, musiała tylko wyrazić zgodę. To pociągało ją bez

porównania bardziej niż tytuł. Nierozwiązany pozostał już tylko jeden problem.

Nadal nie było wieści od Jacka, choć Brandon nie tracił nadziei, że przyjaciel odezwie się lada chwila. Nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać. To czekanie ją zabijało. Nie była przyzwyczajona do braku aktywności. Przez wiele lat żyła w wiecznym zagrożeniu i po prostu weszło jej to w krew.

Cała jej przyszłość zależała teraz od tej jednej wiadomości. Zdawała sobie sprawę, że zbliżający się bal zaręczynowy mógł oznaczać początek końca jej związku z Brandonem. Czy zdoła zaufać mu na tyle, by przyznać się do swych uczuć i zaakceptować życie, jakie jej proponował? Czy mogła podjąć taką decyzję, zdając sobie sprawę, że oferował jej schronienie, ale nie miłość?

- Nie będziemy cię już potrzebowali, Ellie. Sam pomogę pani w toalecie. - Drzwi otworzyły się i w progu stanął lord Stockport w wytwornym stroju wieczorowym.

Ellie, niedawno zatrudniona pokojówka, dygnęła i z nerwowym chichotem zbiegła na dół, aby podzielić się ze służbą najnowszą ploteczką dotyczącą jego lordowskiej mości i swojej pani.

Nora wstrzymała oddech, gdy dostrzegła w lustrze odbicie Brandona. Czarny frak idealnie pasował do jego władczej postaci. Otaczała go aura wielkomiejskiej elegancji, ale pod płaszczykiem wytwornego arystokraty wyczuwało się w nim także pewną drapieżność. Wystarczyło uważniej spojrzeć. Dostrzegła to już podczas pierwszej wizyty w Stockport Hall, kiedy wkradła się do jego sypialni. Chciał, by to dostrzegła. Przed innymi potrafił to bardzo

zręcznie ukrywać. Dzisiaj jednak ta jego drapieżność ujawniła się w całej okazałości, dodając mu jeszcze wdzięku. Tego wieczoru żadna matrona nie pomyśli, że jej córeczka może bezpiecznie szczerzyć do niego zęby.

Ten wieczór miał być decydujący. Nadzieje i obawy Nory znalazły potwierdzenie w słowach Brandona.

- Jack wrócił. Spotka się z nami na balu i przekaże nam nowiny. - Dostrzegła napięcie wokół jego ust.

Stanął za nią i wsunął palce w ciemne loki opadające spod upiętego na czubku głowy zgrabnego koka z włosów i pereł.

- Pięknie wyglądasz, Noro.

- Nie jestem ubrana.

- Widzę. - Muskał palcami jej kark, aż przeszył ją rozkoszny dreszcz. Ich oczy spotkały się w lustrze i wymieniły psotne spojrzenia.

- Ale ty jesteś ubrany - zauważyła, ledwie panując nad pożądaniem.

- Podobno przeciwieństwa się przyciągają - wyszeptał, pieszcząc wargami delikatną skórę jej szyi. Gdy jego ciepły oddech owiał jej ucho, pomyślała: wielkie nieba, osiągnę orgazm, zanim on zdąży zdjąć spodnie. Odwróciła się od lustra i zaczęła się mocować z jego paskiem. Może uda im się zrobić to, nie rujnując idealnego węzła jego krawata.

Starała się być ostrożna, ale Brandon nie zważał na nic. Po raz pierwszy kochali się na dywanie w buduarze Nory. Pomyślała nagłe, że już nigdy z nikim nie będzie jej tak wspaniale. Gdy spełniona i rozkosznie senna rozluźniła się, przemknęło jej przez głowę

niepokojące pytanie: czy to ostatni raz? Tę wątpliwość wyczuwało się w zachowaniu obojga, w rozpaczliwym tuleniu się do siebie, w jego błyszczących niepokojem oczach, drapieżnych jak wilcze ślepia i słodko uwodzicielskich, w szalonym, łapczywym pośpiechu, z jakim rzucili się na siebie na dywanie, nie czekając, aż pokonają te kilka stóp dzielących ich od łóżka.

Spojrzała na leżącego obok mężczyznę, rozchełstanego i potarganego.

- Kompletnie zniszczyłeś ubranie. - Z cichym śmiechem podniosła do góry wymiętoszony kawałek wilgotnej tkaniny, która parę minut temu była idealnie wykrochmalonym i perfekcyjnie zawiązanym krawatem.

W błękitnych oczach Brandona, w których jeszcze przed chwilą płonął ogień namiętności, pojawiły się iskierki rozbawienia.

- Harper będzie musiał wspiąć się na szczyt swych umiejętności, by w rekordowo krótkim czasie znowu doprowadzić mnie do nieskazitelnego wyglądu. - Stanął nago nad stertą pomiętej odzieży i zaczął w niej czegoś szukać. - Mam coś dla ciebie. A, jest tutaj. - Wyjął z kieszeni fraka podłużne pudełko z niebieskiego aksamitu.

Nora włożyła leciutką jak mgiełka koszulkę i usiadła przy toaletce. Serce zabiło jej na widok pudełeczka. Biżuteria. Ukradła jej wystarczająco dużo, by wiedzieć, w jakie pudełeczka jest pakowana. Przełknęła z trudem.

- Proszę, weź - powiedział cicho, widząc jej wahanie.

- Co to? - zapytała, uśmiechając się tak, jak powinna się uśmiechać kobieta otrzymująca klejnoty. Każdy mężczyzna jest

przekonany, że kobiety kochają świecidełka. Postanowiła podtrzymać ten mit najsłodszym uśmiechem. Brandon pewnie tego oczekiwał. Nie powinna jednak pozwalać mu trwonić pieniędzy bez potrzeby. Będzie musiała odrzucić prezent. Ale najpierw zajrzy do pudełka.

Zajrzała i... zaparło jej dech w piersiach. Na błękitnym jedwabiu leżał brylantowy naszyjnik ze szmaragdami, bransoletka i kolczyki.

- Są wspaniałe, Brandonie.

- To brylanty Stockportów.

Było gorzej, niż sądziła. Klejnoty rodowe! Zatrzasnęła wieczko.

- Nie mogę ich włożyć - oświadczyła stanowczo i wręczyła mu pudełeczko.

Wziął je z jej rąk i położył na gotowalni. Uniósł wieczko i wyjął naszyjnik.

- Możesz i włożysz. To prezent zaręczynowy - powiedział stanowczo i zapiął jej naszyjnik na karku.

- Nasze zaręczyny nie są prawdziwe - przypomniała mu ostrym tonem. Nagle roześmiała się i dotknęła ręką brylantów. - Już rozumiem! Nie są prawdziwe. To falsyfikaty. Doskonałe. Jeszcze nigdy nie widziałam tak znakomitych kopii.

Brandon wyglądał na urażonego.

- Zapewniam cię, że są prawdziwe. Zdobiły szyje wielu pokoleń panien młodych z rodu Stockportów.

- Ale nie moją - powiedziała cicho. - To byłoby nie w porządku.

Zignorował jej cichą prośbę i delikatnie wpiął jej w uszy kolczyki.

- Wszyscy się spodziewają, że je dzisiaj włożysz.

Znowu te oczekiwania innych. Nie przyniósł tych klejnotów po to, by ją przekonać o swych uczuciach, ale po to, by zachować pozory i może jeszcze uświadomić jej, co traciła, odmawiając przyjęcia jego protekcji.

- Powiedz, że będziesz je nosić, Noro - prosił. Odsunął jej włosy na bok, by światło padło na brylanty. - Wyglądają na tobie zachwycająco.

Ciągle jeszcze był nagi. Kompletnie tym nieskrępowany podszedł do jej garderoby i spojrzał na mnóstwo wiszących tam sukien.

- Którą zamierzałaś włożyć?

- To bez znaczenia.

Wyjął suknię z ciemnozielonego aksamitu, obramowaną złotem. Głęboki dekolt odsłaniał piękne ramiona kobiety, na których lśnił brylantowy naszyjnik. Elegancka i subtelna suknia stanowiła idealną kreację na zaręczyny dla panny, która wyrosła już z wieku debiutantki. Pomógł jej pozapinać różne hafteczki i guziczki.

- Robiłeś już to kiedyś? - zapytała swawolnie.

- Miej do mnie odrobinę zaufania. Jack mógłby ci niejedno powiedzieć o naszych wyczynach. W młodości byłem niezłym bawidamkiem.

- Dotąd krążą o tym pogłoski - zażartowała. Takie przekomarzania pozwalały im odsuwać od siebie poważniejsze kwestie.

Może to ich ostatni wspólny wieczór. Nora odkryła nagle, że nie chce wybiegać myślą w przód, poza dzisiejszy bal.

Wspólnie ubrali Brandona w strój wieczorowy i wkrótce wyglądał równie imponująco, jak poprzednio. Zdołała nawet nie najgorzej zawiązać mu krawat, choć jej węzeł nie dorównywał skomplikowanemu arcydziełu Harpera.

- Jak wyglądam? - zapytał, łapiąc w przelocie wieczorową pelerynę.

- Hmm... - Udawała, że przygląda mu się uważnie i zastanawia nad odpowiedzią. - Chyba wolę cię bez ubrania.

Uśmiechnął się łobuzersko.

- Może później zdecyduję się pójść ci na rękę.

- Dużo później? - Zatrzepotała rzęsami, parodiując uwodzicielskie sztuczki flirtujących panienek.

- Ty niegrzeczna dziewczynko, pewnie już myślisz o tym, żeby wymknąć się z sali balowej i znaleźć w domu sędziego jakiś ciemny kącik.

- Najpierw jednak musimy tam dotrzeć. - Nora zerknęła na rzeźbiony drewniany zegar stojący na stoliku pod ścianą. Czas wyjść. Gdy opuszczali pokój, wydawało jej się, iż podnosi się kurtyna i zaraz rozpocznie się ostatni akt dramatu, którego zakończenia na razie jeszcze nie znała. Gdyby tylko zdołała uwierzyć, że złożona jej przez Brandona propozycja opieki wynika z prawdziwego, głębokiego uczucia.

Na bal przybyły tłumy. Sędzia zaprosił biznesmenów z Manchesteru, inwestorów i wpływowych ludzi z miasteczka. Jak na prowincjusza był wyjątkowo ustosunkowany, czego dowodziła lista zaproszonych gości.

Pan Bradley jowialnie potrząsnął ręką Stockporta i natychmiast ruszył z nim wokół sali, by przedstawić go wszystkim obecnym. Większość z nich spotykała już lorda przy rozmaitych okazjach, ale wielu nie poznało jeszcze jego narzeczonej.

Był również Witherspoon, który z trudem maskował zazdrość, że to Stockport miał rację w kwestii włamań. Ale Brandonowi nie w głowie były teraz takie drobiazgi. Rozglądał się po sali w poszukiwaniu Jacka. W końcu dostrzegł go w drugim końcu sali, błyszczącego jak kryształowy żyrandol. Dobry Boże, jego przyjaciel nie znał umiaru!

- Człowieku, masz przy kamizelce guziki z prawdziwych brylantów? - zapytał z niedowierzaniem, gdy Jack dołączył wreszcie do niego.

- Masz oko do pięknych rzeczy, Stockport - odparł Hanley swobodnie, podnosząc do ust dłoń Nory. Nie przeoczyli dwuznaczności jego odpowiedzi.

- Cudownie, wicehrabio Wainsbridge, że mógł pan do nas przyjść! - zawołał sędzia, który pojawił się nagle obok nich.

- To urocza impreza, panie sędzio. Pańska żona przeszła samą siebie - komplementował go Jack. - Myślę, że żadna z londyńskich dam nie sprawiłaby się lepiej.

- Dziękuję. - Sędzia dosłownie rozpływał się z zachwytu, uszczęśliwiony pochwałami wicehrabiego. - Niewątpliwie przekażę pańskie słowa pani Bradley. Będzie bardzo przejęta.

Hanley zwrócił się do przyjaciela.

- Mogę zamienić z tobą słówko, Stockport?

Zanim usłyszał odpowiedź, sędzia oświadczył pospiesznie:

- Jesteśmy gotowi do ogłoszenia wielkiej nowiny, a potem nasza para honorowa powinna poprowadzić pierwszy taniec.

- Panie sędzio, miałem nadzieję, że lord Stockport przybędzie nieco wcześniej, bym mógł przekazać mu pewne istotne informacje, zanim nastąpi ogłoszenie jego zaręczyn - odparł Jack. Jego znaczące spojrzenie świadczyło o tym, że doskonale wie, co przyjaciel i jego narzeczona robili przed przybyciem na bal i dlaczego zjawili się w ostatniej chwili.

Dobroduszny sędzia poklepał Hanleya po ramieniu.

- Jestem pewien, że sprawa może poczekać - stwierdził. - To przecież przyjęcie zaręczynowe lorda Stockporta. Na pewno nie ma ochoty rozmawiać o interesach w takim dniu jak dziś.

Brandon zrozumiał, że sędzia nie da za wygraną. Ustąpił wobec jego prośby.

- Wainsbridge, bądź tak dobry i zaczekaj chwilę - powiedział. - Rozpocznę uroczystości i zaraz wrócę zamienić z tobą parę słów.

Bradley wyszedł na środek sali i uderzył w kieliszek, by zwrócić na siebie uwagę obecnych. Przejęty ważną rolą, oficjalnie zaprezentował zebranym lorda Stockporta i jego piękną przyszłą żonę, pannę Norę Hammersmith. Wygłosił również stosowne przemówienie o oddaniu Brandona dla lokalnej społeczności. Sam zainteresowany niewiele jednak z tego słyszał. Nie odrywał wzroku od narzeczonej i udawał przed samym sobą, że to prawdziwe zaręczyny.

Za plecami Nory dostrzegł Jacka stojącego w towarzystwie Witherspoona i innych inwestorów. Niezależnie od tego, co wykrył,

znajdzie się jakieś wyjście. Zawsze istniało jakieś wyjście. Wycroft należał do ludzi, którzy przeważnie zdobywają to, czego pragną, a pragnął tej kobiety. Nie mogła żywić żadnych wątpliwości co do jego intencji bądź uczuć. A jednak nadal wyczuwał w niej wahanie. Coś, czego nie rozumiał, powstrzymywało ją przed oddaniem się bez reszty łączącej ich namiętności.

- Brandonie, sędzia spodziewa się, że powiesz parę słów - szepnęła mu dyskretnie.

Powiedział kilka gładkich frazesów, które zostały nagrodzone powszechnym aplauzem, i orkiestra zaczęła grać pierwszy taniec. Wziął Norę w ramiona i zatoczył z nią szeroki łuk, przyjęty przez zgromadzonych szmerem uznania.

Uśmiechnął się, słysząc urywki wypowiedzi.

- To na pewno małżeństwo z miłości.

- Popatrz, jak on ją kocha.

- Co za śliczna para.

- Przygotowaliśmy dla nich wspaniały pokaz, kochanie - mruknął Brandon w ostatnim, upojnym obrocie. - Muszę poszukać Jacka - westchnął, kiedy muzyka umilkła, i poprowadził ją ku grapie osób, pragnących złożyć im życzenia. - Zostań tutaj. Nie możemy pozbawić Bradleyów wszystkich honorowych gości naraz.

To Hanley go odnalazł i stanowczo wyprowadził z sali balowej do ustronnego pokoju, w którym mogli liczyć na odrobinę prywatności.

- Brandonie, sytuacja stała się nieco zbyt ryzykowana jak na mój gust - zaczął, zanim jeszcze zdążyli usiąść.

- Co się stało? - zapytał Stockport i rozsiadł się w fotelu tak, by przygodny obserwator uznał, iż panowie opuścili salę tylko na chwilę, by odbyć przyjacielską pogawędkę.

- Witherspoon zadaje za dużo pytań. Rozmawiał z sędzią Bradleyem o ludziach, którzy niedawno tu osiedli. Szczególnie interesował się panną Eleanor Habersham. I bez skrępowania dzielił się swymi podejrzeniami, że Kot z Manchesteru jest kobietą.

Brandon ponuro kiwnął głową i przypomniał sobie bardzo podobną rozmowę, jaką odbył z sędzią zaraz po przyjeździe do swej rezydencji, w grudniu.

- Wiem. Nie było cię tutaj przez dłuższy czas, ale dla mnie to żadna nowina. Do mnie również przyjechał z tą informacją. Znalazł w lombardzie naszyjnik swojej żony skradziony podczas napadu u St Johna i jego ludzie zidentyfikowali osobę, którą go zastawiła. To Eleanor Habersham, choć na kwicie zastawnym wpisała inne nazwisko.

- Do licha, mogą być kłopoty. - Jack gwizdnął przeciągle.

- Raczej nie. Nora znowu świsnęła mu ten naszyjnik. Wyciągnęła go z jego kieszeni, zanim zdążył opuścić Stockport Hall - stwierdził niedbale Brandon, zapalając cygaro.

Cyniczną zwykle twarz Jacka rozjaśnił szczery uśmiech.

- Wziąłeś sobie dziewczynę z charakterem, przyjacielu. Stockport uśmiechnął się tylko w odpowiedzi.

- Nie mówmy już o Witherspoonie. Chcę usłyszeć, jakie przywiozłeś nowiny.

Hanley rozsiadł się wygodnie, przyjmując swobodną pozę.

- Powinienem potrzymać cię trochę w niepewności za to, na co mnie naraziłeś, ale nie mam sumienia cię dręczyć. Najkrócej mówiąc, ona nie jest już żoną Reggiego Portmana. Pani Nora Portman od dwóch lat jest już oficjalnie wdową. Ten jej przemytnik miał dość przyzwoitości, by umrzeć od ciosu nożem podczas burdy w jakiejś tawernie. - Ostatnie słowa Jack wypowiedział z wyraźnym niesmakiem.

Stockport siedział bez ruchu, wpatrując się w przyjaciela i próbując opanować kłębiące się w nim emocje. Już nic nie stało im na przeszkodzie. Nie mogłoby ułożyć się lepiej. Pozbyli się Eleanor Habersham i zrzucili na nią winę za popełniane przez Kota kradzieże. Nikczemny mąż zmarł. Brandon zapragnął natychmiast znaleźć Norę i podzielić się z nią radością. Jednak będą mogli być razem! Ale Jack nie wypuścił go tak prędko.

- Tego dnia, kiedy rozmawialiśmy w twoim gabinecie, byłeś kompletnie otumaniony przez tę dziewczynę, Brandonie. Dzisiaj zauważyłem, że jeszcze ci nie przeszło. Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie musisz się z nią żenić? Nie zapomniałeś, że te zaręczyny to tylko oszustwo, prawda? I to zainicjowane przez nią. Czy nie sądzisz, że mogła posunąć się tak daleko, by cię nakłonić do małżeństwa? Może ona wie, że honor nie pozwala ci się wycofać? Ona ma wszystko do zyskania, Brandonie. Ty zyskujesz niewiele. Pomyśl, co będzie, gdy pewnego dnia ktoś odkryje, kim jest twoja żona. Prędzej czy później do tego dojdzie.

- Nie dojdzie. - Stockport zbył niepokoje przyjaciela tym lakonicznym stwierdzeniem.

- Może dojść, jeśli Witherspoon będzie kontynuował śledztwo - ostrzegł Jack i pochylił się do przodu. - Moim zdaniem powinieneś traktować go poważnie. On nie odpuści.

- Niech więc tropi Eleanor Habersham w Yorku, niczego nie znajdzie - odparł stanowczo Brandon. Nie pozwoli, by czarnowidztwo Jacka zakłóciło jego szczęście.

Hanley nie dał się tak łatwo zbyć.

- Pozwól mi wygłosić krótkie przemówienie. Masz to, czego chciałeś. Zapewniłeś Kocicy bezpieczeństwo. Jeżeli teraz zostanie ujęta, to nie za twoją sprawą. Twoje sumienie pozostanie czyste. Zdołałeś przywrócić wiarygodność kredytową fabryce. Słyszałem, że wczoraj podpisałeś umowę z ostatnim brakującym inwestorem. Bezpieczeństwo finansowe Stock-port-on-the-Medlock zostało zagwarantowane. Brandonie, stary druhu, udało ci się! Rozgrywałeś równocześnie dwie partie i w obu odniosłeś zwycięstwo.

- Jakie dwie partie?

- Kogut z Północy zaciągnął Kota z Manchesteru do łóżka i uratował swoją fabrykę. A teraz czas pójść po rozum do głowy. Nie przeciągaj tej gry ponad miarę, bo możesz wszystko stracić.

Stockport patrzył zwężonymi oczami na przyjaciela, który wystąpił w roli adwokata diabła.

- To nie była gra, Jack. To ani przez chwilę nie była gra. Nora i ja nie skończyliśmy ze sobą. - Wstał i obciągnął kamizelkę. Chciał ją odszukać, wziąć w ramiona, zawirować z nią w tańcu i całować jak wariat. Teraz będzie musiała powiedzieć „tak". Nie miał nastroju na przestrogi Hanleya. Gdzie Nora? Powinna już tutaj być.

Rozdział osiemnasty

„Rozgrywałeś równocześnie dwie partie i w obu odniosłeś zwycięstwo". „Nora i ja nie skończyliśmy ze sobą". Rozpoznała głosy wypowiadające te słowa. Zamarła w ciemnym korytarzu.

Brandon prosił, by do nich dołączyła, ale poczuła się tak, jakby podsłuchiwała. A może chciał, żeby podsłuchała tę rozmowę? Może to miała być okrutna forma powiedzenia jej „żegnaj"? Te ostatnie słowa naprawdę zabrzmiały złowieszczo.

Jak mogła tak się pomylić w ocenie Stockporta? Jak mogła tak kompletnie źle zinterpretować to, co się wokół niej działo? Komentarz Hanleya przeraził ją. Łzy napłynęły jej do oczu. To, co mówił, miało sens. Brandon ją oszukał.

Nora oparła się o ścianę. Jego czułe słowa, popołudniowe dyskusje o polityce, każdy dotyk, spojrzenie, każdy pocałunek, pieszczota - to wszystko był fałsz, najpodlejsza pułapka, mająca na celu usidlenie jej. Przez cały czas działał z premedytacją. Powinna była zastrzelić go tamtej nocy u St Johna!

Wykorzystał inteligencję i urok osobisty, by ją przekonać, że jest jej sprzymierzeńcem. Posunął się nawet do zaproponowania małżeństwa. Podarował domek Mary Malone. Uwodził Kocicę na wszystkich frontach, udając, że wspiera jej działalność.

Zrobiło się jej słabo. Brandon zapewne będzie chciał się jej pozbyć, kiedy już zrealizuje swoje cele. Czemu jednak zdecydował się na publiczne zaręczyny? Dlaczego pozwolił, by włożyła brylanty

rodowe? Nie obawiał się, że je ukradnie? Nagle uderzyła ją okrutna prawda. Tu właśnie tkwiła odpowiedź. On chciał, żeby je ukradła. Mógłby ją potem oddać w ręce sprawiedliwości albo pozwolić, by Witherspoon wykonał za niego brudną robotę. To nawet bardziej prawdopodobne.

Nie pozwoli mu postawić na swoim! Ból ustąpił miejsca zimnej rozwadze i gniewowi. Nikt nie będzie wykorzystywał Kocicy do swoich celów. Zemści się i uderzy w to, na czym mu najbardziej zależało. Przed wyjazdem z miasta złoży jeszcze Brandonowi i jego przyjaciołom ostatnią wizytę. Wielki lord Stockport przekona się, że wszystkie jego wysiłki poszły na marne. Jeszcze o tym nie wiedział, ale w jednej sprawie się nie mylił: on i Kocica jeszcze ze sobą nie skończyli.

Brandon ostrzegawczo położył palec na ustach. Jack urwał w pół słowa i zniżył głos do szeptu: - Co się stało? Usłyszałeś coś?

Stockport niemal niezauważalnie kiwnął głową i gładko przeszedł do rozmowy o koniach. Gdyby ktoś stał pod drzwiami, przekonałby się, że nie dyskutują o niczym szczególnym. Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że byli podsłuchiwani, i to nie przypadkiem. Usłyszał niepokojący dźwięk, kiedy wstawał z fotela.

W myślach przebiegł zakończoną właśnie rozmowę, by zorientować się, która jej cześć mogła zostać podsłuchana. Niektóre fragmenty, posłyszane przez niewłaściwą osobę, na przykład Cecila Witherspoona czy St Johna, rzeczywiście mogły być wykorzystane przeciw niemu.

- Chyba powinniśmy wracać na salę balową, zanim zaczną nas szukać - zaproponował. Miał nadzieję, że dostrzeże jeszcze kogoś na korytarzu.

- Może ten dźwięk, który cię zaniepokoił, to było tylko skrzypnięcie okiennicy - starał się go uspokoić Jack. - Łatwo wpaść w paranoję, kiedy ma się za dużo tajemnic.

- Chciałbym, aby tak było - mruknął Brandon. Nie mógł się już doczekać powrotu do Nory. Martwił się trochę, że zostawił ją samą na pastwę Witherspoona, chociaż wiedział, że doskonale sobie z nim poradzi.

Odetchnął swobodniej, kiedy wraz z Jackiem stanęli na skraju jasno oświetlonego parkietu tanecznego. Na korytarzu prowadzącym do sali balowej nie dostrzegli nikogo podejrzanego, prócz rozbawionych gości.

Brandon zaczął rozglądać się za Norą, której ciemnozielona suknia wyróżniała się na tle czerwonych i różowych kreacji innych dam. Nie mógł jej znaleźć. Rozejrzał się ponownie. Ponadprzeciętny wzrost, blask diamentów i oryginalny strój powinny przecież od razu rzucić się w oczy. Poza tym zawsze wyczuwał jej obecność, zanim ją dostrzegł. Jednak nigdzie jej nie było. Starał się uspokoić. Nie wolno wpadać w panikę! Mogła przecież wyjść na taras, przejść do jadalni lub odpoczywać w pokoju dla pań. Ale mogła również przechodzić korytarzem i podsłuchać jego rozmowę z Jackiem. A właściwie cyniczną tyradę przyjaciela.

Ta myśl nie dawała mu spokoju. Jak Nora zareagowałaby na słowa Hanleya? Czy zrozumiałaby, że się mylił? Że z jego, Brandona

strony to nigdy nie była wyrachowana gra? Że ją kochał i naprawdę pragnął poślubić? Życie nie nauczyło Kocicy widzieć w ludziach dobra. Musiał ją natychmiast znaleźć,zanim ta szalona kobieta zrobi coś, co nieodwołalnie zniszczy ich związek!

Wyjrzał na taras. Wieczór był zimny, więc niewiele osób odważyło się wyjść na zewnątrz. Również po ogrodzie nikt nie spacerował.

Sprawdzenie pokoju wypoczynkowego dla pań było trudniejsze, bo Brandon nie mógł tam, oczywiście, wejść. Poprosił jednak jedną ze znajomych kobiet, by sprawdziła, czy nie ma tam jego narzeczonej. Szukał jej już od dwudziestu minut, czyżby odpoczywała tak długo? Młoda dama potwierdziła jego obawy: Nory nie było.

Wrócił na dół i szeptem poinformował Jacka o jej zniknięciu. Kiedy nie odnaleźli jej również w pokojach, w których rozstawiono stoliki do kart, Jack podszedł do sędziego.

- Już pan zgubił narzeczoną? - roześmiał się Bradley na widok zaniepokojenia Stockporta. - Ma pan szczęście. Wyszła pół godziny temu. Rozbolała ją głowa, a nie chciała psuć panu zabawy. Zabrała powóz, ale obiecała, że zaraz go odeśle, żeby miał pan czym wrócić do domu. - Sędzia się zasępił. - Myślałem, że pan o tym wie, milordzie. Że uzgodniliście to ze sobą.

Brandon starał się ukryć narastające przerażenie. To dziwne, że Nora wyszła z balu bez porozumienia z nim Przecież wiedziała, że rozmawiał z Jackiem o sprawie, która dotyczyła ich obojga. Gdyby chodziło tylko o ból głowy, zwyczajna ciekawość kazałaby jej zaczekać na informację o tym, czego Hanley się dowiedział.

Zresztą sama przyczyna również wydała mu się podejrzana. Nora była najzdrowszą osobą, jaką znał. Chodziła po drzewach, posługiwała się bronią i biegała nocą po polach. Ktoś laki nie wyleguje się wieczorami na kanapie, narzekając na ból głowy. Utwierdzał się w przekonaniu, że to ona stała wtedy na korytarzu. I słyszała tamte przeklęte uwagi Hanleya. Musiała uznać swego „narzeczonego" za ostatniego łajdaka, gorszego od swego zmarłego męża.

- Bez wątpienia słyszała naszą rozmowę - powiedział do stojącego obok przyjaciela. - Po pierwszym tańcu czuła się jeszcze doskonale, a nasza nieobecność nie trwała dłużej niż pół godziny.

- Staraj się ukryć zdenerwowanie - mruknął Jack. - Witherspoon patrzy w naszą stronę. - Roześmiał się nieco zbyt głośno i jowialnie poklepał Brandona po ramieniu. Obserwator z niesmakiem odwrócił wzrok. - Chyba za mną nie przepada - zauważył Hanley.

- Żaden prawdziwy purytanin za tobą nie przepada. Wyglądasz na próżniaka - padła odpowiedź. - Chodź, sprawdzimy, czy mój powóz już wrócił.

Okazało się, że powozu nie było, choć upłynęło dość czasu, by pokonać drogę w obie strony. Zgasła ostatnia iskierka nadziei, że Nora wyjechała z innych powodów, niż sądził. Czuł się wręcz chory na myśl o tym, że uwierzyła w jego celową manipulację, mającą na celu unieszkodliwienie Kota z Manchesteru i tym samym uchronienie fabryki. Zasłyszane słowa musiały spaść na nią jak grom z jasnego nieba.

- Jack, muszę ją znaleźć i wszystko jej wytłumaczyć.

- Mój powóz! Najszybciej jak się da! - warknął Hanley do lokaja.

- Nie, konia! Tak będzie szybciej! - zawołał Stockport. Czas miał teraz zasadnicze znaczenie. Nora była mistrzynią w znikaniu bez śladu. Jeśli zniknie, niełatwo mu będzie ją odnaleźć, chyba że sama będzie tego chciała.

- Dokąd jedziemy? - zapytał wierny druh.

- Do domu - odrzekł Brandon bez przekonania. Powinna najpierw pojechać do Stockport Hall, żeby zabrać kostium Kota i zostawić biżuterię. Miała na to dość czasu, bo od momentu gdy zorientował się, że jej nie ma, upłynęła co najmniej godzina. Ta mała kłamczucha nie zamierzała odsyłać powozu, by opóźnić pościg.

Wrzucił siodło na grzbiet jednego z najszybszych wierzchowców sędziego. Ucieczka! Bolała go myśl, że podjęła decyzję o ucieczce, która mogła mieć tak poważne konsekwencje, groziła utratą wolności, więzieniem...

Brandon wskoczył na siodło i ruszył galopem w noc, nie oglądając się na Jacka. Liczyła się każda minuta. Nie miał pojęcia, dokąd skieruje się uciekinierka po opuszczeniu domu i wolał nie myśleć, co zrobi.

Mila dzieląca go od domu dłużyła się niemiłosiernie, choć Stockport pędził tak szybko, jak tylko pozwalał mu na to mrok nocy. Ledwie dojechał do domu, zeskoczył na ziemię i pędem wpadł do środka, wołając:

- Noro! Noro! Kochanie, jesteś tu?!

Usłyszał odgłos pospiesznych kroków. Nabrał nadziei. Nie przybył za późno.

- To pan, milordzie? Dzięki Bogu, że pan przyjechał. -U szczytu schodów pojawił się ze świecą w ręku Harper, obok stali Ellie i jeden z lokajów. To ich kroki słyszał.

- Pani w domu?! - krzyknął Jack od drzwi. Brandon przełknął rozczarowanie.

- Nie. Spóźniliśmy się. - Zwrócił się do Harpera: - Dawno wyjechała? Mówiła coś?

- Była tu tylko przez parę minut - poinformowała roztrzęsiona Ellie. - Wrzuciła trochę ubrań do walizki i zostawiła biżuterię. Nie zmieniła nawet sukni. Stało się tak, jak podejrzewał.

- Zawołaj tu natychmiast stajennego. Muszę się upewnić, czy wzięła konia. - Gestem dał Jackowi znak, by wszedł z nim na górę.

Wszystko potwierdzało relację służby. Suknie wisiały w szafie. Osobiste drobiazgi, które jej ofiarował, leżały na biureczku. Diamenty Stockportów spoczywały na gotowalni obok aksamitnego, błękitnego pudełeczka. Brandon zamknął oczy i jęknął, nie przejmując się tym, że Hanley widzi jego rozpacz. A wieczór zaczął się tak obiecująco!

- Przykro mi, przyjacielu - powiedział Jack ze współczuciem. - Widzę, że cierpisz z tego powodu.

Stockport westchnął i przeczesał palcami włosy.

- Bardziej boli mnie to, co ona przeżywa. Wyobrażam sobie, jak potwornie musi się czuć zdradzona. Pewnie zabija ją myśl o tym, do jakiej podłości jestem zdolny.

- Przestań natychmiast. - Jack przysiadł na skraju łóżka i spojrzał na niego surowo. - Podejrzewam, że przesadzasz. Może to ona przez cały czas bawiła się tobą? Zgodnie z umową wasz związek miał przestać istnieć po balu. Jutro zamierzała wyjechać. Jeśli podsłuchała naszą rozmowę, mogła dojść do wniosku, że bezpieczniej będzie zniknąć od razu, nie czekając, aż rano każesz ją aresztować.

- Boże, ależ ze mnie idiota! - zaklął cicho Brandon, opadając na miękki taboret przed toaletką. Kiedy przestał myśleć o niej jako o Kocicy? Od którego momentu widział w niej już tylko Norę? Nie dostrzegał pewnych aspektów ich związku. Umiejętnie wykorzystywała seks, by uczynić go ślepym na to, co się wokół działo. Kochał ją. Ale czy ona go kochała? Czy choć trochę jej na nim zależało?

Przypomniał sobie jej opór, gdy zaproponował małżeństwo. Jak ostatni głupiec dał się nabrać na najstarszą sztuczkę, znaną od wieków każdej oszustce. Przecież jeszcze dzisiaj, tuż przed balem, kochała się z nim na tej właśnie podłodze, by uwierzył, że jej na nim zależy, że zostanie z nim, że przyjmie jego uczciwą propozycję małżeńską.

- Nie twierdzę, że tak właśnie było, Brandonie - dodał szybko Jack. - Warto się jednak nad tym zastanowić. Nie chcę, byś dręczył się niepotrzebnie poczuciem winy.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Harper.

- Przyszedł koniuszy, milordzie. Stockport podniósł wzrok.

- Zejdę za chwilę. Wprowadź go do mojego gabinetu. - Wstał i wygładził spodnie. - W twoich słowach może być trochę prawdy,

przyjacielu - powiedział do Jacka. - Podejrzewam, że wkrótce dowiemy się, co Kocica naprawdę do mnie czuła.

- Mam nadzieję, że się mylę.

- Ja nie mam zbyt wielkiej nadziei.

Słowa Stockporta okazały się prorocze. Do jedenastej następnego dnia całe miasteczko wiedziało już o tym, że w czasie balu u sędziego Kot znowu pojawił się w Manchesterze i włamał się do domów na Cheetham Hill. I to nie do jednego, lecz do trzech. Wszystkie należały do głównych inwestorów fabryki, a ich właściciele uczestniczyli w balu wydanym przez Bradleya w Stockport-on-the-Medlock. Zostały skradzione bardzo cenne przedmioty, o wiele cenniejsze niż zabierane dotychczas srebrne świeczniki czy biżuteria.

Brandon zastanawiał się nad przyczyną tak wielkiej kradzieży. Doszedł do wniosku, że Kot szykował się do przeprowadzki i potrzebował większych sum na zagospodarowanie w nowym miejscu. Musi przecież upłynąć sporo czasu, zanim przygotuje nową charakteryzację i pozna nowy teren. Czy to jego rozmowa z Jackiem popchnęła Norę do tego? A może Hanley miał rację, może to było nieuniknione?

Tak czy owak, cios był celny. Brandon nie potrafił się zmusić, by jechać do miasta i wysłuchiwać rewelacji o ostatnim wyczynie Kota z Manchesteru. Wysłał Jacka po informacje, a sam został w domu, żaląc się nad sobą.

W pewnym momencie odgłos kroków i głosy w holu uprzedziły go o czyjejś wizycie. Po chwili kamerdyner zaanonsował St Johna i

Witherspoona. Stockport nie mógł uniknąć tego spotkania. Musiał ich przyjąć.

- Zapraszam, panowie. - Wskazał im gestem krzesła i postanowił od razu przejść do rzeczy. Nie było sensu udawać, że nie wiedział, w jakiej sprawie przybyli. - Słyszałem, że Kot z Manchesteru znowu dał o sobie znać i tym razem wykazał wyjątkową zaborczość. A miałem nadzieję, że uwolniliśmy się już od niego na zawsze.

- Albo od niej - wtrącił Witherspoon bez namysłu. - Zamierzamy schwytać Kota i wreszcie definitywnie zakończyć jego działalność. Cały ranek poświęciłem na organizowanie grupy strażników. Od tej chwili domy inwestorów będą nieustannie strzeżone. Podobnie jak fabryka. Teraz, kiedy zaczęliśmy już sprowadzać maszyny, wzrosło niebezpieczeństwo spalenia bądź wysadzenia jej w powietrze. St John utworzył niewielki oddział milicji, który będzie patrolował okolicę.

- Milicji? - powtórzył Brandon, starając się, by jego głos brzmiał chłodno i spokojnie. - Czy to nie lekka przesada? -Wyobrażał sobie, jak absurdalnie będą wyglądali okoliczni farmerzy uzbrojeni w widły i kosy. - Poza tym dzierżawcy to moi poddani, panie St John, i tylko ja mam prawo organizować ich w oddział bojowy.

- Oczywiście, milordzie. Nigdy bym się nie ośmielił dysponować pańskimi ludźmi! - Zawołał przejęty St John. - Cecil miał na myśli oddział żołnierzy zakwaterowanych w sąsiednim miasteczku. Dowództwo zgodziło się oddać ich nam do dyspozycji w zamian za połowę gaży. Mają tu być dzisiaj po południu.

Brandon starannie ukrył zaskoczenie.

- To świetny pomysł, panie St John.

- Przyłączy się pan do nas, lordzie Stockport? - zapytał wprost Witherspoon, wpatrując się w niego tak przenikliwie, jakby chciał przejrzeć go na wylot. Ciekawe, czego chciał się doszukać?

- Oczywiście, [illegible]

powiedzieli. Dzisiaj poleje się krew. Czy naprawdę staniesz po ich stronie?

Stockport podszedł do weneckich okien wychodzących na ogród. Z założonymi z tyłu rękami wpatrywał się w wyblakły zimowy trawnik.

- Nie. Przez cały dzień o niczym innym nie myślę. Kiedy dowiedziałem się, że zaatakowała znowu, nie byłem zaskoczony. Czułem, że do tego dojdzie. Ale kto by przypuszczał, że Witherspoon i St John okażą się tak operatywni?

- Witherspoon jest mózgiem tej dwójki. Niczego nie przeoczy - stwierdził Jack. - To fanatyk. Jak na człowieka tak z pozoru pozbawionego emocji ma wyjątkowo emocjonalny stosunek do pieniędzy. To dziwne, nie sądzisz?

Brandon odwrócił się od okna.

- Sugerujesz, że coś się za tym kryje?

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. - Jack wzruszył ramionami. - Wiem tylko, że Witherspoon wolałby zobaczyć twoją Kocicę martwą niż aresztowaną. Jeśli zostanie ujęta, to chyba nie dożyje procesu.

- Nieważne, czy odeszła od mnie, by wznowić działalność

Kota z Manchesteru, czy byłem dla niej tylko kolejną przygodą - powiedział po namyśle Brandon. - Może rzeczywiście znalazłem się w gronie mężczyzn, których omamiła, by zrealizować swój cel. Ale mimo gniewu i bólu nie chcę jej śmierci. Nie mam do niej pretensji, bo aż nazbyt chętnie wziąłem w tym wszystkim udział. Nie zmuszała mnie, bym zachował jej tożsamość w tajemnicy ani bym poszedł z nią

do łóżka. Nie prosiła też, bym ją chronił, sam zaoferowałem jej opiekę. Wyciągnięty w fotelu Jack udawał zawiedzionego.

- Jak na człowieka porzuconego przez kochankę, mówisz okropnie racjonalnie. Nie mógłbyś wykrzesać z siebie choć trochę gniewu i świętego oburzenia? Walnij pięścią w ścianę!

Stockport błyskawicznie odwrócił się i wycedził zduszonym, pełnym furii głosem, stojącym w sprzeczności z beznamiętną logiką jego słów:

- Jestem chłodny i opanowany, bo nie mam wyboru. Jeśli dam się ponieść emocjom, to ona zostanie zastrzelona, a ja oskarżony o współudział. Jak sądzisz, Jack, co się stanie, gdy Witherspoon złapie Kota z Manchesteru i odkryje jego łudzące podobieństwo do narzeczonej lorda Stockporta? Zresztą nawet gdyby nie doszło do najgorszego, to i tak będę miał problemy z wyjaśnieniem jej nagłego zniknięcia. Mam powiedzieć, że uciekła w nieznane, zrywając zaręczyny?

- Przychodzi mi do głowy jedynie katastrofa.

- Katastrofa niczego nie tłumaczy. Nie czas na kpiny, przyjacielu.

- Mamy jakiś plan? - Skarcony, Jack natychmiast spoważniał. Brandon kiwnął głową.

- Domyślam się, dokąd poszła - odezwał się, mając nadzieję, że jego podejrzenia okażą się słuszne. Nora była gdzieś w pobliżu, nieświadoma wiszącego nad nią niebezpieczeństwa. - Koniecznie musimy odnaleźć ją pierwsi, Jack, szczególnie jeśli masz rację, że Witherspoon wolałby ją zabić niż przesłuchać.

Pomimo starań Brandonowi nie udało się przed zachodem słońca odkryć miejsca pobytu dziewczyny. Pełni obaw wsiedli wraz z Jackiem na konie, by dołączyć do Witherspoona i jego oddziału milicji.

Noc była bezksiężycowa, więc polujący na Kota z Manchesteru mężczyźni mieli utrudnione zadanie. Im ciemniej, tym lepiej, pomyślał ponuro Stockport.

Przez cały dzień starał się dyskretnie sprawdzić wszelkie możliwe kryjówki. Zajrzał do Grange, choć ten domek jako kryjówka wydawał mu się zbyt oczywisty. Zaglądał do opuszczonych szałasów w nadziei, że trafi chociaż na ślad jej konia.

Wszystko na nic. Kocica rzeczywiście była mistrzynią w znikaniu bez śladu. Pozostała już tylko nadzieja, że wczorajsze włamania były pożegnalnym akordem i Nora opuściła Stockport-on-the-Medlock, nie oglądając się za siebie.

Z oddali dobiegało szczekanie psów, z każdą chwilą coraz głośniejsze. Najwyraźniej sfora zbliżała się do nich. Brandon spojrzał na Jacka.

Ten zrozumiał milczącą prośbę przyjaciela.

- Psy, Witherspoon? Czy pan nie przesadza? To nie polowanie na lisa.

Cecil Witherspoon rzucił znienawidzonemu dandysowi lodowate spojrzenie.

- A kto lepiej wytropi kota niż psy? - zapytał. - Dzisiejszej nocy nie zostawimy niczego przypadkowi. Złodziej nam nie umknie. Mamy do dyspozycji sforę doskonałych myśliwskich psów sędziego

Bradleya, oddział regularnej armii brytyjskiej i własnych ludzi. Wszyscy otrzymali instrukcje. W drogę! -Dał znak ręką i gromada myśliwych rozjechała się we wszystkie strony.

- *Tally ho*! - zawołał Hanley szyderczo. Tym okrzykiem rozpoczynano tradycyjnie polowanie na lisa. I ściągnął wodze, bo jego koń najwyraźniej chciał popędzić za innymi. -Rany, ten gość ma się za generała! Brakuje mu tylko szabli w wyciągniętej dłoni.

Brandon zerknął na Jacka z ukosa i zatoczył koniem.

- Poczucie własnej ważności może go pozbawić czujności. - Ścisnął konia kolanami i ruszył w ślad za dwoma żołnierzami, którzy mieli im towarzyszyć. - Nie traćmy z oczu grupy Witherspoona - przypomniał Hanleyowi.

Uzbrojona grupa jechała na lewo od Stockporta. Według planu mieli utworzyć wachlarz i zatoczyć pełen krąg obejmujący rezydencje inwestorów i fabrykę. Jeśli Kocica planowała kolejne włamanie, musiałaby natknąć się na straże pilnujące każdego budynku. Gdyby jednak udało jej się jakimś cudem wymknąć strażnikom, musiałaby wpaść w sieć przeczesującą teren. Przemknięcie się pomiędzy patrolami było prawie niemożliwe. Wyjątkowe zdolności złodziejki nie mogły zrównoważyć przewagi liczebnej polujących na nią mężczyzn.

Brandon z trudem zachowywał spokój. Z obawą wypatrywał na niebie flary sygnalizującej schwytanie poszukiwanej. Natężał słuch, by pochwycić dźwięki świadczące, iż ktoś czai się w poszyciu. Zacisnął uda wokół boków konia, starając się wyczuć jakąkolwiek zmianę w jego zachowaniu. Gdyby w pobliżu krył się jakiś człowiek,

koń wyczułby jego obecność. Myśl, że Kocica już nie żyje, była nie do zniesienia.

RS

Rozdział dziewiętnasty

Wreszcie zapadł zmrok! Kocica wyprostowała się po całodziennym ukrywaniu się w tajemnym schowku w piwnicy Grange. Przeczesała palcami włosy, usuwając z nich pajęczyny i licho wie co jeszcze. Nie miała jednak powodu do narzekań. Wynajęła Grange właśnie ze względu na tę piwniczkę pod podłogą kuchni.

Kryjówka sprawdziła się. Zapewniła jej bezpieczeństwo i odpoczynek. Bez snu nie zdołałaby dokonać swego ostatniego dzieła w Stockport-on-the-Medlock. O tym, jak przydatny okazał się schowek, świadczyły męskie kroki, które Nora słyszała w ciągu dnia nad głową.

Głos należał bez wątpienia do Stockporta, więc to on przyszedł do Grange. Ta wizyta sprawiła jej prawdziwą satysfakcję. Jednak zaczął jej szukać, czyli trochę się martwił. A miał powody do zmartwienia - o przyszłość fabryki, jeśli Kocica pozostanie na wolności, i o samego siebie, jeśli zostanie aresztowana.

Zdawała sobie sprawę, że Brandon miał nie lada dylemat: albo pozostawić zbrodniarkę na wolności i chronić ją, podejmując ryzyko, że storpeduje jego ukochany projekt budowy fabryki, albo też aresztować ją i uratować fabrykę, ale za cenę ujawnienia ich związku. Ciekawe, co postanowi uratować: swoją reputację czy majątek. Jedno będzie musiał poświęcić.

Potarła zapałkę i zapaliła świeczkę, która zawsze leżała w kryjówce. Czas wziąć się do roboty. Z trudem pozbyła się brudnej

sukni balowej, starając się wyrzucić z pamięci dotyk smukłych palców zapinających drobniutkie guziczki na jej plecach. Nie mogła dopuścić, by uczucia zamroczyły jej umysł. Zacisnęła powieki, by odepchnąć od siebie obraz nagiego Brandona, który zapinał jej na karku diamentowy naszyjnik, szepcząc fałszywe obietnice.

Nora wciągnęła kostium Kota - ciemne skórzane spodnie, czarną jedwabną koszulę i pelerynę. W tym stroju czuła się swobodnie, leżał na niej jak druga skóra.

W ostatniej chwili zdecydowała się włożyć perukę Eleanor. Upięła wysoko włosy i schowała je pod arcydziełem sztuki fryzjerskiej, które do złudzenia przypominało naturalne włosy. Dopiero potem obwiązała głowę piracką chustą. Nie brała pod uwagę możliwości aresztowania. Gdyby jednak do tego doszło, nie zamierzała od razu dać się rozpoznać jako narzeczona Stockporta. Nie należało palić za sobą mostów, dopóki można było tego uniknąć.

Na koniec ukryła twarz pod czarną maską, podkreślającą koci wyraz jej zielonych oczu.

Podeszła do stojącej w rogu skrzyni z surowego drewna, uniosła wieko i spojrzała na swój niewielki arsenał. Zdecydowała się na pistolet o krótkiej lufie. Zważyła w ręku drugi pistolet i uznała, że też będzie odpowiedni. Wsadziła obydwa za pas wraz z woreczkiem amunicji i zwojem ciemnej liny.

Potem przejrzała kolekcję noży. Wybrała krótki sztylet, który mieścił się w rękawie, i długi nóż, noszony za pasem. Miała jednak nadzieję, że broń nie będzie jej potrzebna. Powiesiła na piersi rożek z prochem i sięgnęła po średniej wielkości czarną torbę i zapałki.

Powtórzyła w myślach listę potrzebnych przedmiotów: proch, pistolety, noże, zapałki. Miała wszystko. Juczne torby wyładowane łupami z wczorajszych włamań stały już u stóp drabiny prowadzącej do klapy zamykającej wejście do kryjówki. Była gotowa do swej ostatniej akcji.

Wyszedłszy na zewnątrz, Kocica odetchnęła głęboko mroźnym, nocnym powietrzem. Cudownie było móc się wreszcie wyprostować i poczuć swobodnie po wielu godzinach ukrywania się pod podłogą. Włożyła dwa palce do ust i gwizdnęła na konia. Puściła go samopas na cały dzień. Nie mógł naprowadzić Stockporta na jej ślad, gdyby przypadkiem został przez niego odnaleziony, ponieważ sam nie wiedziałby, jak trafić do swojej pani.

Koń przybiegł na wezwanie. Nora przerzuciła torby przez kłąb i mocno je przywiązała. Po omacku założyła zwierzęciu uzdę na głowę. Tej nocy zamierzała jechać na oklep.

Ruszyła powoli w stronę fabryki, gdyż bezksiężycowa noc zmuszała ją do ograniczenia prędkości, zapewniając jednocześnie ochronę przed ludzkim wzrokiem. W ciemnościach Kocica stawała się niemal niewidzialna.

W niewielkiej odległości od fabryki stanęła, żeby się rozejrzeć. Przed jej oczyma przesunął się patrol. A więc Stockport zwiększył ochronę. Przez pół godziny obserwowała ruch straży. Przejeżdżali co dziesięć minut. Powinna zdążyć usypać strużkę prochu od miejsca, w którym się ukryła, do budynku fabryki i wrócić, by podpalić lont. Liczyła na to, że eksplozja i następujący po niej pożar wywołają takie zamieszanie, iż zdoła umknąć niezauważenie.

Strażnicy przejechali obok niej. Nora przystąpiła do pracy. Zręcznie usypała linię z prochu i przygotowała lont. Kiedy go podpali, nieodwołalnie zniszczy marzenia Brandona. Zostanie zrujnowany i będzie wiedział, że to jej sprawka.

Palce, w których trzymała zapałkę, zadrżały. Spróbowała jeszcze raz. Musiała to zrobić. Jeżeli spali fabrykę już teraz, oszczędzi życie ludzi i ograniczy do minimum wysokość odszkodowania, jakie Witherspoon dostanie od towarzystwa ubezpieczeniowego. Stockport jakoś sobie poradzi.

Ale tak jak podczas napadu na dom St Johna nie mogła się zmusić do postrzelenia Brandona, tak teraz nie była w stanie zniszczyć jego fabryki.

Serce Nory buntowało się przeciwko tej słabości. Zdradził cię! - krzyczało.

Bądź uczciwa! - upominał rozsądek. Zaangażowałaś się w ten romans zupełnie świadomie, podobnie jak on. To nie jego wina, że się w nim zakochałaś. Zastawił pułapkę, ale to ty podjęłaś decyzję, by do niej wejść.

Zdmuchnęła zapałkę, starannie osłaniając dłonią płomień, i rzuciła ją na ziemię. Zostawi mu w ten sposób czytelny sygnał, że zniszczenie fabryki było w zasięgu jej możliwości, to będzie jej ostatni dar dla niego. Brandon zrozumie, że Kocica wygrała ich prywatną wojnę. Że mogła wysadzić fabrykę w powietrze, ale nie zrobiła tego. Do końca życia będzie się zastanawiał dlaczego.

Pogrążona w myślach, nie usłyszała kroków skradających się ku niej z tyłu żołnierzy. Odwróciła się, by wsiąść na konia, i wpadła wprost na dwóch mężczyzn w szkarłatnych mundurach.

- No, no, no, i co my tutaj mamy? - wycedził jeden z nich, a ton jego głosu świadczył o tym, że doskonałe zna odpowiedź na to pytanie.

- Myślę - odparł drugi - że to ostatnia akcja Kota z Manchesteru. Zapal racę, ściągnij tu Witherspoona.

Pomarańczowa gwiazda rozbłysła na niebie. Z piersi rozciągniętych w tyralierę mężczyzn wyrwał się okrzyk podniecenia. Po dwóch godzinach bezowocnego patrolowania terenu wreszcie coś zaczynało się dziać. Serce Brandona ścisnęło się. Nora została pojmana. Nie czekając na resztę swojej grupy, ruszył do Witherspoona i jego kompanii. Na szczęście właśnie ich dwa patrole znajdowały się najbliżej miejsca, z którego wystrzelono rakietę sygnalizacyjną.

- Mamy Kota! - krzyknął Witherspoon, gdy Stockport mijał go galopem. Nie zamierzał na nikogo czekać. Miał szybkiego, wypoczętego konia i liczył, że jeśli uda mu się dotrzeć na miejsce przed innymi, może zdoła coś dla niej zrobić.

Oczywiście, nie miał co marzyć o uwolnieniu złodziejki, bo w ten sposób sam by się obciążył. Nagle uderzyła go myśl, że być może już znalazł się w kręgu podejrzeń. Jeżeli Kocica zdjęła maskę i zobaczył ją ktoś, kto znał jego narzeczoną, to przyjdzie mu odpowiedzieć na parę niewygodnych pytań.

W głowie kłębiły mu się tysiące myśli. Czy była ranna? Czy żołnierze ją skrzywdzili? Jeśli istniała jakakolwiek szansa ucieczki, to tylko pod warunkiem, że Nora była cała i zdrowa. Brandon miał nadzieję, że to ludzie ją dopadli, a nie psy. Mogła mieć jakieś szanse z dwoma młodymi żołnierzami. Przeciwko psom jej spryt na niewiele by się zdał.

Puścił konia galopem, nie zważając na niebezpieczeństwo szybkiej jazdy w ciemności. Nie czas myśleć o zagrożeniach, liczyła się każda sekunda!

Dopiero gdy zamajaczyła przed nim niewyraźna sylwetka fabryki, dotarło do niego, skąd wystrzelono racę. To oczywiste, że Kocica wzięła na cel fabrykę! Co innego mogło ją zatrzymać w tych stronach? Teraz wszystko nabierało sensu. Po udanych włamaniach z poprzedniej nocy już tylko jedno mogło ją tutaj interesować: fabryka.

Dostrzegł sylwetki trzech osób, rozpoznał krój mundurów. Krzyknął, by uprzedzić ich, że się zbliża. Wolał nie ryzykować, że jeden z młodych żołnierzy weźmie go za wspólnika złodziejki.

Podjechał bliżej i spojrzał na Norę, która stała wyprostowana z rękami nad głową. Nadal miała na twarzy maskę, ale to tylko kwestia czasu. Przyjedzie Witherspoon i prawda wyjdzie na jaw.

Prawie nie zwróciła na niego uwagi. Nie spuszczała wzroku z żołnierzy, czekając na sposobność ucieczki. Pogratulował jej w duchu. Z pozoru poddała się bez walki, ale nie uznała się za pokonaną.

Koń Brandona stanął dęba, podniecony ostrą jazdą i gwałtownym ściągnięciem wodzów. To nasunęło lordowi pewien pomysł.

- Dobra robota, chłopcy! - wrzasnął tak głośno, że wystraszony koń odskoczył w bok.

- Ależ ma pan potężnego ogiera, milordzie! - Jeden z żołnierzy, młody, pryszczaty chłopak, zerkał na ogromne zwierzę z wyraźnym niepokojem.

- Tak, jest tylko trochę dziki. - Stockport napuszył się z dumy, jego przedstawienie dorównało poziomem sztuki aktorskiej pokazom Jacka. - Muszę przyznać, że czasem nawet mnie trudno go okiełznać. A dzisiaj jest wyjątkowo pobudzony.

Nora stała spięta, w pełnej gotowości. Mądra dziewczyna, pomyślał Brandon. Przejrzała jego plan. Ale czy zrozumiała, że może mu zaufać? Że chodzi mu o jej uwolnienie, a nie o zabezpieczenie własnych interesów?

Jeźdźcy, których stanowiska znajdowały się najbliżej, pojawili się już na horyzoncie. Miał najwyżej minutę na realizację swego planu. Witherspoon nie dałby się nabrać na jego pokaz nieudolności w panowaniu nad koniem. Wiedział, że Stockport jest doskonałym jeźdźcem. Ale ci dwaj chłopcy nie mieli o tym pojęcia.

Brandon gwałtownie szarpnął wodze, jego wierzchowiec zarżał dziko i stanął dęba, młócąc ogromnymi kopytami powietrze nad głowami żołnierzy. Rozszalały koń stworzył naturalną przegrodę pomiędzy żołnierzami a ich branką. Nora natychmiast rzuciła się pędem przed siebie.

- Kot ucieka! - wrzasnął jeden z żołnierzy. Gestami wskazał nadjeżdżającym tropicielom kierunek ucieczki pojmanej.

- Tędy! - krzyknął Witherspoon do swych towarzyszy, a sam zeskoczył z konia obok Stockporta. Brandon zdawał sobie sprawę, że zdołał dać dziewczynie zaledwie kilka chwil na ucieczkę. Miał jednak nadzieję, że to wystarczy.

Chmury nagle rozstąpiły się i ziemię zalało białe światło księżyca. W oddali widać było sylwetkę biegnącej co sił w nogach Kocicy. Kierowała się w stronę kępy drzew. Dostrzegł ją również Witherspoon.

- Widzę ją! Tam! - zawołał. Najwyraźniej nie stracił pewności, że Kot to kobieta.

Brandon puścił konia galopem, ale wierzchowiec Witherspoona dorównywał mu pod względem szybkości. Jechali ramię w ramię. Na krótkim dystansie nie miał szans zostawić intruza za sobą, ale gdyby Nora zaczęła kluczyć, ciężki koń Witherspoona mógłby się zmęczyć i zostać w tyle. Za plecami słyszeli tętent innych jeźdźców, wśród których znajdował się zapewne Jack. Stockport liczył na to, że przyjacielowi uda się w jakiś sposób skierować pościg na fałszywy trop.

Kocica wypadła z zagajnika, nisko pochylona nad szyją swego wierzchowca. Chwała Bogu, że nie przyszła na piechotę! Miała dobrego, wytrzymałego konia. Znakomitego na długich dystansach. Jeżeli da z siebie wszystko i wytrzyma wystarczająco długo, ciężki koń prześladowcy mu nie dorówna.

- Jest konno! - zawołał Witherspoon przez ramię. Odległość między nimi zmniejszała się niepokojąco szybko. Brandon spojrzał w bok i trwoga ścisnęła mu serce. Towarzyszący mu tropiciel wyciągnął

pistolet. - Mój koń jej nie dogoni, Stockport, ale kula tak! Niech pan za nią jedzie i przywiezie ją, kiedy padnie. -Witherspoon mówił o uciekinierce jak o ściganym jeleniu.

- Nie może jej pan zabić! - wrzasnął Brandon, żeby przekrzyczeć tętent kopyt rozpędzonych rumaków. Modlił się o dar przekonywania, z którego słynął w parlamencie. - Pozbawi nas pan satysfakcji z obserwowania procesu, a potem egzekucji. Na pewno zostanie skazana na najwyższą karę, ale o tym powinien zadecydować sąd.

- Chcę ją tylko zranić - odparł tamten z zimnym wyrachowaniem. Zwolnił bieg konia, a potem zatrzymał się, żeby starannie wycelować.

Trafienie w cel z takiej odległości było mało prawdopodobne, pomyślał Brandon. Zresztą nie miał żadnej możliwości interwencji, chyba że rzuciłby się na Witherspoona i wyrwał mu broń z ręki.

Widział, jak palec myśliwego naciska spust i wydawało mu się, że czas stanął w miejscu. Padł strzał. Kocica upadła bezwładnie na grzywę konia.

- Trafiona! - wrzasnął triumfalnie Witherspoon. - Mój koń jest zmęczony. Proszę jechać przodem; ta pańska narowista bestia ma przynajmniej mnóstwo wigoru i jest wytrzymała.

Stockport nie tracił ani chwili. Pozwolił, by Nora ostatnim wysiłkiem skierowała konia na zalesiony teren, w którym łatwiej było się ukryć. Wjechał za nią do lasu i zeskoczył na ziemię.

- Noro, to ja, Brandon! Pokaż się!

Rozpaczliwie rozglądał się dokoła. Miał mało czasu. Cichy jęk bólu doprowadził go do rannej, skulonej w szczelinie uschniętego drzewa, prawie niewidocznej w swym maskującym stroju.

- Zastrzelę cię bez wahania - ostrzegła.

Jego wzrok spoczął na pistolecie, który trzymała w zdrowej ręce.

- Nie jestem twoim wrogiem, Noro. - Rozłożył ręce, by pokazać, że nie ma broni. Musiał natychmiast znaleźć właściwe słowa. - Wiem, że uciekłaś z powodu słów, które podsłuchałaś na balu. Ale źle zrozumiałaś ich sens.

- Usłyszałam o twoim planie uwiedzenia mnie, aby zapewnić bezpieczeństwo fabryce - rzuciła.

- Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia, ale pomyliłaś się. Bo czym w takim razie wytłumaczysz moją obecność tutaj? Dlaczego znowu ryzykuję życie, by cię ocalić? Nie bądź idiotką, przecież musisz zdawać sobie sprawę, że tego, co nas łączyło, nie sposób udawać.

Brandon wyczuł wahanie dziewczyny. Opuściła pistolet. Czyżby jego słowa do niej trafiły? A może po prostu zemdlała jej ręka?

- Czy jesteś ciężko ranna? - Zrobił krok naprzód, starając się nie okazywać niepokoju. Gdyby wyczuła jego słabość, zareagowałaby jak rekin na zapach krwi.

- To tylko draśnięcie. Ale krwawi i na razie boli jak diabli - przyznała.

- Rozepnij koszulę - rozkazał. Było zbyt ciemno, by mógł obejrzeć ranę, ale ucisnął jej okolice, by wyczuć, czy kula nie tkwi w ciele. - Masz rację, nie znalazłem ani wlotu, ani wylotu kuli. Na szczęście. Ale krwawi zbyt mocno jak na zwykłe draśnięcie. -

Brandon oderwał pas własnej koszuli na prowizoryczny bandaż. - No, już. To powinno powstrzymać krwawienie, żebyś nie zemdlała, zanim trafisz bezpiecznie do domu. Nie chciałbym, aby psy zwietrzyły krew.

- Nie wracam z tobą do domu. To już koniec - oświadczyła stanowczo.

Zignorował jej słowa.

- Zatrzymam ich tutaj. Wracaj do Stockport Hall, niech Harper cię opatrzy. Rano zastanowimy się nad wszystkim.

Nora cofnęła się.

- Nie, Brandonie, bądź rozsądny. Jest między nami zbyt wiele niejasności.

- Ale również ogromna namiętność. Czy sądzisz, że taką pasję spotyka się co dzień? - Ogarnął go niepokój. Krew przesączała się przez bandaż. Musiał natychmiast odesłać Norę do dworu.

- Wiem, że nie. Ale Kocica poświęciła życie niesieniu ludziom pomocy, ratowaniu ich przed przemysłowym niewolnictwem.

- Twój mąż umarł. Miałem powiedzieć ci o tym na balu. Jesteś wolna, możesz rozpocząć nowe życie. - Objął jej twarz dłońmi i pocałował w usta z namiętnością kochanka.

Osunęła się w jego ramiona.

- Och, widzę, że wreszcie mdlejesz! - zawołał rozbawiony, nie w pełni pojmując, co się dzieje.

- To nie jest śmieszne - szepnęła słabo, tracąc siły. - Brandonie, pomóż mi. Nie pozwól mi umrzeć. Witherspoon wygra, chce mnie widzieć martwą, zanim... - Nie dokończyła zdania.

- Noro! - zawołał zaniepokojony, ale ona straciła już przytomność.

Złapał ją na ręce i rozpaczliwie rozglądał się dokoła w poszukiwaniu jakiejkolwiek kryjówki. Tętent koni zbliżał się, a on trzymał w ramionach nieprzytomną dziewczynę i nie widział sposobu, by ją ratować. Nie ma co, ładnego znalazła sobie obrońcę!

- Ma ją pan, lordzie Stockport! - W głosie Witherspoona, który nadjechał właśnie w grupie innych mężczyzn, zabrzmiała szalona radość. Zeskoczył z konia i podbiegł do Brandona trzymającego na rękach nieprzytomną Kocicę. Rozchylił jej pelerynę i odsłonił zabandażowane ramię oraz rysujące się pod koszulą wzgórki kobiecych piersi. - Widzi pan, Stockport? Miałem rację! Ten bandzior to kobieta!

- Miał pan rację - warknął Brandon, ledwo powściągając gniew.

- Założę się, że to Eleanor Habersham. - Witherspoon szarpnął maskę zakrywającą twarz kobiety.

- Nie ma pan odrobiny przyzwoitości? Jest nieprzytomna. Traktuje ją pan jak upolowanego jelenia!

- Ona nie traktowała nas lepiej. Tak, to Eleanor, ta mała podstępna łajdaczka.

Brandon spojrzał na spoczywającą w jego ramionach Kocicę. Spodziewał się zobaczyć burzę czarnych loków, ale jego wzrok spoczął na mysiobrązowej peruce. Na razie był bezpieczny. Jej rozwaga dała im trochę czasu. A właściwie dała jemu trochę czasu na znalezienie wyjścia z sytuacji. Ciekawe, czy Nora włożyła perukę, by nie wplątać go w przestępstwo?

Pozostali zawrócili konie. Witherspoon i Jack pozostali, aby pomóc Stockportowi wsiąść na konia z nieprzytomną kobietą na rękach.

Witherspoon pierwszy rzucił spojrzenie na rozerwaną koszulę Brandona.

-Nie chciałem tego mówić w obecnością tamtych, ale zmiękł pan, milordzie. Zastanawiam się, co by pan zrobił, gdybyśmy tak szybko nie nadjechali. Zabandażował jej pan ranę. Skoro zdołała pana nakłonić, by ją opatrzył, może przekonałaby pana również, by ją pan wypuścił. - Jego oczy świeciły w ciemności jak dwa kryształki lodu.

- Proszę mówić jasno, Witherspoon. Co pan sugeruje? -Brandon odpowiedział mu równie zimnym spojrzeniem.

- Że ma pan miękkie serce dla złodziei. Albo, jeśli pan woli, że być może opatrzył pan jej ranę, bo jest w zmowie z Kotem z Manchesteru.

- Jest pan oszczercą i kretynem! - wybuchnął Jack z oburzeniem. - Jak pan śmie zarzucać coś podobnego lordowi Stockportowi! To uczciwy członek parlamentu!

Witherspoon odwrócił się w siodle i wbił w niego przenikliwy wzrok.

- Ale jego dom jakoś nigdy nie został obrabowany.

- Może pan sobie myśleć, co pan chce - odrzekł Brandon sucho i ruszył, obejmując nieprzytomną Norę ramionami.

- Będę pana obserwował, Stockport. Coś tu jest nie w porządku - ostrzegł tamten.

Ta noc była dla Brandona prawdziwym piekłem. Na szczęście Kocica nie odzyskała przytomności w czasie jazdy do Stockport-on-the-Medlock. Przez całą drogę mężczyźni spierali się, dokąd ją zabrać. Witherspoon chciał ją zawieźć do więzienia w Manchesterze, natomiast Wycroft obstawał przy zatrzymaniu jej w Medlock, przynajmniej do czasu, gdy nabierze sił i będzie można ją bezpiecznie przetransportować. Wygrał.

Uznał, że komórka w piwnicy sędziego, która miała stanowić areszt, będzie zdecydowanie lepsza niż brudne miejskie więzienie.

Pozostał z Norą, dopóki nie otrzymała pomocy lekarskiej i nie odzyskała przytomności. Zapewnił jej również odrobinę spokoju, przekonując wszystkich, żeby poszli wypocząć i spotkali się po południu, by omówić następne posunięcie.

- O czym tu dyskutować, lordzie Stockport? Powieśmy ją i już. Wszyscy wiemy, co zrobiła - zaprotestował Witherspoon.

- W tego typu sprawach obowiązuje protokół, którego należy przestrzegać - odparł stanowczo Brandon, zastanawiając się równocześnie, jak długo jeszcze zdoła trzymać tamtego na wodzy.

Słońce już od godziny stało na niebie, gdy dwaj przyjaciele dotarli wreszcie do domu.

- No to do łóżek - zakomenderował Jack, ziewając.

- Ja się chyba nie położę - odparł Brandon.

- Jeśli masz jej pomóc, to musisz być w szczytowej formie. Powinieneś się przespać. Może spojrzysz na sprawy w nieco lepszym świetle, gdy złapiesz parę godzin snu.

- Mam nadzieję, bo na razie nie widzę żadnego wyjścia. Ale możesz mieć rację, Nora ma chyba jakiś haczyk na Witherspoona.

RS

Rozdział dwudziesty

Nora wracała do przytomności. Dokuczał jej okropny, pulsujący ból ramienia. Jak to się stało? Czyżby została ranna? Tak, została postrzelona przez tego drania Witherspoona.

Była w lesie. Z Brandonem. Trzymał ją w ramionach. Szalał z niepokoju. Błagał, by jechała z nim do domu. A potem zemdlała. Nigdy dotąd jej się to nie zdarzyło.

Otworzyła oczy. W pomieszczeniu panowała ciemność, dostrzegła tylko wąską smugę światła nad głową, w szczelinie między deskami. Była więc w podziemiu, ale nie w swojej skrytce w Grange. Usiadła na pryczy i skrzywiła się z bólu, który przeszył jej ramię.

Rozejrzała się dokoła. To musiało być więzienie. A więc została schwytana. Schwytana i zraniona. Witherspoon chciał ją zabić, by nie zdradziła nikomu jego tajnych planów. Musiała jakoś się stąd wydostać i uprzedzić Brandona.

Powinna była powiedzieć mu o tym wcześniej. Miała mnóstwo okazji w czasie, gdy mieszkali razem w Stockport Hall. A teraz było już niemal za późno.

Rozejrzała się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Pokój był niewielki, kwadratowy i dość czysty. Całe umeblowanie stanowiły prycza, na której siedziała, i rozklekotany stół z miednicą, dzbankiem i kawałkiem ręcznika.

Pomyślała, by się umyć, i nagle coś jej się przypomniało. Sięgnęła do włosów i dotknęła peruki. Odetchnęła z ulgą. Brandon był

na razie jej jedynym sprzymierzeńcem. Powinna więc chronić go od podejrzeń. Gdyby wyszło na jaw, że Kot z Manchesteru i narzeczona lorda Stockporta to jedna i ta sama osoba, nie byłby w stanie jej pomóc. Nadal pozostało między nimi wiele niedomówień, ale miała tylko jego.

Hattie i Alfred byli w Manchesterze i nie wiedzieli, co się stało. Oczywiście, wieść o aresztowaniu Kota rozejdzie się po okolicy, ale dopiero wtedy, gdy będzie się zbliżał termin procesu. Chyba że Witherspoon weźmie sprawę w swoje ręce i postanowi skończyć z nią od razu, co było prawdopodobne.

Gdyby jednak doszło do rozprawy w sądzie, Nora nie chciała, by Hattie i Alfred ryzykowali życie, aby ją ratować. Nie chciała też, żeby w jej obronie powstały slumsy Manchesteru. Nie przypuszczała zresztą, by do tego doszło, choć zapewne parę osób próbowałoby wzniecić zamieszki. Nie potrafiła znieść myśli, że niektórzy z nich mogliby zostać ranni.

Wstała i pomimo bólu ramienia zaczęła krążyć po izbie, by rozruszać zesztywniałe stawy. Najlepszym sposobem zapobieżenia ewentualnym rozruchom była ucieczka z więzienia. Im dłużej pozostawała pod kluczem, tym większe było prawdopodobieństwo, że ktoś zechce dla niej odgrywać bohatera. Pomieszczenie nie miało okien, a do drzwi prowadziły schody z nieheblowane-go drewna. Nora weszła na górę i krzyknęła, żeby sprawdzić, czy zostawiono ją samą, czy też pod drzwiami stała warta.

- Przestań wrzeszczeć - odpowiedział jej niski, ponury głos. - Zaraz dostaniesz śniadanie.

Zawtórowały mu śmiechy innych mężczyzn.

Wystawiono straże, przynajmniej trzech, może nawet czterech ludzi. Usiadła z powrotem na pryczy i zaczęła się zastanawiać. Jak ich zmusić do otwarcia drzwi? I jak wywieść w pole strażników?

Otwarcie drzwi to najmniejszy problem. Zamierzali ją przecież karmić. Prawdopodobnie zejdzie do niej również lekarz, by zmienić opatrunek. Mogła udać, że ma gorączkę, by pochylił się nad pryczą, a potem zdzielić go w łeb nogą od stołu. Ale jak oszukać straże?

W tym momencie otwarły się drzwi. Postawiono jedzenie na najwyższym stopniu schodów, po czym ponownie zasunięto rygiel. Zapisała w pamięci tę procedurę. Każda informacja mogła okazać się użyteczna.

Nora zjadła wszystko - miskę kleiku owsianego i suchą grzankę - żeby nabrać sił i by nie przyciągać robactwa. Kubek wody zachowała, nie mając pewności, czy to nie całodzienna racja.

Drzwi zostały ponownie otwarte i strażnik krzyknął z góry:

- Masz gościa!

Więźniarka wstała z pryczy. Modliła się, by to był Brandon.

- Ufam, że kwatera przypadła ci do gustu - rozległ się lodowaty głos.

Witherspoon. Nora przełknęła z trudem i przygotowała się do walki. Czy przyszedł tu, by dokończyć dzieła?

Wpatrywała się w niego, pragnąc odgadnąć jego intencje.

- Jak to miło, że pan wpadł. Przez wiele miesięcy był pan tak uprzejmy i pozwalał mi swobodnie opuszczać swój dom.

- Ciągle jeszcze czupurna, jak widzę. - Zauważyła, że ubrany w nienaganny strój do konnej jazdy mężczyzna starał się zajść ją od tyłu.

- To prawda - rzuciła zuchwale i dumnie podniosła głowę, starając się nie patrzeć na szpicrutę, którą uderzał o cholewkę buta, nie spuszczając z niej wzroku.

- Przyszedłem na pogawędkę, panno Habersham. Widzę jednak, że nie jest pani odpowiednio ubrana - stwierdził z zimnym okrucieństwem w bladych oczach.

- Moja garderoba chwilowo jest rzeczywiście dość ograniczona - odparła, wytrzymując jego spojrzenie.

- Nieważne. Zapewne powinienem był raczej powiedzieć, że nie jesteś odpowiednio rozebrana. Zdejmuj koszulę. A może wolisz, żebym sam to zrobił?

Nora zrozumiała, że przyszedł, by się zabawić, a nie żeby ją zabić. Jeszcze nie.

- A więc to tak? - Uniosła brew, starając się nie dać po sobie poznać, jak nienawistna była jej myśl o tym, by miała stanąć przed nim nago. - Przyszedł pan torturować więźnia? A może ma pan ochotę na co innego? - Z kolei ona zaczęła obchodzić go dokoła, kołysząc biodrami.

Roześmiała się ochryple na widok konsternacji Witherspoona, gdy przekonał się, że nie zdołał jej zastraszyć. Wpadł w furię. Badał ją zwężonymi oczami, próbując przejrzeć jej grę.

- W ten sposób ubiłaś interes ze Stockportem?

To ją naprawdę zaalarmowało.

- A co on ma do tego?

- Ty mi to powiedz. Dlaczego zabandażował ci ranę, choć zamierzałaś go zrujnować i pozbawić źródła utrzymania? Musisz chyba znać niezłe sztuczki, skoro zdołałaś do tego stopnia zawrócić w głowie takiemu mężczyźnie jak lord Stockport. -

Postukał się szpicrutą po cholewce. - Chciałbym sprawdzić osobiście, co to za sztuczki.

- Nie dorasta mu pan nawet do pięt. Wystarczy spojrzeć, jak mu się pan podlizuje.

- Ty złodziejska dziwko! - Jego głos podniósł się niebezpiecznie, tracił nad sobą panowanie. Obchodzili się teraz dokoła jak dwa psy szczerzące na siebie kły.

Nora nie zareagowała na wyzwisko. Wróciła do rozmowy, starając się ukryć napięcie. Wiedziała, że ją zaatakuje, to było nieuniknione. Chciała tylko, by rzucił się na nią w chwili przez nią wybranej.

- Witherspoon to dość niespotykane nazwisko. Angielskie nazwiska odnoszą się zwykle do osoby lub zajęcia. Na przykład „Smith" wywodzi się od słowa „smithy", czyli „kuźnia". A u pana? „Wither" to tyle co „zwiędły", „zmarniały". - Wydęła wargi i popukała się po nich palcem. - „Spoon". Hmm. „Łyżka". Nigdy nie słyszałam, by tak to określano, ale... całkiem możliwe.

Nieoczekiwanie Witherspoon dał jej się wciągnąć w te rozważania.

- Co miało znaczyć to twoje „to"? - zapytał ostro, wpatrując się w nią zwężonymi oczami i gotów na atak.

Uśmiechnęła się i zatrzasnęła pułapkę. Szeroko otworzyła oczy, robiąc niewinną minkę i wyzywająco poruszając biodrami.

- Męski organ, oczywiście. Witherspoon! - Spojrzała znacząco na jego spodnie.

Stanął jak wryty, a jego blada zazwyczaj twarz poczerwieniała z wściekłości.

- Ty mała dziwko!

Skoczył na nią, ale Nora była na to przygotowana. Siła jego ataku rzuciła ich oboje na pryczę. Jęknęła, gdy w starciu ucierpiało jej zranione ramię, ale zatopiła zęby w policzku napastnika. Poczuła w ustach smak krwi.

Mężczyzna ryknął z bólu. Wykorzystała to, by zrzucić go z pryczy. Próbował ją złapać, ale z całej siły rąbnęła go kolanem między nogi.

Za drzwiami celi coś się działo. Nora szybko wbiegła po schodach, zostawiając na ziemi wijącego się z bólu prześladowcę. Zaczęła krzyczeć. Miała nadzieję, że strażnicy zapomną na chwilę, iż jest więźniarką, zareagują natomiast na krzyk kobiety i otworzą drzwi, zanim tamten zdoła dojść do siebie.

- Eleanor! - zawołał zza drzwi znany jej głos. O mało nie rozpłakała się z ulgi.

Po chwili rygle zostały odsunięte i w progu pojawiła się wysoka sylwetka Brandona.

- Co się tu dzieje?

Nora najchętniej padłaby mu w ramiona i błagała o ratunek, ale takie zachowanie nie przysłużyłoby się żadnemu z nich.

- On mnie zaatakował, milordzie! - powiedziała, starając się nie pokazać po sobie, jak ciężko przeżyła ten incydent.

Stockport zacisnął zęby.

- Straż! Wyciągnijcie stąd pana Witherspoona. A w przyszłości macie dopilnować, by nie kontaktował się z więźniem! - wrzasnął.

Gdy strażnicy wyciągnęli intruza, więźniarka powiedziała półgłosem:

- Bałam się, że strażnicy nie zechcą otworzyć.

- Chyba rzeczywiście nie ruszyliby się, gdyby nie moja obecność.

Ujął jej dłonie, a ona wyczuła drżenie jego rąk.

- Nic mi nie jest - powiedziała uspokajająco.

- Tak bym chciał cię objąć, Noro. I przytulić. - Głos Brandona był ochrypły z emocji. - Strażnicy kazali mi czekać, bo był u ciebie Witherspoon. A potem usłyszałem twój krzyk. Gdyby nie otworzyli drzwi, chybabym je wyważył.

- Jestem tego pewna.

- Podejrzewam, że go czymś sprowokowałaś.

- Nie przyjęłam do wiadomości jego sugestii, że jestem zanadto ubrana do naszej rozmowy.

Brandon zesztywniał i Nora uświadomiła sobie, że powinna bardziej zważać na słowa.

- Ten drań chciał cię zobaczyć nagą.

- Nie doszło do tego - stwierdziła miękko.

- Muszę cię stąd wydostać - powiedział z rozpaczliwą determinacją. - Czeka cię proces. Przyszedłem cię zawiadomić, że przyjedzie sędzia z Manchesteru i rozprawa odbędzie się tutaj.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie angażuj się w to, Brandonie. - Ścisnęła jego dłonie dla podkreślenia wagi swoich słów. - Witherspoon podejrzewa, że istnieje między nami jakiś związek. Jedyne, co stoi między nim a prawdą, to moja peruka.

-I właśnie dlatego trzeba cię stąd jak najszybciej wyciągnąć. Nie możemy w nieskończoność polegać na peruce. Mam pomysł. Skąd wzięłaś proszek usypiający? Ten, którego użyłaś u St Johna?

- Nie jesteś w stanie mi pomóc, Brandonie. Witherspoon cię zrujnuje.

- To mnie nie powstrzyma, Noro. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś nie została powieszona. Ponoszę odpowiedzialność za to, że się tutaj znalazłaś. Nie doszłoby do tego, gdybyś nie zrozumiała opacznie słów Jacka podczas balu. Stojący u szczytu schodów strażnik kaszlnął znacząco.

- Minęło dziesięć minut, milordzie.

- Ja zdecyduję, kiedy upłynie dziesięć minut - rzucił wyniośle Stockport. - Muszę przedłużyć przesłuchanie o kolejnych pięć minut.

- Nie przychodź tu więcej, Brandonie. Nic mi nie jesteś winien - szepnęła Nora. - Ale muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Witherspoon celowo sabotuje budowę fabryki, żeby wyłudzić pieniądze z ubezpieczenia. Mam dowód, dokumenty wykradzione z jego sejfu.

Papiery są ukryte w Grange, pod skrzypiącym stopniem schodów. Wydobądź je.

- To dlatego chciał, byś zginęła - zauważył. Kiwnęła głową.

- Gdyby doszło do najgorszego, gdyby rozpoznano we mnie twoją narzeczoną, możesz wykorzystać te papiery, żeby go uciszyć.

- Chcę ci wszystko wytłumaczyć. Nie dopuszczę, byś żyła w przekonaniu, że zamierzałem cię oszukać i zdradzić, że wykorzystałem nasz związek, by cię powstrzymać. Przyjdę znowu. I zobaczę cię wolną - przyrzekł Brandon.

Z bólem serca wyrwała mu swoje dłonie i uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Nie, nie przyjdziesz - szepnęła. A potem zawołała głośno. - Trzymaj łapy przy sobie! Straż! Już drugi w ciągu jednego dnia! Ci rozpustni panowie to nieustające zagrożenie!

Był uratowany. Odprowadzała go wzrokiem, gdy wchodził po schodach. Wreszcie drzwi zamknęły się za nim i Nora została sama w ciemnościach, w których miała czekać na to, co nieuniknione. Ale spadł jej kamień z serca, bo miała poczucie, że ludzie, na których jej najbardziej zależało - Hattie, Alfred i Brandon - są bezpieczni, chociaż samej sobie nie zdołała pomóc.

Brandon wrócił do domu wściekły. Rzucił wodze wierzchowca stajennemu i wbiegł do dworu, głośno wołając Jacka.

- Jest w bawialni z... - zaczął lokaj, biorąc od pana rękawiczki. Ale ten nie dał mu dokończyć.

Wpadł do pokoju jak burza, zanim uświadomił sobie, że przyjaciel nie był sam.

Kobieta odwróciła się i na jej ustach pojawił się słodki uśmiech mogący zwieść tych, którzy jej dobrze nie znali.

- Jack twierdzi, że przyjechałam w samą porę, by wziąć udział w napadzie na więzienie i może w weselu - powiedziała melodyjnym głosem.

Ten głos, ta twarz - to był Brandon w kobiecym wydaniu. Jej przyjazd był pierwszą dobrą rzeczą, jaka przydarzyła mu się w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

- Cześć, Dulci. Jak to dobrze, że przyjechałaś. Dulcinea Wycroft poklepała miejsce obok siebie.

- Wiem, że napisałeś do mnie już trzy tygodnie temu, ale musiałam zakończyć kilka spraw, a zresztą wiesz, jakie są te drogi, same koleiny i kałuże.

Stockport uśmiechnął się do siostry. Nie chciał pytać, co to za „sprawy". Poprzednio były to oświadczyny wicehrabiego Gladstonea, które odrzuciła w bezceremonialny sposób. Wyglądała jak bajkowa królewna Śnieżka, ale z charakteru kompletnie jej nie przypominała. Imię Dulcinea oznacza: łagodna i cicha.

Siostra Brandona była jedynie zrównoważona. Ale nikogo poza Jackiem nie pragnął bardziej mieć teraz przy sobie.

Dulci odrzuciła do tyłu kruczoczarne włosy i sięgnęła po filiżankę.

- Twój przyjaciel twierdzi, że pewna przebierająca się za kota złodziejka podaje się za twoją narzeczoną.

- Jack za dużo gada. - Brandon rzucił mu karcące spojrzenie. - Powinien raczej pomóc mi znaleźć wyjście z tej sytuacji. Witherspoon o mało jej dzisiaj nie zgwałcił.

- Co go powstrzymało? - zainteresował się Jack.

- Jej kolano.

- Ooch. - Jęknął Hanley i odruchowo założył nogę na nogę.

- Już ją polubiłam - oświadczyła Dulcinea, spoglądając na niego znacząco, jakby chciała go sprowokować do riposty.

Brandon interweniował pospiesznie. Dulci i Jack byli znani ze swych zajadłych pojedynków słownych.

- Nie ma czasu na zabawy. Trzeba pomyśleć o Norze. - Skinął głową przyjacielowi. - Miałeś rację, Witherspoon zaplanował oszustwo ubezpieczeniowe. Nora zdradziła mi, gdzie znaleźć świadczące o tym dokumenty. Powiedziała, żebym wykorzystał je w razie potrzeby, by bronić się przed tym łotrem. Nic dziwnego, że tak zabiegał o moje poparcie. Liczył, że ze względu na własną reputację zatuszuję ewentualny skandal. Nikt nie odważyłby się oskarżyć lorda o tego typu przestępstwo. - Brandon westchnął i przeciągnął dłonią po włosach. - Ona nie wierzy, że z tego wyjdzie. W ostatniej chwili stara się jeszcze chronić innych.

W jego głosie brzmiała prawdziwa desperacja.

- Witherspoon nie dopuści do procesu. Nie możemy pozwolić, by wrócił tam i dokończył dzieła. Mam plan.

Jack i Dulci nadstawili ucha.

- Wsypiemy środek nasenny do obiadu strażników i uwolnimy ją, gdy zapadną w sen.

-I? - zapytał Jack.

-I po wszystkim - mruknął Stockport i poczuł się trochę głupio.

- Po wszystkim? Gdyby to było takie proste, to więzienia stałyby puste. Wszyscy usypialiby strażników. - Hanley zaczął wyliczać swoje zastrzeżenia: - Po pierwsze, trzeba zdobyć środek nasenny bez wzbudzania podejrzeń, po drugie ty, Brandonie, nie możesz zbliżać się do Nory ani do żadnej apteki. Witherspoon zwęszyłby to od razu.

- To jasne. Ale skoro jesteś taki genialny, to powiedz, proszę, co mamy robić? - wtrąciła się Dulci, nie mogąc przepuścić okazji, by dopiec Jackowi.

- Wykorzystamy jej siatkę - odparł spokojnie.

- Wiem nawet jak - stwierdził Brandon z lekkim uśmiechem. - Włóczyła mnie kiedyś po całym mieście, robiąc zakupy w Manchesterze i załatwiając interesy na moich oczach.

Witherspoon stał się zdecydowanie zbyt podejrzliwy. Stockport nie mógł nawet spokojnie wyjść z domu. Więc choć to on skonstruował całą intrygę, wykonanie zadania musiał powierzyć innym, jeśli miało zakończyć się sukcesem.

Dulci zaniosła liścik do Mary Malone, odwiedzając domy dzierżawców. Z kolei syn Mary zaniósł karteczkę do apteki, kiedy wybrał się w odwiedziny do kolegi z Manchesteru. W powrotnej drodze przywiózł ogromną dawkę proszku na sen.

I znowu Dulci zawróciła w głowie kuchcikowi, który zanosił wieczorne posiłki strażnikom więziennym i wsypała do nich proszek nasenny. A potem siedziała z dwoma zwalistymi chłopami, dolewając im wina i bawiąc zabawnymi dykteryjkami, dopóki nie posnęli.

I to ona podniosła ciężkie kraty, otworzyła drzwi więzienia i zbiegła do celi po Norę, która stała już w pełnej gotowości, zaalarmowana skrzypieniem drzwi, które o tej porze nie były zwykle otwierane.

- Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia, ale jesteś wolna! - zawołała wesoło panna Wycroft, jakby brała udział w najlepszej zabawie, a nie w przestępstwie kryminalnym. - Mam tu zostać, żeby pomyśleli, że śpisz spokojnie, kiedy rano przyniosą ci śniadanie. To zapewni ci parę godzin na ucieczkę. Potem im powiem, że wczorajszej nocy zeszłam tu po naczynia, a ty zdzieliłaś mnie czymś ciężkim w głowę i uciekłaś. - To mówiąc, złapała ciężki dzban i roztrzaskała go na kawałki.

- Brandona tu nie ma?

W głosie Nory zabrzmiała panika, co Dulci zauważyła z prawdziwą przyjemnością. Podobnie jak Jack, żywiła spore wątpliwości co do stosunków łączących brata z tą kobietą.

- Nie, Witherspoon nie dałby się oszukać.

- Więc jak? - zapytała Nora. - Tak to wszystko zaaranżował?

Wybawczyni uśmiechnęła się tajemniczo.

- Wykorzystał twoją siatkę. Opowiedział mi, jak kiedyś włóczyłaś go po całym Manchesterze. Zrobił to samo z Witherspoonem i jego ludźmi. Trzy miejsca odwiedził dla zmył-ki, dopiero czwarte było tym właściwym. Syn Mary Malone zaniósł wiadomość do apteki i przyniósł środek usypiający.

- Nie powinien ryzykować - oburzyła się Nora.

Ujęła tym Dulci.

- Wszyscy, którzy się dowiedzieli o twoim losie, chcieli pomóc. Jesteś tu przez wszystkich kochana, a przez mojego brata najbardziej.

- Mylisz się. On troszczy się o własne bezpieczeństwo, bo gra stała się niebezpieczna, a on jest w nią wmieszany - zaprotestowała Nora.

Panna Wycroft przyjrzała się jej w zamyśleniu.

- Cóż, nie czas na kłótnie. Musisz znikać. Brandon czeka na ciebie, więc będziecie mogli razem rozstrzygnąć tę kwestię. Idź już. Jedź do domku Mary. On już tam jest. Pospiesz się. -Mrugnęła do niej porozumiewawczo.

Nora pędziła przez noc na pozostawionym przez Dulci koniu i myślała tylko o Brandonie. Musiała jeszcze ten jeden, ostatni raz go zobaczyć, podziękować mu i powiedzieć, że wszelkie rachunki pomiędzy nim a Kocicą zostały wyrównane.

Źle zrozumiała słowa podsłuchane na balu, przynajmniej częściowo. Nie był odpowiedzialny za większość manipulacji, o które go posądzała. Tamtej nocy, gdy została ujęta, zrobił wszystko co w jego mocy, by jej pomóc, a dzisiaj znowu pospieszył jej na ratunek. Tak nie postępuje oszust i zdrajca.

Pozostawała jeszcze kwestia motywów jego postępowania. Mógł podejmować te wysiłki, by oczyścić własne nazwisko. Kiedy Kot z Manchesteru na dobre opuści Stockport-on-the-Medlock, Brandon będzie poza wszelkimi podejrzeniami. Z drugiej jednak strony zdawała sobie sprawę, że człowiek tak wpływowy i potężny mógł znaleźć znacznie prostszy sposób ochrony swego dobrego imienia niż pomoc w jej ucieczce z więzienia. Mógł najzwyczajniej w świecie

zwrócić się przeciw niej łub oświadczyć, że został haniebnie oszukany przez narzeczoną. Może ich krótkotrwały romans zawrócił mu w głowie? Chociaż Brandon Wycroft nie należał do mężczyzn, którym kobieta mogła zawrócić w głowie. Zresztą miał w ręku dokumenty, które mógł z powodzeniem wykorzystać na swoją obronę. Tak, miał mnóstwo możliwości. Nie musiał jej uwalniać. A jednak... Im dłużej o tym myślała, tym bardziej prawdopodobne wydawało się to, co niemożliwe.

Gdyby Nora nie była tak całkowicie zaabsorbowana Brandonem i jego poczynaniami, być może zauważyłaby dwóch ubranych na czarno jeźdźców, którzy podążali za nią w dyskretnej odległości. Ale ona była ślepa na wszystko poza zbliżającym się spotkaniem z nim, spotkaniem, które miało być ostatnie.

W oknie domku Mary paliła się pojedyncza świeca - sygnał, że Kocica może wejść bez obaw. Zeskoczyła z konia i podbiegła do drzwi. Otwarły się, zanim zdążyła zapukać. Brandon porwał ją w ramiona i zamknął jej usta pocałunkiem.

- Jesteś, Noro. Tu będziesz bezpieczna. - Wciągnął ją do środka.

Domek był ciepły i przytulny. Mary ulotniła się dyskretnie, ale był tam Jack i jakiś nieznany człowiek. Zesztywniała na widok stojącego przy kominku obcego. Pociągnęła Brandona za rękę.

- Kto to?

- Pastor - odpowiedział, wskazując wysokiego, łysego mężczyznę, który wstał na powitanie. - Przybył do wioski w tym samym czasie co Eleanor.

Nora lekko się odprężyła. Rzeczywiście, przypomniała sobie tego człowieka. Złożył pannie Habersham wizytę w towarzystwie sędziego.

- Co on tu robi?

Mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie.

- Jestem tu po to, by udzielić ci ślubu, moje dziecko. Spojrzała na Brandona ze zdumieniem. Czyżby chciał poślubić Jacka? Ta myśl przyprawiła ją o dreszcz zgrozy.

- Co to ma znaczyć?

- On udzieli nam dzisiaj ślubu. Jako moja żona, hrabina, znajdziesz się poza zasięgiem Witherspoona i każdego, kto chciałby cię skrzywdzić.

Nora zmieszała się.

- Nie. Nie możemy się teraz pobrać. Małżeństwo nie naprawi wszystkiego, nie skreśli przeszłości. Myślałam, że to rozumiesz. Pomimo peruki ktoś mógł mnie rozpoznać. Powinnam wyjechać stąd jak najdalej.

- To wszystko nieważne - oświadczył Brandon stanowczo. -Nie spodziewasz się nawet, jakie par Anglii ma możliwości.

- Nie wątpię w twoje możliwości. Widziałam cię w akcji. Ale decyzji o małżeństwie nie wolno podejmować w pośpiechu. Nawet o tym nie rozmawialiśmy.

- Jak to? Przecież nie rozmawialiśmy o niczym innym. Prosiłem, byś ze mną została. - Teraz to on był wyraźnie zmieszany. - Proponowałem ci opiekę, stałą ochronę.

- Ale to nie była propozycja małżeństwa. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że prosiłeś, bym została twoją kochanką. Przecież nawet nie wiedzieliśmy, czy mój mąż żyje - mówiła wolno Nora, próbując wyjaśnić kolejne nieporozumienie.

Wyglądało na to, że ich związek składał się z samych nieporozumień. Miała ich już serdecznie dosyć. Nic nie było jasne i oczywiste.

Nagle ogarnął ją gniew - okropny, irracjonalny, gorący gniew. Nie umiałaby nawet powiedzieć, czemu aż kipiała ze złości. Miała ochotę rzucić się na Brandona z pięściami i wytłuc cały fałsz, wszelkie udawanie, aby została tylko naga prawda, choćby i najgorsza. Nawet gdyby miało się okazać, że jej uczucia nie były odwzajemnione. Przynajmniej byłoby jej łatwiej stąd uciec. Tylko osiem stóp dzieliło ją od wolności. Wystarczy, by pokonała tę odległość i wyszła w noc.

Jack kaszlnął dyskretnie i lekkim ruchem głowy wskazał im pastora, przypominając, że nie są sami.

- Myślę, że powinniśmy zostawić was teraz samych. Spróbujcie dojść do porozumienia. Chodźmy, wielebny, postawię panu piwo w gospodzie.

Drzwi zamknęły się za nimi. Już nie trzeba było się hamować. Koniec z białymi rękawiczkami. Nora szykowała się do otwartej walki z Brandonem, a on, sądząc po roziskrzonych gniewem oczach, robił to samo.

- Przekręcasz moje słowa. Nie pozwolę, byś stąd uciekła tylko dlatego, że wydaje ci się, iż chciałem zrobić z ciebie dziwkę -

oznajmił chłodno. - Myślisz, że będzie ci łatwiej odejść, jeśli zdołasz sobie wmówić wszystko co najgorsze. O mnie. O nas.

Przybrała dumną pozę.

- A co jest najlepsze? Bo nie wiem! Nie licząc wspaniałego seksu, oczywiście. - Przyjrzała mu się badawczo od stóp do głów. Miała nadzieję, że nie zauważy jej podniecenia.

- Chcę się z tobą ożenić.

- Przyjmij do wiadomości, że w dzisiejszych czasach wspaniały seks możesz mieć za pieniądze, nie musisz zań płacić małżeńskim certyfikatem. - Była sarkastyczna i złośliwa, rozpaczliwie próbowała wykopać między nimi przepaść, na tyle głęboką, by zapragnął się jej pozbyć.

- Przestań, Noro. Nie uda ci się mnie sprowokować. Pragniesz walki. Stosowałaś już dawniej tę strategię. Ale ja jej nie podejmę.

- Powiedz mi w takim razie prawdę. - Skoro nie chciał się kłócić, nie miała wyboru i musiała postawić sprawę jasno. -Kochasz mnie?

Brandon wyglądał na tak zaskoczonego, że pożałowała, iż zadała mu to pytanie.

- Czy cię kocham? Nie zorientowałaś się dotychczas, co czuję? - Nie kryjąc zdziwienia, zaczął nerwowo krążyć po pokoju. - Oczywiście, że cię kocham! Chyba pokochałem cię tamtej nocy w moim gabinecie, gdy przewiesiłaś nogi przez oparcie fotela i wychyliłaś jednym haustem cały kieliszek mojej najdroższej brandy.

- Naprawdę? - To był jakiś dziwny głos, dobiegający jakby ze znacznej odległości. Kochał ją. Miała swoją odpowiedź.

- Jak mogłaś o tym nie wiedzieć? - Głos Brandona był już spokojniejszy, zresztą napięcie zaczynało opuszczać ich oboje. - Który mężczyzna zrobiłby tyle dla kobiety, gdyby jej nie kochał? - Wyciągnął do niej rękę, a ona podeszła posłusznie, nadal oszołomiona jego wyznaniem. Całował ją delikatnie, tuląc do siebie z czułością. - Czy mogę mieć nadzieję, że odwzajemniasz moje uczucia, Noro? Często się zastanawiałem, co do mnie czujesz. Czekam teraz na prawdę. Twoja kolej - szeptał, przesuwając wargami po jej szyi.

- Kocham cię, Brandonie. - Wcale nie było jej tak trudno wypowiedzieć te słowa. Czuła się spełniona, jakby dopiero teraz stała się całością.

- Więc postanowione. - Jego głos stał się niski i ochrypły.

Gwałtownie szarpnięte drzwi stanęły otworem. Brandon przyciągnął do siebie Norę, instynktownie pragnąc ją chronić.

- Nie postanowione. Proszę najpierw posłuchać, co mam do powiedzenia. - Do pokoju wkroczył Witherspoon, a za nim Magnus St John, który zaryglował za sobą drzwi.

- Co pan tu robi, Witherspoon? - rzucił Stockport chłodnym, wyniosłym tonem.

- Bardziej interesujące, co pan tu robi? - odparł intruz, przyglądając się scenie, którą miał przed oczami. Na jego twarzy pojawił się wyraz podłości i wyrachowania.

- Moja narzeczona i ja potrzebujemy odrobiny prywatności - odparł Brandon wyzywająco.

- Narzeczona? Taka z niej pańska narzeczona, jak Eleanor Habersham. To oszustwo, Stockport. Został pan przyłapany in

flagranti z groźną kryminalistką. Kobieta, z którą pan właśnie wszystko „postanowił", to nie kto inny jak Kot z Manchesteru. - Dla podkreślenia wagi swych słów wycelował w nich szpicrutę. - I pan doskonale o tym wie.

Nora zwróciła się twarzą do intruza. Brandon objął ją mocniej w obawie, że mogłaby się posunąć do jakiegoś aktu szaleńczej odwagi.

- Wysuwa pan nieuzasadnione oskarżenia, sir - powiedziała wyniosłym tonem wielkiej damy.

Na ustach Witherspoona pojawił się okrutny, lubieżny uśmiech.

- St John i ja jechaliśmy za tobą z więzienia, moja ty śliczna złodziejko. Widzisz, byłem ciekaw. Zachowanie Stockporta wydało mi się dość dziwne, szczególnie tamtej nocy, gdy zostałaś aresztowana. Nagle przestał sobie radzić z koniem, choć powszechnie wiadomo, jaki znakomity z niego jeździec.

Nerwowym ruchem uderzał szpicrutą po cholewce buta.

- Nie mogłem jednak dopatrzyć się sensu w zmowie Stockporta z tobą. Miał w tym przedsięwzięciu więcej do stracenia niż którykolwiek z nas. Potem jednak przyjrzałem się uważniej tobie... Noro, tak masz na imię? I zacząłem dostrzegać twoją urodę. Pomyślałem, że gdybym miał w łóżku taką kobietę jak ty, to pewnie też wywietrzałaby mi z głowy fabryka, bo myślałbym tylko o rozkoszy.

- Ta kobieta to moja przyszła żona. Nie zniosę już ani jednego obraźliwego słowa pod jej adresem. Mów, co masz do powiedzenia i idź precz, chyba że wolisz spotkać się ze mną i z odległości

dwudziestu kroków odpowiedzieć za swe obelgi. - Brandon odsunął Norę na bok, koncentrując uwagę wyłącznie na przeciwniku.

- A, właśnie. Omal nie zapomniałem, co mnie naprawdę sprowadza. Pańska fabryka właśnie płonie, a odpowiedzialność za to ponosi ta kobieta. - Jego głos, zimny i podły, nie pozostawiał cienia wątpliwości, że mówi serio.

- To nieprawda! Nie mogłam podłożyć ognia - zawołała Nora. - Byłam tutaj.

Witherspoon wyciągnął spod płaszcza pistolet i wycelował w dziewczynę.

- Nieważne, czy to prawda. I tak wkrótce będziesz martwa. Twoje ciało zostanie znalezione w zgliszczach wraz ze zwłokami Stockporta, chyba że zgodzi się zawrzeć z nami układ.

Pieniędzy z ubezpieczenia wystarczy dla nas trzech, milordzie. Chociaż gdybyśmy zaczekali rok czy dwa, moglibyśmy liczyć na więcej. Gotów jestem jednak zmniejszyć swe zyski w zamian za pańską dozgonną wdzięczność. Musi pan tylko trzymać język za zębami. - Pistoletem dał znak St Johnowi. - Zabierz ją, Magnusie.

W małym domku rozpętało się pandemonium. Brandon zostawił St Johna Norze, sam natomiast rzucił się na Witherspoona. Zdążył złapać w żelazny uścisk rękę z pistoletem. Upadli na podłogę i zmagali się w śmiertelnych zapasach. Walczyli o broń. Na śmierć i życie. Witherspoon i St John przyjechali tu, żeby zabić. Stockport zdawał sobie sprawę, że walczy o życie, swoje i Nory.

W drugim końcu pokoju Magnus rzucił się na kobietę. Zdążyła jednak odskoczyć za solidny stół. Ze śmiechem i szyderczym

urąganiem robiła zwody, to w jedną, to w drugą stronę, wyprowadzając przeciwnika z równowagi.

Zabawa nie mogła jednak trwać wiecznie. W końcu mężczyzna ją złapie. Wiedziała, że kiedy St John zaatakuje, będzie musiała znaleźć sposób, by wyeliminować go z walki.

Z drugiej strony pokoju dobiegały odgłosy zmagań, którym towarzyszył od czasu do czasu głośny trzask, gdy któryś z mebli Mary rozpadał się w drzazgi. Tylko dzięki latom treningu i żelaznej dyscyplinie wewnętrznej zdołała powstrzymać się od zerknięcia na Brandona. Był w trudniejszej sytuacji niż ona, bo miał do czynienia z uzbrojonym przeciwnikiem. Ale strach o niego mógł ją zdekoncentrować - to jeszcze jeden powód, by jak najszybciej wyłączyć z gry St Johna.

Wreszcie nastąpił atak. Magnus rzucił się przez blat stołu, by złapać Norę za koszulę na piersiach. Odskoczyła do tyłu w ostatniej sekundzie, a on stracił równowagę i runął z impetem na ziemię.

- Dziwka! - ryknął rozwścieczony. Chciał zerwać się na równe nogi, ale nie zdołał.

Złapała ciężki dzban na mleko i z całej siły zdzieliła nim St Johna w głowę. Błyskawicznie porwała na pasy jakiś ręcznik i mocno skrępowała nim ręce leżącego. Nawet gdyby ocknął się przed zakończeniem walki, będzie unieszkodliwiony. Tym razem nie były to luźne węzły, jakimi ongiś przywiązała Brandona do łóżka, ale mocno zaciśnięte supły, które można było wyłącznie rozciąć, jak węzeł gordyjski.

Nora porzuciła skrępowaną ofiarę, gotowa włączyć się do walki z Witherspoonem. Żałowała, że nie ma sztyletu w rękawie. Wystarczył jej jednak jeden rzut oka na zmagania mężczyzn, by zrozumieć, iż sztylet na nic by się zdał. Byli mocno ze sobą spleceni. Obaj nosili już ślady pięści przeciwnika.

Brandon trzymał uzbrojoną rękę Witherspoona w żelaznym uścisku i z impetem walił nią o podłogę, by wytrącić pistolet z zaciśniętych palców. Tamten zaś wolną ręką zadał mu potężny cios w splot słoneczny. Stockport jęknął i ma moment rozluźnił uścisk. To wystarczyło. Witherspoon zrzucił go z siebie i zerwał się na równe nogi.

Dziewczyna krzyknęła ostrzegawczo.

- Uciekaj stąd, Noro! - wrzasnął Brandon, nie odrywając oczu od napastnika, i zanim ów stanął mocno na nogach, natarł na niego jak byk. Impet uderzenia cisnął Witherspoona na ścianę. Wciśnięty w nią, wypuścił pistolet z ręki. Broń upadła na podłogę z łomotem i wypaliła.

- Brandon! - krzyknęła Nora ze zgrozą. Obaj mężczyźni padli za ziemię, jeden na drugiego. Żaden z nich się nie ruszał.

- Nie! - jęknęła i podbiegła do nich, nie bacząc na własne bezpieczeństwo. Z największym wysiłkiem zepchnęła Witherspoona na bok; między jego żebrami zobaczyła miejsce wlotu kuli. Najprawdopodobniej przebiła płuco. Mężczyzna był martwy.

Uklękła przy Brandonie. Spojrzała na poplamioną krwią koszulę i zaczęła się modlić, by to nie była jego krew. Rozdarła koszulę, nie

tracąc czasu na rozpinanie guzików, i przesuwała drżące dłonie po torsie ukochanego, szukając rany.

Zauważyła ślady pobicia - jutro i przez kilka następnych dni będzie pewnie posiniaczony i obolały - ale poza tym nie znalazła zranień. Usiadła na piętach i odetchnęła z ulgą. Nie ocknął się jeszcze, ale to była tylko kwestia czasu.

- Brandon! Nora! Jesteście tam? - Usłyszała krzyki dochodzące z zewnątrz. W końcu nadeszła pomoc.

Otworzyła drzwi.

- Jack! Dulci! - zawołała. - Tu była okropna walka! Witherspoon zginął, a St John leży tam związany. Brandon jest nieprzytomny. - Starała się panować nad sobą, ale jej relacja była chaotyczna.

Podeszli do nieruchomego ciała. Jack obmacał tył głowy przyjaciela i uśmiechnął się

- Będzie miał jutro guza jak kurze jajo. Upadając, uderzył głową o podłogę. Wkrótce powinien przyjść do siebie.

Nora usiadła na podłodze i położyła sobie głowę Brandona na kolanach, podczas gdy tamci zajęli się St Johnem.

Zgodnie z przewidywaniami Stockport wkrótce poruszył się.

- Gdzie Witherspoon? Nic ci nie jest? - Zerwał się gwałtownie, ale zaraz opadł znów na kolana dziewczyny.

- Wszystko w porządku, uspokój się - zapewniła go. - Jack i Dulci są tutaj. Oni się wszystkim zajmą.

- Pomóż mi się podnieść.

Z pomocą przyjaciół zdołał usiąść przy stole i opowiedział w skrócie, co się wydarzyło w domku Mary.

- Spodziewałem się czegoś w tym rodzaju - mruknął Jack ponuro, gdy Brandon zakończył relację. - Gdy dotarliśmy z pastorem do wsi, zauważyliśmy w oddali ogień. Początkowo nie podejrzewaliśmy, że to pożar fabryki, ale gdy podeszliśmy bliżej, wszystko stało się jasne. Pobiegłem do więzienia po Dulci. Bałem się o jej bezpieczeństwo, bo w ciemnej piwnicy ktoś mógłby ją wziąć za Norę. I zaraz wróciłem tutaj, szkoda, że nie wcześniej.

- Poradziliśmy sobie. - Brandon uśmiechnął się do ukochanej i nakrył jej dłoń swoją.

- Czy czujesz się dość silny, by pojechać do miasteczka i przekonać się, co zostało z fabryki? - zapytał Jack.

- Najpierw muszę zrobić coś pilniejszego. Nie chcę już nawet na moment odwlekać chwili, gdy uczynię cię swoją żoną, Noro. Pójdziesz ze mną do pastora?

- Chyba nie mówisz serio, Brandonie! - wtrąciła się Dulci. - Ona potrzebuje sukni ślubnej i trzeba wyprawić wspaniałe wesele.

Nora spojrzała na Brandona i odrzuciła sugestie Dulci.

- Nie potrzebuję niczego. Tylko ciebie. Możemy się pobrać choćby zaraz.

Podniósł się powoli i podał jej ramię. W jego niebieskich oczach tańczyły iskierki rozbawienia.

- To dobrze, bo obiecałem pastorowi, że dzisiaj udzieli nam ślubu, a zawsze dotrzymuję słowa.

W godzinę później Kot z Manchesteru przeszedł na zasłużoną emeryturę, a Nora została lady Stockport. Skromną ceremonię przy

świecach odprawił wiejski pastor w obecności dwojga świadków: Jacka i Dulci.

Był to nietypowy ślub, lecz bardzo wzruszający. Panna młoda była w czerni, pan młody nosił wyraźne ślady pobicia. Przysięga małżeńska jednak została złożona, a lord Stockport wsunął na palec żony pierścionek z ametystem. Pocałunek po zawarciu małżeństwa trwał nieprzyzwoicie długo.

Nora zbliżyła pierścionek do świecy. Zamigotał jak gwiazda.

- Ukradłam go przy pierwszym naszym spotkaniu - zauważyła z psotnym uśmiechem. - Dlaczego tak ci zależało na odzyskaniu go?

Brandon otoczył ją ramionami i przytulił do siebie.

- Chciałem pewnego dnia ofiarować go swojej żonie. Należał do mojej mamy. Ona potrafiła realizować najbardziej nierealne marzenia.

- Wydaje się, że jesteś jej nieodrodnym synem.

- A mnie się wydaje, że znalazłem żonę podobną do niej. - Musnął wargami szyję Nory. - Wracajmy do domu, lady Stockport.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Londyn Wiosna 1832

- Mam złe wiadomości. Wygląda na to, że projekt ustawy znowu przepadnie - powiedział Jack, zręcznie zdejmując dwa kieliszki szampana z tacy przechodzącego obok kelnera na politycznym soiree u lady Summersby.

Brandon ponuro kiwnął głową.

- Wcale bym się nie zdziwił. Reforma już dwukrotnie trafiła z Izby Gmin do Izby Lordów. Nie mam pomysłu, w jaki sposób doprowadzić do jej przyjęcia. Znowu spróbujemy ją przeforsować, podejrzewam jednak, że będzie to daremny trud.

Jack pociągnął łyk szampana, starając się przybrać taką minę, jakby nic na świecie go nie obchodziło.

- Ja bym się nie poddawał - powiedział poważnie. - Doszły mnie słuchy, że premier Grey chce wymusić zgodę pod groźbą utworzenia pięćdziesięciu nowych stanowisk parów. Dla liberałów, oczywiście. To zmieniłoby układ sił i to na wiele lat.

Stockport roześmiał się.

- Rozumiem. Izba Lordów będzie miała do wyboru: albo ugiąć się w tej jednej sprawie, albo wystawić się na niebezpieczeństwo, że będzie stopniowo wypierana i spychana na margines.

Uniósł kieliszek, pozdrawiając mijających go znajomych, po czym wrócił do rozmowy z przyjacielem.

- Gdyby Shaftesbury zmienił zdanie, pozostali bez oporu poszliby za jego przykładem.

- Myślałem, że jest zwolennikiem reform - mruknął Hanley, zaskoczony stwierdzeniem Brandona.

- Bo jestem - zabrzmiał niski głos za ich plecami i Anthony Ashley Cooper, siódmy lord Shaftesbury, przyłączył się do nich. Prowadził pod rękę Norę. - Obawiam się, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy straciłem rozeznanie.

Stockport powstrzymał uśmiech. Najwyraźniej jego żona wykorzystała swój nieodparty urok, by skierować lorda na właściwą drogę. Przez ostatnie pięć miesięcy, odkąd zamieszkali w Londynie, zjednała sobie wiele serc dzięki swej urodzie i inteligencji. Bez problemu została przyjęta do towarzystwa. Witherspoona uznano za winnego podpalenia i oszustwa ubezpieczeniowego, a mieszkańcy Stockport-on-the-Medlock zaakceptowali teorię Brandona i Jacka, że Kotem z Manchesteru była panna Eleanor Habersham.

- Pańska żona ma żyłkę polityczną, Stockport - stwierdził Shaftesbury z uznaniem. - Powiedziała mi właśnie, że zaprosiła na herbatę lorda Russella, więc moglibyśmy razem usiąść przy stole i na neutralnym gruncie omówić wszelkie sprawy.

- Mam nadzieję zebrać razem przedstawicieli wszystkich partii i urządzić prawdziwą burzę mózgów - oświadczyła Nora, a Brandon dostrzegł w jej oczach tłumione rozbawienie.

- Myślę, że to bez znaczenia, moja droga - mruknął Shaftesbury. - Chodzą pogłoski, że premier postanowił przemocą zmienić naszą opinię. Wystarczy trochę poczekać, a będzie pani miała swoje

zwycięstwo. Chylę jednak czoło przed pani dyplomacją. Panowie wybaczą.

Premier Grey zrealizował swoją groźbę i zapowiedział nominowanie nowych, liberalnych parów Anglii. W Izbie Lordów rozpętało się prawdziwe piekło. Arystokraci zaczęli zmieniać zdanie. W kolejnym głosowaniu zwolennicy reform odnieśli zwycięstwo.

Brandon tryskał optymizmem. Jednak zwycięstwo nie było jeszcze pełne. Zdawał sobie sprawę, że tym jednym głosowaniem nie zdołali zmienić świata. Ale to był dobry początek. Tak jak uruchomienie w Stockport-on-the-Medlock eksperymentalnej fabryki włókienniczej, którą odbudowali wraz z Norą po pożarze. Były w niej przestrzegane zasady bezpieczeństwa, normy czasu pracy i zakaz zatrudniania dzieci.

Po głosowaniu zaproszono Brandona na wiele hucznych przyjęć, ale on miał ochotę świętować swój sukces z jedną tylko osobą. Z Norą.

Londyński dom Stockportów był dziwnie pusty. A przecież Nora nie miała żadnych planów na wieczór. Gdy Brandon wszedł do holu, nikt ze służby nie wyszedł mu na spotkanie. Radosne podniecenie zaczęło go opuszczać. A spodziewał się triumfalnego powitania!

Wszedł do gabinetu i nalał sobie drinka. Ruszył po schodach do sypialni. Stanął w progu i znieruchomiał. Coś się tu zmieniło. Pokój został splądrowany. Coś poruszyło się niemal niezauważalnie za zasłoną. Na jego ustach pojawił się łobuzerski uśmieszek. Lubił tę zabawę.

- Witam, lordzie Stockport - powiedziała uwodzicielskim głosem wyłaniająca się zza zasłony postać w czarnym obcisłym kostiumie, w którym wyglądała niezwykle ponętnie. -Zaproponowałabym panu drinka, ale widzę, że już pan sobie nalał.

- Reforma przeszła - poinformował ją, podnosząc kieliszek. Nora podbiegła, zarzuciła mu ręce na szyję i przylgnęła do niego całym ciałem.

- Tak - mruknęła schrypniętym szeptem. - Słyszałam plotki, że pewien lord poruszył całą Izbę, by przeforsować tę ustawę. - Przesunęła rękę w dół i zaczęła go pieścić przez ubranie.

Jęknął z rozkoszy, odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Boże, jak ja cię kocham, Noro!

Przechyliła głowę na ramię i spojrzała na niego zielonymi, kocimi oczyma. Widział, że zamierzała się z nim droczyć.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Spodziewałam się, że tak znakomity mówca jak ty zdoła wymyślić coś bardziej oryginalnego. - Uśmiechnęła się z rozbawieniem. - A może Kocica odgryzła ci język?

- Gorzej. Skradła mi serce - szepnął namiętnie, zduszonym głosem. - Na zawsze.